

 **NEUROSHIMA**

SAN FRANCISCO



witaj w stolicy Zachodniego Wybrzeża Zaszraných Stanów



Wschód to Wschód, a Zachód to San Francisco.
O. Henry



NEUROSHIMA

POSTAPOKALIPTYCZNA GRA FABULARNA

Autor dodatku:

Rafał "Hologram" Trabski

Ilustracja na okładce:

christophe (<http://titoff77.deviantart.com>)

Ilustracje:

huesos (<http://huesosnegros.deviantart.com>) - strona 2, 13, 14, 19 i 33
Gilly Pardy (<http://inkyphoenix.deviantart.com>) - strona 3
Robbie Lee (<http://sequenceno3.deviantart.com>) - strona 4
Vladimir Kula.kov (<http://rustychopper.deviantart.com>) - strona 5
Andrej (<http://xxandriuchaxx.deviantart.com>) - strona 9
OneTwoDelta (<http://onetwodelta.deviantart.com>) - strona 15
Mary Joy Johnson (<http://dreamerofwords21.deviantart.com>) - strona 17
James Ford (<http://angelus253.deviantart.com>) - strona 25
Madison Rengnez (<http://maddrawings.deviantart.com>) - strona 28
James Synowicz (<http://chip14.deviantart.com>) - strona 29
Sylwia "Telari" Cader (<http://telarimoira.deviantart.com> i <http://telarimoira.digart.pl>) - strona 31
Tyler DeLisle (<http://baafish81.deviantart.com>) - strona 73 i 88
Brankovic S. (<http://skyliner17.deviantart.com>) - strona 82
Leigh Wolf (<http://winddancer9.deviantart.com>) - strona 83
Rebecca (<http://meticuloustwin.deviantart.com>) - strona 89
Yan Liberman (<http://tjdesign.deviantart.com>) - strona 90
Rob Hastings (<http://robhastings.deviantart.com>) - strona 91
Rafał "Hologram" Trabski - wszystkie pozostałe

Skład, łamanie, obróbka grafik:

Marek "Mar_cus" Szumny

Korekta:

Boromir, Marek "Mar_cus" Szumny

Mapki:

Rafał "Hologram" Trabski i Marek "Mar_cus" Szumny z pomocą Google Maps

Dodatek ten może być kopiowany lub powielany w jakikolwiek sposób mechanicznie, chemicznie lub elektronicznie bez zgody autora jedynie w całości! Jakiegokolwiek podobieństwo postaci przedstawionych w tym dodatku do osób żyjących jest całkowicie przypadkowe.

Wydawca: Marek Szumny (wirtualne wydawnictwo mark6)

os. Konstytucji 3-go Maja, 18/9; 48-100 Głubczyce
tel. 0 608 467 526

<http://www.mark6.pl>; lukmarcus@gmail.com

ISBN: 978-83-927793-2-2

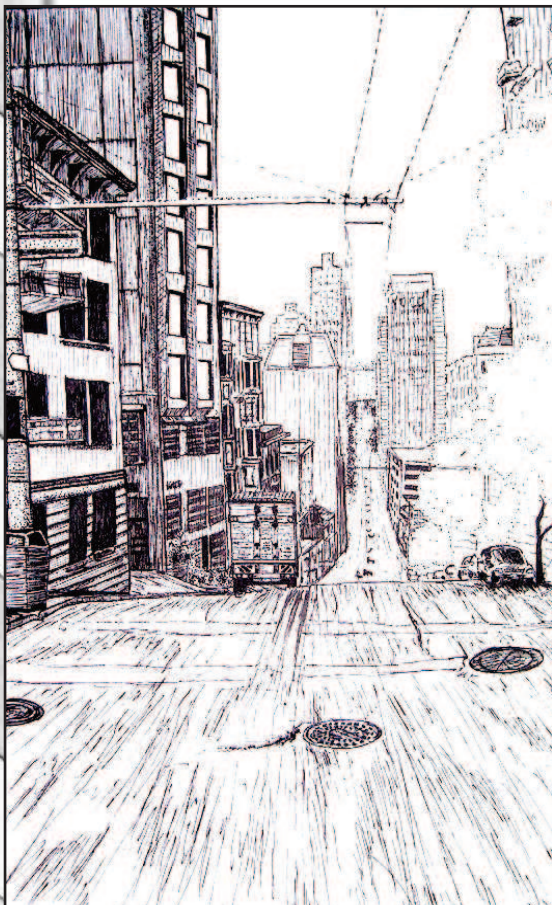


San Fran.....	3
Prawo i bezprawie.....	9
Wielonarodowość.....	15
Chińczycy.....	17
Japończycy.....	21
Czarne gangi.....	25
Rodziny.....	29
Fakty i mity.....	33
Dzielnice.....	41
Lotnisko.....	61
Wybrzeże i port.....	63
Podziemia.....	71
Obóz Posterunku.....	75
Dolina Krzemowa.....	79
Klinika w Campbell.....	83
Pochodzenie.....	89





SAN FRAN



Wbrew temu, co ci się wydaje, jedynym miastem na zachodzie nie jest Vegas. Widzę, że bardzo słabo znasz te tereny. Pierwszy raz po tej stronie Gór Skalistych, co? Mam nadzieję, że ominałeś po drodze Denver, bo nie chcę pić piwa z napromieniowanym koleśkiem. Uff... to dobrze, że jechałeś drogą nr 66. To z dala od Denver.

Ale przejdźmy do rzeczy. Nie słyszałeś więc nigdy o San Fran? No cóż, człowiek uczy się przez całe życie. Widzisz, tak się składa, że my też mamy tutaj taki swój Nowy Jork, coś w rodzaju stolicy Zachodniego Wybrzeża. Jest nim właśnie San Francisco, a raczej to, co z dawnego miasta pozostało. Ale nie martw się, wcale nie jest tak źle.

Wbrew temu, co myślą ludzie, San Francisco całkiem nieźle przetrwało zawieruchę wojenną i cały ten chaos po apokalipsie. Spora część miasta oraz wiele otaczających San Fran miasteczek nadal istnieje i ma się dobrze. Zawdzięczamy to temu, że, w przeciwieństwie do większości innych miast, nasz system

obrony antyrakietowej zadziałał. San Francisco i cała dolina Santa Clara ochroniły rakiety NA-AD, czyli National Anti-Air Defence. Co prawda tam, gdzie nie spadły głowice, doszło promieniowanie i zabiło i tak większość ludzi, ale za to ci, którzy żyją tam dzisiaj, mieszkają w mieście niemalże przypominającym stan przedwojenny. Większość budynków ma nawet szyby w oknach, chyba że akurat zostały rozkradzione lub zniszczyły je jedno z częstych trzęsień ziemi.

Tak, stary, to jest jeden z prześladowających nas problemów. Gdyby nie one, San Fran byłoby nietknięte, choć i tak jest chyba najpiękniejszym miastem w całych powojennych Stanach.

Topografia terenu

No chcę ci tłumaczyć co gdzie leży, żebyś nie błądził za bardzo, jak już tu jesteś. Samotne kręcenie się po Cmentarzysku nie jest zbyt bezpieczne. Co to jest Cmentarzysko? Opowiem ci później.

No więc najważniejsze jest samo San Francisco, które leży na półwyspie nad Zatoką, o tej samej nazwie. Zatoka San Fran nie jest zbyt czysta i nie radziłbym ci się tam kąpać. Pływa w niej mnóstwo syfu z okolicznych zakładów elektronicznych oraz sporo pierwiastków promieniotwórczych. Nikt u nas nie mieszka w willach tuż nad samą zatoką, a szkoda, bo to piękne domostwa.

Aha, motorówką po zatoce sobie też nie popływasz, bo pełno w niej dziwnego żelastwa, które uniemożliwia zwodowanie większości łodzi, zaś na środku tkwią dziwne, stalowe konstrukcje. Cholera wie, skąd się tam wzięły, ale leży to tam od dwudziestu lat. Wiesz, wygląda to tak, jakby jakiś olbrzym bawił się betonowymi klockami Lego wielkości wieżowców i upuścił taki jeden do zatoki. Może zresztą to faktycznie jest zatopiony wieżowiec. Tylko jak, do cholery, miały się tam znaleźć? Trzęsienia ziemi powodują, że budynki się zawałają, ale raczej nie przemieszczają ich o setki metrów. A zresztą, pal to licha. Ważne, że te wielkie bloki betonu leżą tam nieruchomo i do nikogo nie strzelają, ani nikogo nie chcą zjeść. Nie to, co krokodyl z Miami czy mutanty nad Missisipi.

Szczypta historii

Spokojnie, bracie! Nie będę nudził o Aleksandrze Wielkim, ani o Napoleonie. Że co? Nie słyszałeś o Napoleonie? Kurde, o Aleksandrze Wielkim ja też nie słyszałem i go sobie wymyśliłem. Aleksander to mój pies. Ale żeby nie znać Napoleona? Nieważne.



Widzisz, z pewnością ciekawi cię jak to się stało, że San Francisco stoi sobie niemal nieuszkodzone, podczas gdy niemal wszystkie inne miasta i miasteczka Stanów leżą w gruzach, w dodatku radioaktywnych. Dziwne, nie? Wiesz, mnie też to dziwiło, dopóki nie przeczytałem kilku rzeczy w sieci archiwów miasta San Francisco. Pytasz, co to jest sieć? Kurczę, to trochę długi temat. Opowiem ci nieco później, okej?

No więc wyczytałem w tych archiwach, że miasto tuż przed początkiem apokalipsy zostało objęte programem rządowym, który miał je ocalić przed zagładą. Czemu akurat San Francisco? Cóż, nie wiem, ale pewien facet z naszego Uniwersytetu powiedział mi, że chcieli chronić nie tyle miasto, co Dolinę Krzemową. Na przedmieściach rozciągają się setki laboratoriów, zakładów elektronicznych i siedzib firm informatycznych. Ten facet sądzi, że rząd chciał ocalić te ośrodki i dlatego objął nasze miasto programem NA-AD. Co to za dziwne słowo? To skrót od National Anti-Air Defence. Z tego co kojarzę, była to część tzw. Tarczy Antyrakietowej. Wokół Doliny Krzemowej wybudowano baterię rakiet mających zestrzeliwać nadlatujące głowice. Do dziś w wielu miejscach miasta, ale głównie na jego obrzeżach, znaleźć możesz wysokie konstrukcje - to pozostałości po wyrzutniach NA-AD. Niestety, samych rakiet już nie znajdziesz - wszystkie zostały odpalone podczas wojny. Zresztą, jakbyś znalazł, to co byś zrobił? Po cholereę ci pociski do zestrzeliwania rakiet balistycznych...

Ponoć system ten obejmował wiele innych miast Stanów, ale rzekomo nie zadziałał niemal nigdzie. Dlatego właśnie San Francisco tak różni się od na przykład Dallas albo przyślawiowego Denver. Miasto niemal w całości przetrwało globalne uderzenie atomowe. Niemal, bo w gruzach leży trochę przedmieść, zwłaszcza leżących z dala od miasteczka Palo Alto, które jest centrum Krzemowej Doliny. Głowice atomowe zrównały z ziemią prawie całe wschodnie wybrzeże zatoki San Francisco oraz część San Mateo.

Budynki przetrwały, ale co z ludźmi? No cóż, wedle archiwów przed wojną San Francisco wraz z przyległościami liczyło 7 milionów ludzi - to więcej niż dzisiejsza Ameryka. Czaisz? Gdzie podziłali się ci wszyscy ludzie? Odpowiedź jest prosta - promieniowanie. Ataki nuklearne nie spopieliły samego San Fran, ale spanikowani ludzie, z których tylko bardzo nieliczni znaleźli miejsce w schronach, umarli na skutek choroby popromiennej. Logiczne? Jeśli nie wierzysz, opowiem ci coś...

Księga Dni Apokalipsy

Mamy w mieście na Uniwersytecie taki dokument - Księgę Dni Apokalipsy. Jest to spisana przez pierwszych mieszkańców historia San Francisco i okolic. Opisano w niej, jak straszne męczarnie przeżywali ludzie tuż po uderzeniu. Księgę Dni Apokalipsy założył i zatytułował jeden z nieszczęśników, którzy podczas uderzenia pozostawali na powierzchni poza schronami. Przedstawił on i dołączył fotografie eksplozji atomówek, które były widoczne z centrum San Fran, a także pierwsze tygodnie po zagładzie.

Stary, próbowałem to kiedyś czytać, ale nie dałem rady. Po kilku stronach rozplakałem się i wyszedłem z biblioteki uniwersyteckiej. Tego nie da się czytać na spokojnie. Opisy cierpień umierających powoli ludzi na środku ulic, efektów skażenia i panującego chaosu potrafią wprowadzić w depresję prawdziwego twardziela. Pewnie i tak nie uzyskasz wstępu do biblioteki Uniwersytetu, ale nawet jeśli, to założę się, że nie zniesiesz więcej niż 10 stron. Że niby pochodzisz z Hegemonii? To może 12. Nie wierzysz? Założysz się? Ten, kto przegra, stawia drugiemu noc w najlepszym lokalu na mieście. Czyli w Banana House? Może być?

Cóż, rozdziały napisane przez faceta z powierzchni urywają się w 3 miesiące po uderzeniu. Gość umarł na chorobę popromienną. Tak twierdzi drugi autor Księgi - jeden z tych, którzy wyszli ze schronów wkrótce po zagładzie. Ciekawe, że jego poprzednik ani słowem nie wspomniał o swojej chorobie, a cierpienia innych opisał ze straszną precyzją i tak obrazowo, że czytając czujesz jak to boli, kiedy skóra odłazi ci od kości i rozplywają się flaki. Podziwiam osobiście tego gościa, że przemilczał swój własny los. Ten gość był bohaterem, bracie.

Kolejny autor Księgi Dni Apokalipsy tłumaczy, co działo się z tymi szczęściarzami, którzy przeczekali najgorsze w schronach pod miastem. Opisuje warunki panujące w przepelnionych podziemnych bunkrach, panikę, liczne samobójstwa, jak kończyły się zapasy i jak spekulowano, co dzieje się na powierzchni. Podaje też, że powody otwarcia poszczególnych schronów były różne. Jednym kończyły się zapasy, inni nie wytrzymywali klaustrofobicznych tuneli, jeszcze inni zaś uznali, że promieniowanie opadło już wystarczająco, aby opuścić podziemia.

Napotkali wielkie cmentarzysko na ulicach miasta. Wedle relacji, ódór rozkładających się zwłok pawałał z nóg. Wkrótce potem wybuchła epidemia, która zdziesiątkowała tych, co wyszli zdrowi ze schronów. Dopiero wówczas pojawił się bohater San Francisco, George Logan, były



szef policji, który zorganizował ocalałych, usunął zwłoki z ulic i dał towarzyszom niedoli nadzieję na nowy ład. Tak, zgadza się, George Logan był ojcem obecnego burmistrza. Niestety, syn nie jest godnym następcą, ale o tym dowiesz się później.

Cóż, dalsze rozdziały Księgi Dni Apokalipsy opisują późniejsze losy miasta i pisane są już przez urzędników mianowanych przez burmistrza Logana. Oczywiście, jego syn kontynuuje tradycję i Księga nadal jest uzupełniana. Jednak jej najważniejsze rozdziały ci przedstawiłem, a reszta to opis powolnego odradzania się społeczności San Francisco i Krzemowej Doliny - przybywania uchodźców, odbudowy miasta i tak dalej.

Obecnie Księga Dni Apokalipsy zmienia się w propagandową książeczkę na potrzeby Benedicta Logana i traci swój realizm. Zresztą - jeśli cię to interesuje, spróbuj sam ją przejrzeć, a gwarantuję ci, że się nie znudzisz. I pamiętaj o naszym zakładzie...

Miasto na wybrzeżu

Widzisz, wokół całej zatoki San Francisco leży cały szereg miast i miasteczek, które w zasadzie zrosły się z samym San Fran, ale jeśli spytasz kogoś, o miasto na wybrzeżu, to wskaże ci grupę wielkich wieżowców na samym północnym krańcu półwyspu, niedaleko mostu Golden Gate. To stąd całą Aglomeracją zarządza burmistrz Benedict Logan i jego Milicja. Tutaj zresztą mieszkają wszystkie szczyhy w Aglomeracji. Co to jest Aglomeracja? Widzisz, te wszystkie miasta i miasteczka wokół zatoki są niemalże połączone w jedno, dlatego mówimy na to Aglomeracja.

No, ale wróćmy do samego San Francisco. Miasto jest ograniczone przez wody Zatoki od wschodu i przez Pacyfik od zachodu. Tak, stary, jeśli jeszcze tego nie czaisz, mieszkamy nad Oceanem Spokojnym. Jarzysz? Na tym właśnie polega Zachodnie Wybrzeże - leży nad oceanem. A co ty myślałeś? Że nad jakimś zasranym jeziorem?

Cóż, tak się składa, że San Francisco leży na wzgórzach, więc mamy tutaj ciekawy układ ulic. Jedne biegną z dołu do góry lub z góry na dół, jeśli tak wolisz, a przecznice poziomo. Powoduje to, że jeśli zbyt szybko się rozpędzisz samochodem, to wylatujesz co chwile w górę, jak na skoczni. Fajnie, nie? Autem jeździ się po San Fran lepiej niż w Detroit - mniej mamy tu gruzu i wraków.

Miasto składa się z kilku dzielnic, takich jak Mała Italia czy Chinatown. Tej drugiej poświęcę za chwilę osobnych kilka słów, a o Małych Wioszech wystarczy abyś wiedział, że jest tam mnóstwo ładnych, wiktoriańskich

kamienic i sporo willi. Te akurat są zamieszkane, także nie masz czego tam szukać. Dzielnice mógłbym jeszcze wymieniać przez tydzień, nie mówiąc już o przedmieściach, które należą do Aglomeracji, ale nie będę cię zanudzał, tylko przejdę do konkretów.

Życie w mieście

San Francisco przetrwało zagładę niemal w jednym kawałku. Do dziś sporo budynków stoi prosto i ma się dobrze. Chyba tylko w San Fran ludzie nie boją się wchodzić na szczyty wieżowców. Nikie zniszczenia sprawiły, że przetrwała większość przedmiotów codziennego użytku, samochodów, zapasy w sklepach i hurtowniach. Zabrakło tylko ludzi, którzy poumierali w pierwszych latach po apokalipsie. Jednak garstka ocalałych po wyjściu ze schronów jakoś przeżyła i wkrótce do San Francisco zaczęli ściągać masowo uchodźcy z całej Kalifornii. W ten sposób miasto zaludniło się na nowo i chociaż Aglomeracja pewnie nigdy nie osiągnie liczebności 7 milionów, to jednak śmiało powiem, że żyje tu najwięcej ludzi w Stanach.

Pierwsi przybysze mieli szczęście i większość z nich pławi się teraz w luksusach. Każdy ma na własność kilka budynków czy nawet wieżowców, pełnych skarbów sprzed wojny i wielu z nich żyje tylko ze sprzedawania ich na wschód. Podczas gdy za Górami Skalistymi ludziom brakuje zwykłych pralek, my mamy tutaj całe zestawy kina domowego, komputery, nowiutkie samochody i najróżniejsze smakotyki. Co z tego, że wszystko jest lekko napromieniowane?

Tak więc centrum San Francisco zamieszkują dzisiejsi bogacze. To oni chadzą do tak ekskluzywnych lokali jak Banana House, bywają na bankietach u burmistrza i grywają w golfa na którymś z czterech ocalałych pól w mieście. Tu, w San Fran, golf to nasz narodowy sport. Mamy prawdziwą ligę i jest nawet gazetka dotycząca rozgrywek. Tyle o bogaczach.

Późniejsi przybysze zamieszkali na obrzeżach i na południu miasta, nad zatoką. Niektórzy z nich, wraz z dziećmi, pracują dla krezusów z centrum, inni zaś trudnią się rybactwem. Całe wschodnie wybrzeże półwyspu nad Zatoką San Francisco to nabrzeża portowe. Dawniej były tu przystanie jachtowe, a dziś wypływają stąd jedynie kutry rybackie. Handel owocami morza i rybami to główny zarobek mieszkańców Chinatown, Dzielnicy Bayview i Dzielnicy Misyjnej. Zresztą jedna trzecia mieszkańców zajmuje się rybactwem. Ocean Spokojny jest naszym skarbem - żywi nas i daje pracę. Co prawda malkontenci sięją pogłoski, że ryby łowione z oceanu są wyjątk-

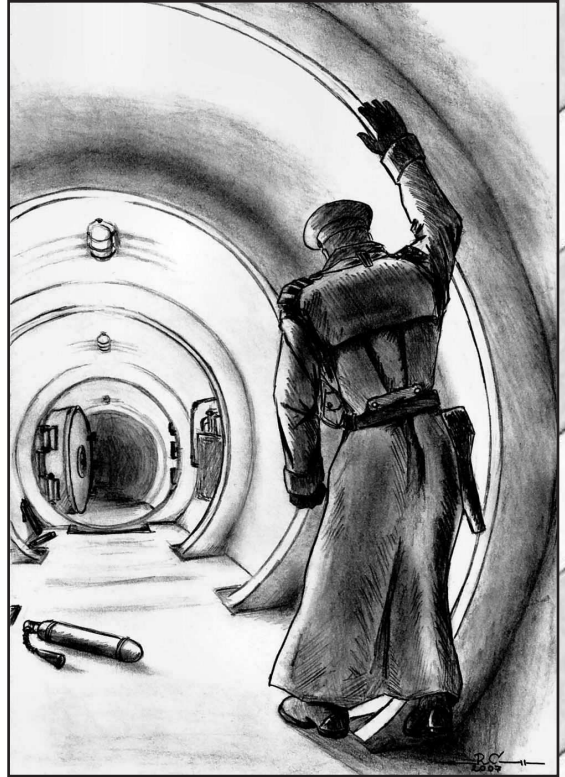


kowo szkodliwe, ale mało kto im wierzy, zresztą, i tak nikt nie zrezygnuje z ich spożycia - nie da się wyżywić całego miasta inaczej niż wcinając owoce morza.

Tym, co różni San Francisco od każdego innego miasta w Stanach, no może poza Detroit, jest wstrząsająca liczba sprawnych aut. Jak już wiele razy wspominałem, miasto nie zostało niemal wcale zniszczone, więc samochody też przetrwały. A teraz wyobraź sobie, że przed wojną na dwie osoby przypadał jeden samochód. Dasz wiarę? Jasne, obecnie wiele się zmieniło. 30 lat po uderzeniu znakomita większość aut sprzed już nie istnieje albo jest niesprawna. W końcu autoryzowane warsztaty firm motoryzacyjnych już nie funkcjonują. Ogromna ilość części zamiennych została rozkradziona, mnóstwo maszyn się po prostu zużyło. Pamiętaj, że używamy obecnie jakiejs paskudnej brejii powstałej z ropy, a nie przedwojennej benzyny. Silniki psują się jak szalone. Dlatego też, w porównaniu do pierwszych lat po wojnie, samochodów jest już dziś stosunkowo niewiele. Ale nadal mamy ich mnóstwo - prawie tyle, co w Detroit. Na jednego mieszkańca przypada po kilkanaście aut, choć w rzeczywistości większość wozów dawno temu przeszła w posiadanie elity lub została zagarnięta przez cwaniaków, którzy od 30 lat utrzymują się ze sprzedaży aut i ich części. Mamy w San Francisco pięć giełd samochodowych, na których możesz kupić dowolną brykę, od luksusowej limuzyny po terenowego jeepa. W zasadzie dostaniesz tu każdy typ cywilnego samochodu albo motoru.

Nieco gorzej jest u nas z benzyną. Co prawda burmistrz sprowadza w dużych ilościach ropę do generatorów prądotwórczych, więc paliwa do diesla nie brakuje, ale ze zwykłą benzyną jest ciężiej. Kilka firm transportowych dostarcza czasem nieco paliwa, ale nie jest tego zbyt wiele. Możesz się śmiać, ale jeśli przywieziesz do San Francisco benzynę, to bardzo chętnie sprzedadzą ci za nią samochód.

Sami mieszkańcy rzadko jeżdżą autami po mieście. Korków nie uświadczysz, ani nie ogłuszy cię ryk aut ścigających się pozerów. U nas jeżdżą nieliczni, których stać na benzynę, oraz właściciele diesli. Czasem napotkać można miejski autobus, na który zresztą burmistrz nałożył dość spory podatek. Oprócz autobusu mamy zresztą coś, czego nie spotkasz nigdzie indziej, gwarantuję ci. Po ulicach jeździ bowiem tramwaj. Co to takiego? Taki mały pociąg składający się z jednego wagonu, poruszający się na szynach w jezdni. Coś jakby autobus szynowy. Mamy też taksówki i pełno rikszy, więc własny samochód jest w zasadzie zbędny.



Stosunki zagraniczne

San Francisco jest w zasadzie odcięte od reszty kraju. Otoczone górami Sierra Nevada, ma sensowne połączenie drogowe jedynie z pobliskimi miastami i Los Angeles na południu. Autostrada nr 101 wciąż jest przejezdna. Najbardziej ożywione kontakty mamy właśnie z Miastem Aniołów, skąd przecież sprowadzamy paliwo. Na północnym wschodzie leży miasto Reno, z którym utrzymujemy dobre stosunki. Jeśli chodzi o miasta po drugiej stronie Gór Skalistych, w zasadzie kontakty są zerowe. Komu chciałoby się jeździć tak daleko? Poza wołowiną z Teksasu, nie handlujemy na większą skalę z innymi miastami. Aglomeracja musi radzić sobie sama.

San Francisco nie jest samowystarczalne. Okolice Aglomeracji są nadal dość silnie skażone, a mieszkańcy w mieście rybacy nie są w stanie nakarmić całego miasta. Zresztą, nie samymi rybami człowiek żyje, no nie? Znaczący, znam wielu Japońców, którzy mogliby wpieprzać tylko ścierwo wylowione z Pacyfiku, ale większość normalnych ludzi chce jeść też chleb, mięso itd. Jedyną rzeczą, której w San Francisco nie możemy produkować, jest więc jedzenie i paliwo.



Obie te rzeczy trzeba sprowadzać „zza granicy”, jak się tutaj to określa. Chodzi o granicę Gór Skalistych. Mięso i zboże sprowadza się z Teksasu. Wiele produktów można kupować z przemysłowego Los Angeles, które leży całkiem blisko. Stamtąd też przywozimy ropę i benzynę.

Towarami eksportowymi San Francisco są wszelkie urządzenia elektroniczne, komputery, podzespoły komputerowe, krzem, miedź i samochody. Wspominałem ci o tysiącach samochodów w mieście?

Najbardziej przyjazne i ożywione kontakty handlowe burmistrz utrzymuje z Los Angeles. Oni przysyłają nam paliwo, a my im pożyczamy naszych specjalistów i sprzedajemy elektronikę. Pływa tam nawet statek pasażerski. Jednak większość wymiany handlowej prowadzimy drogą lądową. Burmistrz zorganizował kilkanaście cystern, kilkadziesiąt ciężarówek i trochę jeepów do eskorty, a nazwał to Transportem Miejskim. Zakład zajmuje się importem paliw z Los Angeles. Autobusy miejskie należą do tej samej firmy. To na nie idzie część podatku płaconego przez tych, którzy chcą mieć elektryczność w domu i móc korzystać z komunikacji publicznej. Płacący podatek dostają nawet zaświadczenie comiesięczne, które upoważnia ich do jazdy autobusami i tramwajem.

Istnieją też prywatne firmy przewozowe. Prym wiodzie Korporacja Transportowa, powstała ze współpracy kilku mniejszych firm kurierskich. Samochody korporacji mają bardzo dobrą ochronę i świetnych kierowców. Dzięki zarządzeniom Rady Miasta nasze rodzime firmy transportowe mają przywilej na większość towarów przywożonych i wywożonych z San Francisco.

Obcą firmą jest Autostrada 66, która zajmuje się przewozem ludzi, poczty i towarów na słynnej autostradzie nr 66. Jeśli szukasz pracy, możesz zatrudnić się do ochrony karawan lub jako kierowca – o ile naprawdę dobrze umiesz prowadzić. Będziesz miał szczęście, jeśli pojedziesz z transportem do Los Angeles albo Vegas. Znacznie bardziej niebezpieczne są drogi do Teksasu, bo przekraczają tereny Hegemonii. Karawany do Reno przechodzą koło Sacramento, więc potrzebują ochrony przed atakami Diabłów. Nie słyszałeś o nich?

Zagrożenia

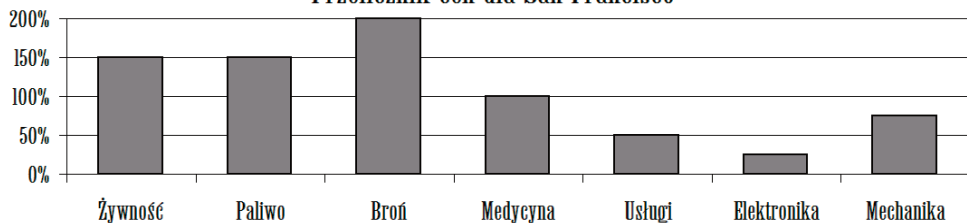
Wydawałoby się, że tak duże, ocalałe miasto jest bezpiecznym miejscem, prawda? Jednak Zachodnie Wybrzeże nie jest takie bezpieczne, jak by się wydawało. Co prawda, do Molocha mamy daleko, ale nie zawsze żyliśmy na pokojowej stopie z Los Angeles, a w okolicy kręci się mnóstwo gangów i band. Hegemonia też nie jest znowu aż tak daleko stąd, zwłaszcza, że frajerzy z Vegas trzymają z nimi sztamę.

Strażnicy pojawili się w mieście w odpowiednim momencie, bo, choć wówczas tego nie wiedzieliśmy, mafiosi z Los Angeles szykowali się do przejęcia władzy nad naszym spokojnym miastem. Wiesz, stary Logan starał się jakoś utrzymać z nimi dobre, a przynajmniej pokojowe stosunki, zresztą, potrzebowaliśmy ich ropy, ale, jak wiadomo, z gangsterami nie da się zbyt długo układać. Mafia miała jednak pecha i ich misterny plan militarny się nie powiódł – wszystko dzięki Strażnikom, którzy w miesiąc po przybyciu do San Francisco już musieli udowodnić swoją przydatność dla miasta. I zrobili to tak skutecznie, że najeźdźcy uciekali w popiochu, a szefowie mafii z LA błyskawicznie podpisali układ pokojowy.

Potem bossowie w Mieście Aniołów zmienili się i nawiązaliśmy nawet dość przyjazne stosunki handlowe. Taki stan trwa do dziś. Gdyby nie Strażnicy, którzy wprost spadli nam z nieba, dziś miastem rządziłiby bezwzględni gangsterzy z Thompsonami i nie byłoby tu tak spokojnie, jak jest teraz. Chociaż obecnie wszystko jest cacy, musimy być czujni, bo nigdy nie wiadomo, co strzeli do głowy mafii w Los Angeles. Jednak póki co, zdaje się, że mają tam swoją własną wojnę domową albo coś w tym stylu.

Do dziś za to toczymy walki z Los Diablos – wielkim gangiem z Sacramento, o którym ci jeszcze dokładniej opowiem. Wystarczy, iż wiesz, że te szumowiny zatruwają nam życie i terroryzują tereny na północ od San Fran.

Przelicznik cen dla San Francisco





**PRAWO I
BEZPRAWIE**



Wspominałem o tym, że miastem oficjalnie rządzi Benedict Logan, syn poprzedniego burmistrza? Gdybyś choć raz był po tej stronie Gór Skalistych, z pewnością ci o nieco byś usłyszał. Jest znany w całej Kaliforni. Trudno się dziwić - to jedna z największych szyc San Francisco, choć jak już powiedziałem, rządzi on miastem „oficjalnie”. Zauważyłeś to słowo? Spokojnie, wyjaśnię ci, czemu tak to nazywam, zresztą większość obywateli San Fran tak mówi.

Jeśli chodzi o samego Benedicta Logana, to jest to z pewnością osoba budząca respekt - swoją posturą, charakterem i zachowaniem. Facet mierzy ponad 2 metry wzrostu i jest wielki jak szafa. Gdy dodasz do tego masywne rysy twarzy - złośliwcy mówią, że są toporne - ujrzyś prawdziwego bossa o groźnym obliczu, przed którym, stojąc, czujesz się malutki jak mrówka. Owszem, facet robi wrażenie samą swą postacią, ale w rzeczywistości nie jest tak wielki, jak mu się zdaje. Prawdą jest, że pełni on legalnie funkcję Burmistrza i Szefa Milicji jednocześnie, tym samym zarządza Milicją San Francisco oraz wszelkimi urzędnikami. Prawdą jest, że jego Milicja potrafi utrzymać w San Francisco względny ład i bezpieczeństwo. Jednak nie wszystko układa się po myśli Logana. Gdy miastem rządził jego ojciec, wielkie organizacje przestępcze, takie jak Jakuza, Triada czy Diabły z Sacramento dopiero się rozdziły. Obecnie bardzo się rozrosły i zyskały potęgę porównywalną do samego burmistrza.

San Francisco rządzone jest przez jednego oficjalnego burmistrza i dwóch nieoficjalnych, którzy jednak niekiedy mają większą władzę od Logana. Szeptem wspomina się o skorumpowanych przez mafię urzędnikach, a nawet niektórych milicjantach. Jakuza i chińska Triada prowadzą w mieście i poza nim najbardziej dochodowe interesy i kontrolują znaczną

część handlu. Oczywiście wraz z nimi pojawiły się w San Fran narkotyki, prostytucja i przemoc. Milicja Miejska biorąca swój rodowód z przedwojennej policji, próbuje zwalczać przestępczość, lecz jest w stanie rozbić jedynie niewielkie grupy i wylapać same płotki. Szefowie mafii są nieuchwytni dla władzy, a ponadto oficjalnie cieszą się nieskazitelnym szacunkiem i uważani są za szlachetnych obywateli. Benedict Logan ma nie lada problem, jeśli chce utrzymać swą władzę i zachować autorytet.

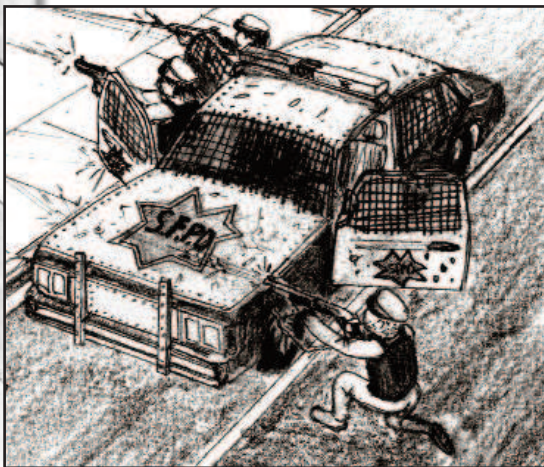
Są inne problemy, związane z charakterem burmistrza. Mówi się, że Logan jest po prostu zwyczajnie chciwy i zawistny. Chce trzymać wszystkich za gardło i narzuca na mieszkańców miasta haracz, który nazywany jest „podatkiem”. W teorii ma on służyć na odbudowę Krzemowej Doliny, polepszenie jakości życia w mieście, utrzymanie drogi do Los Angeles oraz utrzymanie Milicji Miejskiej. Praktyka pokazuje, że większość zebranych podatków pozostaje w prywatnych, podziemnych skarbcach Benedicta, urządzonych w dwóch schronach przeciwatomowych.

Milicja Miejska i Strażnicy

Formacja odpowiedzialna za utrzymanie porządku w San Francisco powstała bardzo dawno temu, niemal tuż po wojnie. Zorganizował ją przedwojenny szef policji miejskiej, więc bardzo przypomina prawdziwą policję, a milicjanci funkcjonariuszy z dawnych filmów - nawet jedzą pączki, których nam nie brakuje. Mamy kilka komisariatów w mieście oraz komendę główną, leżącą przy Golden Gate Avenue. Milicja jeździ nawet prawdziwymi radiowozami, tylko nieco wzmocnionymi i z siatkami w szybach. Wyposażeni są bardzo dobrze - oprócz broni krótkiej, używają strzelb i peemek. Noszą też kamizelki kuloodporne, co daje im oczywistą przewagę nad przeciętnym bandytą.

Wiesz, u nas w mieście nie jest tak znowu łatwo zdobyć broń czy pancierz, więc mało który bandyta jest równie dobrze uzbrojony jak Milicja. Jeśli zadrzesz z prawem, to możesz być pewny, że czeka cię pościg, a uciec, gdy w kilka minut w okolicy pojawia się kilka opancerzonych radiowozów, to nie lada sztuka.

W skład Milicji wchodzi też oddziały Straży Wybrzeża. Goście mają, tak jak przed wojną, szybkie motorówki i zwrotne łaziki, a uzbrojeni są w Steyry AUG i ich wersję na 9 mm, nie pamiętam jak się nazywała. Mimo że to niby Straż Wybrzeża, spotkasz ich też na ulicach Miasta, a nawet w okolicach Krzemowej Doliny. W końcu jest tam dużo do roboty, a w Zatoce nie ma aż takiego ruchu, aby potrzeba było aż tylu funkcjonariuszy...





Wiesz, Straż Wybrzeża i Milicja ma tyle karabinków Steyra, że nawet pojawiły się na nowym herbie miasta. Zachowaliśmy tradycję, bo pozostał na nim orzeł, ale dodaliśmy Steyra.

Oprócz blisko setki regularnych funkcjonariuszy, którzy patrolują ulice, jest elitarny oddział zajmujący się ochroną burmistrza. Jego członków nazywa się Strażnikami. Ci goście są wyposażeni raczej jak wojsko niż zwykła policja: jeżdżą wozem opancerzonym i trzema Hammerami. Pojazdy te stanowią zwykle eskortę kuloodpornej limuzyny Logana. Uzbrojeni są w karabinki, kamizelki przeciwodłamkowe, hełmy, granaty i te sprawy.

Strażnicy nie pochodzą z miasta, w ogóle historia związana z ich pojawieniem się jest ciekawa. Przybyli do San Francisco 5 lat po wojnie, gdy miasto dopiero podnosiło się z upadku. Przyjechali z północy, od strony Kanady, uzbrojeni, ale od razu wiadomo było, że nie byli rabusiami, zresztą nie byli zdolni do walki. Wręcz przeciwnie. George Logan zgodził się przyjąć ich do szpitala miejskiego, aby mogli tam wyleczyć rany. Okazało się potem, że był to oddział żołnierzy z Frontu, którzy zdezerterowali. Od nich po raz pierwszy usłyszeliśmy o istnieniu Posterunku, choć oni sami niewiele o nim wiedzieli. Nie mnie ich oceniać - ja na wojnie nigdy nie byłem i się nie wybieram - ale goście musieli chyba przeżyć tam niezłe piekło, skoro uciekli. Zresztą liczby mówią same za siebie - ze 150 żołnierzy, 10 Hummerów, tyluż samo transporterów i jednego czołgu ocalało ledwie pięćdziesiąt osób, kilka HMMWB i parę Bradleyów. Ci, którzy przeżyli, leczyli się w szpitalu kilka tygodni, wielu było kalekami, kilku dostało w łeb i odwalia im psycha. Zresztą, do tego jeszcze wróć, bo z tym też wiąże się jedna ciekawa historia. Tymczasem nasi frontowi żołnierze nie mieli zamiaru wracać na północ, zaś George Logan zaproponował im współpracę w odbudowie miasta i możliwość osiedlenia się w San Francisco. Był to wysmienity pomysł - poprawiło się nasze bezpieczeństwo, a i dezertrzy chętnie na to przystali. Oficjalnie nazwano tę formację Strażnikami i jest to najlepszy oddział zbrojny w mieście.

Aha, zapomniałbym, nigdy nie używaj terminu „dezerterski” w ich obecności, bo są na tym punkcie bardzo czuli. Najlepiej w ogóle pominąć temat Frontu. Zresztą, zapewne raczej ich nie spotkasz, bo obecnie kręcą się już wyłącznie w pobliżu Benedicta Logana, a nie, jak dawniej, kiedy patrolowali ulice i tereny wokół San Fran. Cóż, wizjonerowi, jakim był George Logan, Strażnicy pomagali chętnie, bo był idealistą. Obecny burmistrz utrzymuje ich przy sobie przywilejami oraz wysokim wynagrodzeniem.



Herb miasta to nasza duma i nie wstydzimy się, że znajduje się na nim karabin. Orzeł symbolizujący wolność i Steyr, który oznacza siłę i tę wolność zapewnienia. Prawda, patetyczne, ale to w końcu herb miasta, a nie szylt nad barem. Może gdy nadejdą lepsze, spokojniejsze czasy, karabin zniknie z godła, ale to nie jest pewne - ludzie lubią zachowywać pamięć o przeszłości i kochają tradycję. A Steyr jest już ikoną miasta i atrybutem Strażników, którzy trwale wpisali się w historię San Francisco.

No i jest jeszcze jedna kwestia - większość Strażników poeniła się z mieszkankami San Francisco, mają dzieci, ich synowie często poszli w ślady ojców i też służą jako Strażnicy. Trudniej by im było opuścić miasto.

Rada Miasta

Wiesz, mamy tu w San Francisco pozory demokracji pod postacią Rady Miasta, ale zapomnij o szczytnych hasłach z Nowego Jorku. Jasne, organ ten udaje demokratyczny, ale jej przewodniczącym jest... zgadnij, kto? No właśnie, oprócz Benedicta Logana są w niej przedstawiciele Uniwersytetu San Francisco, sygnatariusz (kurde, dziwnie go nazwali) Uniwersytetu w Stanford oraz przedstawiciele mniejszości chińskiej, japońskiej i kilku innych dupków z różnych dzielnic, którzy niby pilnują interesów mieszkańców miasta.

Tak naprawdę Rada ma niewielkie znaczenie, a jej członkowie albo wiażą w tyłek burmistrzowi, albo chcą jak najwięcej zyskać na byciu radnym. Owszem, czasem zdarzy się, że w wyjątkowo ważnej sprawie Rada zablokuje decyzję burmistrza i niekiedy Logan daje za wygraną, ale dzieje się to raczej rzadko. Wiadomo, że część spośród czternastu radnych próbuje przypodobać się też mafiom, które także mają swych członków w jej składzie. Wspominałem o przedstawicielach mniejszości chińskiej i japońskiej?



Aha, jeden z radnych aktualnie jest wiceprezesem Korporacji Taksówkarzy i ten koleś walczy w interesie swych pracowników, ale dla większości niewiele to znaczy. Ogólnie Rada to śmiech na sali i według mnie powinna w ogóle zniknąć, by zwolnić 4 piętro w Transamerica Pyramid.

Prawo

No właśnie. San Francisco jest jednym z nielicznych, jeśli nie jedynym, miastem w powojennych Stanach, gdzie obowiązują instytutacja „pozwolenia na broń”. Nie rób wielkich oczu ani nie śmiej się. To wcale nie jest dziwne - San Francisco to cywilizowane miejsce, gdzie obowiązuje prawo z prawdziwego zdarzenia. Zresztą, wyobrażasz sobie, co by się tutaj działo, gdyby każdy nosił na plecach karabinek albo pistolet maszynowy? Byłem kiedyś w Reno i wiem, jak to się kończy - codziennie na ulicach kolejna strzelanina i nowy trup. Tak jakoś już jest, że kiedy dasz komuś spluwę, to kusi go, aby jej użyć, a jeśli ten drugi facet też ma gnata, to z pewnością każdy spór skończy się na strzelaninie.

Pytasz, jak to możliwe, że udało się komuś zaprowadzić w San Francisco tak drakońskie prawo, że ograniczył nawet dostęp do broni? Pytanie dobre, ale odpowiedź jest prosta. Po pierwsze tutaj żyją NORMALNI ludzie, a nie oszołomy w stylu bandytów z Hegemonii, a po drugie, tym kimś, kto ustanawiał prawo, był nie byle kto. W końcu pierwszym burmistrzem był przedwojenny Szef Policji.

Tak więc istnieje kodeks karny, przepisy ruchu drogowego i normalne więzienie - nie skazujemy wszystkich przestępców na śmierć z natychmiastową egzekucją. U nas za kradzież ziarna ze straganu nie zastrzelą cię, tylko wyślą na roboty publiczne przy przetładunku ryb, odgruzowywaniu Krzemowej Doliny itd.

A co do tej broni, bo to cię na pewno najbardziej interesuje - wygląda to tak, że aby móc nosić broń w mieście, musisz dostać pozwolenie. Nikt nie dostanie pozwolenia na broń długą i automatyczną, więc zapomnij o paradowaniu po ulicach z M16 albo UZI. Jeśli jesteś przyjezdny, to przed wjazdem do miasta twoja broń zostanie zarejestrowana i w motelu, gdzie się zatrzymasz, będziesz musiał złożyć ją do depozytu. Jeśli funkcjonariusz Milicji zobaczy cię z karabinem na ulicy, broń zostanie zarekwirowana i przechowana na komendzie do czasu twojego wyjazdu. Lepiej się nie miotaj, bo w razie czego milicjanci cię aresztują albo nawet otworzą ogień. Tylko oni zresztą mogą nosić broń długą i automatyczną. No - co do automatów, to wiele razy widziałem na przykład ludzi Jakuzy z Uzi albo Ingramem, ale prawo ich nie do końca dotyczy.

Co jeszcze warto wiedzieć o naszych prawach? Cóż, są one tu dość surowe i podobne do przedwojennego. W niektórych aspektach nawet surowsze - za pedofilię i gwałt grozi śmierć, poprzedzona torturami. Tak, dobrze słyszałeś - torturami. I wiedz, że wszyscy popierają tu ten rodzaj kary. Nie pytaj dlaczego. Plotki powiadają, że jedna z córek George'a Logana, pierwszego burmistrza, została napadnięta i zgwałcona. Ale to w mieście w zasadzie temat tabu, więc zapomnijmy o tym.

Podobnie jest z homoseksualizmem. Obecny burmistrz nienawidzi pedałów i tyle. Jeśli więc coś z tobą jest nie tak, to lepiej omijaj nasze miasto z daleka. Nie wiem, jeźdź do Salt Lake albo gdzieś. Zasadniczo prawo nie jest jakieś bardzo stronnicze i będąc przyjezdny nie jesteś od razu skazany na przegraną. No, chyba że zadrzesz z rodziną Murdocków.

Aha, specyficzne są bardzo wysokie kary za niszczenie elektroniki i kradzież prądu elektrycznego. Ale nie sędzę, abyś odpowiadał z tych artykułów.

Mogę poradzić, żebyś był bardzo ostrożny wobec dziewcząt w dzielnicach Japończyków i Chińczyków - skośnoocy są bardzo czuli na punkcie swych żon i córek, a łatwo zarobić tam kulkę z tego powodu. W razie czego Jakuzą będzie bronić swojego rodaka, a ludzie Triady nawet Milicjantów Logana przekonają, że należała ci się kula w łeb.

Pozwolenia na broń

Pozwolenia wydaje Milicja praktycznie w ciągu jednego dnia i jest je dość łatwo zdobyć. Widocznie Logan doszedł do słusznego wniosku, że owoc zakazany jest najbardziej pożądanym, a ponadto żaden zakaz nie uniemożliwi obywatelom zdobycia giwery. W nie ograbionych domach na przedmieściach wciąż można znaleźć rewolwery i strzelby gładkolufowe, służące przedwojennym ludziom do obrony swych rodzin i mienia. Pozwolenia wydawane są bez przeszkód właśnie na broń krótką i gładkolufową. Wystarczy zdać test strzelecki (każda osoba posiadająca umiejętność Pistolety lub Karabiny na minimum 2 zdaje go automatycznie) i nie być znany przestępcą oraz ukończyć 16 lat. Dlatego radzimy wszystkim przyjezdny szybko wyrabiać sobie takie pozwolenia - unikną wtedy kłopotów z Milicją, a można je uzyskać bez problemu już wjeżdżając do San Francisco, w komendzie straży w Foster Gate. Pozwolenie kosztuje tylko 50 gambli. W zamian dostajesz plastikową kartę, którą musisz nosić przy sobie, jeśli nie chcesz zostać aresztowany za nielegalne posiadanie broni. Jeśli chodzi o broń automatyczną, istnieje większy problem



- w zasadzie jest to niemożliwe. Milicja dba, aby obywatele nie posiadali broni, która wyrównałaby szansę przeciętnych mieszkańców w starciu z siłami porządkowymi. Przyjezdni nie są tu wyjątkiem i muszą zdeponować swoje karabinki czy peemki w Foster Gate. Nie martw się - na każdy egzemplarz broni dostaniesz pokwitowanie, więc nie stracisz swojej ukochanej M16 albo... M60? Ty psychopato!

Anarchiści

Wiesz, mamy w mieście gangi, mamy żebraków, mamy biednych, chorych i pospolitych złodziejasków, mamy wiele problemów. Jednak są goście, którzy wnerwiają wszystkich permanentnie. Ludzie mają różne powody, aby robić gnój na ulicy. Niekiedy potrafię zrozumieć faceta, który z głodu kogoś okradnie albo nawet użyje siły. Potrafię wyobrazić sobie siebie samego w roli bandyty - gdyby głód mnie do tego zmusił. Ale nigdy i za nic w świecie nie zrozumieć debili, którzy robią dym nie dla gambli, nie dla jedzenia, nie aby się bronić, ale z nienawiści do władzy.

Anarchiści, bo o nich mowa, mają mocno nawalone we łbach. Goście ogłupieli do tego stopnia, że nienawidzą wszelkiego przejawu organizacji społecznej i zwalczają każdy rodzaj władzy, nawet jeśli by była ona powszechnie szanowana. Fakt, może burmistrz Logan nie jest zbyt kochany w San Francisco, ale to nie powód, aby niszczyć wszystko, co organizuje w mieście. Tymczasem Anarchiści za swój główny cel uznają burzenie porządku publicznego i rujnowanie tego, co uda nam się zbudować. To chyba najgorszy z gangów, a co gorsza, ci frajerzy uważają się za jakichś mesjaszów idei wolności, czy takich tam bzdur.

Nie rozumiem, jak podpalanie sklepów, napadanie na milicjantów i dewastowanie autobusów ma propagować wolność i swobodę... Może ty potrafisz mi to wytłumaczyć? Czy też uważasz, że Anarchiści są popieprzeni? Bo wiesz, u nas w San Fran większość mieszkańców najchętniej widziałaby tych popaprańców w więzieniach albo na cmentarzu.

Najgorsze jest to, że plaga tej debilnej ideologii szerzy się wśród biedoty i coraz częściej na ulicy można spotkać najaranych punków głoszących hasła anarchistyczne. Za dnia tylko gędzą i palą trawkę, ale w nocy poza paleniem chodzą na demolki i polują na wszystkich, którzy kojarzą im się ze znienawidzonym porządkiem społecznym.

Wspominałem już o napaściach na Milicjantów? Swego czasu kilku przedsiębiorczych koleśki chciało otworzyć w mieście prawdziwą pocztę - wiesz, z urzędami, skrzynkami na listy i listonoszami. Ale nic z tego nie wyszło.



W jedną noc Anarchiści spalili budynek poczty i zdemolowali kilka pierwszych skrzynek na listy. Założyciele interesu stracili wszystko, co mieli, a mieszkańcy wściekli się jak jasna cholera. Wielu ochotników chciało nadal roznosić listy, ale Milicja nie zgodziła się z obawy, że listonosze zostaną napadnięci. No i nie mamy poczty do dzisiaj.

Teraz chyba zrozumiesz, czemu tak nienawidzimy tych kretynów? Najchętniej powywieszałbym ich za jajca na miejskich latarniach. Zresztą, Milicja zwalcza Anarchistów. Czasem zamykają ich w więzieniach, ale zwykle po prostu taki frajer dostaje kulkę. Zdarzają się też samosądy mieszkańców. Ot, kilku punków-anarchistów przyłapanych na malowaniu sprejami murów albo dewastacji zostanie czasem zatłuczonych na śmierć albo zastrzelonych. I dobrze im tak. Wiesz, zupełnie nie rozumiem - dlaczego ci durnie nie wyniosą się z naszego wspaniałego miasta gdzieś na cholerną pustynię? Skoro tak im nie odpowiada nasza organizacja społeczna, to niech wypieprzają. Nikt ich nie zmusza do życia w San Francisco.

Mój kumpel, Benny, jest nieco dziwny. Twierdzi, że Anarchiści potrzebują naszej pomocy. Mówi, że to zagubione dzieci postapo-

(...) Przed wojną myślałem, że państwo policyjne jest złe, że swobody obywatelskie są naruszane i że FBI ma zbyt duże uprawnienia. Narzekaliśmy, robiliśmy pikety. Teraz, kiedy Rząd nie istnieje, z żalem wspomnamy i marzymy o powrocie służb mundurowych. Boimy się i nie ma nas kto bronić. Brakuje policji, FBI i tajniaków. Tęsknimy za agentami przeszukującymi ludzi na ulicach, czujnym okiem strażników na lotniskach i radiowozami na każdym rogu. Gdy tego zabrakło, wcale nie poczulśmy się wolni. Za to zrobiło się niebezpiecznie. W nocy szaleją rabusie i gwałciciele, za dnia co rusz słychać strzelaniny. Kradzież, rabunek, napady, podpalenia - mamy powody do strachu. Ludzie muszą bronić siebie i swoich bliskich na własną rękę. Kiedy ktoś wreszcie zrobi porządek? Mamy już dość ciągłego strachu. (...)



kalipsy, które straciły wiarę w społeczeństwo i wyładowują swoją frustrację albo coś takiego. Ale to głupie, nie? Jak dla mnie, Anarchiści potrzebują solidnego kopa w mordę, a nie pomocy. Benny jest jednak bardziej niż trochę dziwny.

Wracając do problemu, ucieszyłbym się, gdyby ktoś przepędził tych debili z miasta raz na zawsze. Może Anarchiści muszą wysadzić coś, co należy bezpośrednio do Benedicta Logana, aby wreszcie wziął się za nich na serio. W każdym razie wiedź jedno - jeśli zobaczysz kogoś z wielkim „A” w kółku na koszulce albo z takim tatuażem, robiącego rozróbę, strzelaj do niego bez pytania. Możesz być pewny, że Milicja cię za to nie zamknie, a świadkowie jeszcze ci pogratulują.

Diabły z Sacramento

Dawniej ponoć nie było z nimi takich problemów, ale ostatnimi laty rozzuchwalili się i bardzo urosli w siłę. To chyba najliczniejszy gang na całym Zachodnim Wybrzeżu. W końcu mało który gang liczy tylu członków co całe miasteczko, no nie? Sacramento leży jakieś 100 mil na północny wschód od San Francisco, w tym samym miejscu co przed wojną. Jednak

samo miasto nieco się zmieniło. Dziś rządzi nim bandycka junta przewodząca wielkiemu gangowi o nazwie Los Diablo. My nazywamy ich po prostu Diabły, czasem dodając, że są z Sacramento, kiedy rozmawiamy z przyjezdnymi.

Mieszkańcy Sacramento od zawsze byli niepokorni i raczej wrogo nastawieni do San Francisco. Przez pierwsze lata George Logan starał się nawiązać przyjazne stosunki z Sacramento, ale nie udawało się. Jednak dopiero jakieś dziesięć lat temu, gdy władzę w mieście przejął niejaki Michael Green, mieszkańcy Sacramento zorganizowali się w naprawdę groźny gang.

Widocznie wybrali odmienny sposób na przetrwanie niż my w San Fran. My pracujemy uczciwie i handlujemy, starając się odbudować nasz świat na podobieństwo przedwojennego - no, nie wyskakuj mi tu z Nowym Jorkiem znowu, nie marzą nam się szczytne ideały i hasła demokratyczne. Tymczasem ludzie z Sacramento wybrali drogę łatwiejszą - rozbój i bandytyzm. Opancerzyli samochody, zdobyli szybkie motory, sporo broni, otoczyli miasto szanćcami i wieżami obserwacyjnymi, czyniąc je bazą wypadową. Gdyby nie bliższe ściany biurowców w centrum, z daleka Sacramento wyglądałoby jak ufortyfikowany obóz wojskowy.

Nie wiem skąd wzięła się nazwa Diabły, ale brzmi odpowiednio groźnie i patetycznie i o to chyba chodziło. Bandyty z Sacramento kontrolują cały teren na północ od San Francisco, aż po Reno i zmusili wszystkie mniejsze osady do płacenia haraczu. Dawniej nie odważali się zaczepiać San Fran, przestając na atakowaniu karawan i grabieniu samotnych podróżników. Teraz stali się bardziej bezczelni i parę razy już próbowali zaatakować miasto. Jednak próby sforsowania mostów nad Zatoką nie powiodły im się i po dużych stratach musieli się wycofać. Od pół roku nie zbliżyli się do Aglomeracji. Chyba dostali nauczkę, ale nie wiadomo, czy nie rozjuszyło to tylko bardziej Greena i czy nie szykują groźniejszego napadu.

Diabła rozpoznasz po czarnej opasce, albo tatuażu na klatce - często jest to stylizowany płomień, a niekiedy sylwetka diabła. Mają chłopaki fantazję, ale raczej nie ma się z czego śmiać. Jeśli będziesz jechał do San Francisco, radzę ci wybrać drogę z Vegas albo nawet przyjechać od południa od strony Los Angeles. Tam nie napotkasz Diabłów.





WIELONARODOWOŚĆ



Wielonarodowość. I to przez duże „W”. Już przed wojną to miasto zamieszkałe było przez masę różnych narodowości. Dziś dominują Azjaci wszelkiej maści, ale na ulicy usłyszysz też takie języki jak francuski, hiszpański, spotkasz przybyszy z Europy Wschodniej, a nawet z Afryki. Czarnych jest tu jednak stosunkowo najmniej. Wiele narodowości sprawia, że mamy miasto wielokulturowe - wchodząc na inną ulicę możesz trafić w inny świat. Sytuacja z językami jest tu co najmniej zabawna, można powiedzieć, że panuje mały... galimatias.

Możesz mieć spore problemy, aby dogadać się z ludźmi na ulicy, zwłaszcza, kiedy znajdujesz się w chińskiej dzielnicy. Nauka języków jednym przychodzi łatwo i w tydzień uczą się, jak dogadać się z sąsiadem, innym pozostaje język migowy i komiks. Zwłaszcza Japończycy malują na murach swoich dzielnic różne obrazkowe komunikaty dla „barbarzyńców”, jak nazywają białych. Zdarza się też i tak, że, nie rozumiejąc się, ludzie żyją obok siebie w milczeniu, nie odzywając się do siebie ani słowem. Sam mam takiego sąsiada - murzyna, który codziennie rano mija mnie z kartonem żarówek, którymi handluje na pobliskim targu. Facet nie zna angielskiego i ciekawi mnie, jak on się w ogóle dogaduje z kupującymi. Pokazuje na palcach, ile gambli chce za żarówkę?

Bałagan kulturowy być może dodaje miastu uroku, ale wnosi też sporo chaosu i do tego czasem rodzą się napięcia między różnymi mniejszościami. Do strzelanin jednak raczej nie dochodzi. Nikt nie zabije cię za francuskie pochodzenie albo za czarny kolor skóry. Czy mówiłem, że San Francisco to miasto prawa?

Spis powszechny ludności

Wyobraź sobie, że nasi urzędnicy miejscy sporządzili spis ludzi żyjących w mieście z podziałem na rasy, narody i dzielnice. Nie widziałem, rzecz jasna, tego dokumentu, ale słyszałem, że podobno niedługo ma zostać przedstawiony dla opinii publicznej. Z raportu ponoć wynika, że więcej niż Chińczyków jest w San Francisco tylko białych, ale to wie każdy, nawet bez zliczania statystyk. Ciekawsze jest to, że spis zawiera też dane o stanie posiadania obywateli. Ponoć trzy czwarte miasta należy do członków Rodzin, mimo, że stanowią one ledwie ułamek populacji.

Jadowite węże

Życie w San Francisco byłoby sielankowe, gdyby nie gangi, okresowy głód, burmistrz-tyran, BBC i jadowite węże. Tych ostatnich jest wszędzie pełno - gnieźdzą się na przedmieściach, kryją w zakamarkach zrujnowanych domów, w kanalizacji i tunelach metra. Pełzają po gruzowiskach i polują na naszych polach. Ukryte wśród kukurydzy czy liści rzodkwi czekają na ofiarę. Polują na szczury i myszy, ale atakują też ludzi. Ukąszenia nie unikniesz - nie ma bata. Jeśli wąż cię zaskoczy - a na pewno mu się to uda - to nie mrugniesz nawet okiem i już masz dwie wąskie dziurki po kłach jadowych w nodze. Sukinsyny atakują często kilkakrotnie, choć ich jad jest wystarczająco silny, aby zabić po jednym ukąszeniu. Toksyny zaczynają działać niemal natychmiast - najczęściej rozpuszczając tkanki wokół miejsca ukąszenia. Bardzo paskudna forma śmierci - straszliwie się męczysz, boli jak skurwysyn i umierasz od wewnętrznego krwotoku. Nie pomoże wysysanie jadu ani inne szamańskie bajery - życie uratuje ci tylko antidotum, którego oczywiście nigdy nie ma pod ręką. Na szczęście lekarze z Campbell produkują surowicę z jadu łapanych w mieście węży, więc, jeśli zdążysz jakoś dotrzeć do szpitala, a masz na to ledwie kilka minut, to uratują ci życie. Czasem, gdy mają większy zapas, sprzedają ludziom antidotum - dawka kosztuje 50 gambli. Może się wydawać dużo, ale to cena twojego życia, więc radzę ci zaopatrzyć się przynajmniej w jedną porcję, jeśli będziesz miał taką możliwość.

Jak mówiłem, wyłapujemy węże. Nie tylko na produkcję antidotum, ale też dla skór, mięsa i z czystego zamiłowania człowieka do polowania. Ponadto łowcy węży ratują życie wielu ludziom. Poznasz gości po długich kijach i sieciach oraz wysokich kaloszach z bardzo grubej gumy lub skóry. Niektórzy okrywają sobie łydki metalowymi osłonami i słowem wszystko, byleby nie dać się ukąsić. Łowcy zawsze mają przy sobie trochę antidotum i jeśli akurat będą w pobliżu, gdy zostaniesz ukąszony, poratują cię. Łapanie węży to całkiem intratne zajęcie, a przy tym ekscytujące - coś dla prawdziwych mężczyzn, podobnie jak polowanie na aligatory w Miami, tylko że nieco mniej hardcore'owe. Ze skór węży robi się u nas torebki, buty i kabury na broń, a mięso jest przysmakiem - znajdziesz wiele małych knajpek i budek serwujących pieczonego węża jako danie główne. Polowania na gady nasilają się przed zimą, kiedy ludzie robią zapasy żywności - wówczas ulicami chodzą całe grupy ludzi z tyczkami i sieciami, a niekiedy miotaczami płomieni. Polują wszyscy - łowcy, nie łowcy, kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy. Tylko dzieci trzymane są z dala od węży.



CHIŃCZYCY



W San Francisco roi się od Chińczyków, bracie. Ponoć przed wojną nie było ich aż tylu. Dziś mają swoje własne centrum miasta leżące w Chinatown. Mają tam prawdziwe domy z pagodami, bambusowe zadaszenia, papierowe, kolorowe smoki, sztuczne ognie, lokale z zieloną herbatą i sushi oraz oczywiście chińską mafię, która tym wszystkim rządzi.

Triada to potężna organizacja i można powiedzieć, że niemal każdy skośnooki w mieście służy jej mniej lub bardziej. Układ jest taki, że Milicja Miejska i Logan nie wtrącają się za bardzo w sprawę Chinatown i Portu, a w zamian Triada zbiera za nich podatki i po odcięciu sobie procentu, przekazuje je burmistrzowi. Układ o tyle wygodny, że oni się jakoś dogadują w tym swoim dziwnym języku, a ponadto są pracowici.

Stary, nie ma, może poza Japończykami, bardziej pracowitej narodowości w San Fran. Chinole równo zapieprzają w porcie, babrajac się w rybach i ośmiornicach i pedałużają setki kilometrów po mieście na tych swoich śmiesznych trójkołowych powerkach... Jak to szło? Riksza? Chyba tak. Jeśli chcesz gdzieś szybko dotrzeć, na przykład na drugi koniec miasta, a nie znasz ulic i nie masz auta, weź riksze. Chińczycy zdominowali rynek usług transportowych głównie z powodu niskich cen. Toczą nieustanne wojny z tradycyjnymi taksówkarzami jeżdżącymi samochodami. Często jakiś biały staranuje riksze swoją taksówką, a potem w odwecie Żółtki zadźgają jego kumpla w ciemnej uliczce. Takie życie taksówkarzy.

Ale chińska mafia nie poprzestaje na handlu rybami i rikszech. Zajmuje się też prostytucją oraz sprzedażą i przemytem narkotyków produkowanych w Alcatraz. Mając port w garści, nie mają problemów z zaopatrywa-

niem Alcatraz w surowce i odbieraniem gotowego towaru. Przemysłowcy używają szybkich motorówek i pływają nocą, więc straż przybrzeżna ma ciężką pracę. Burmistrz Logan nie daje rady powstrzymać handlu narkotykami w mieście, chociaż próbuje. Jego ojciec radził sobie lepiej, ale wtedy też Triada nie była tak silna.

Mówię ciągle „Triada”, ale w rzeczywistości jest kilka Triad, które konkurują ze sobą, czasem zwalczając się nawzajem zbrojnie. A tylko w kontaktach z burmistrzem i resztą miasta występują razem. Najsilniejsza z Triad rezyduje w centrum Chinatown i to ona reprezentuje chińską mafię.

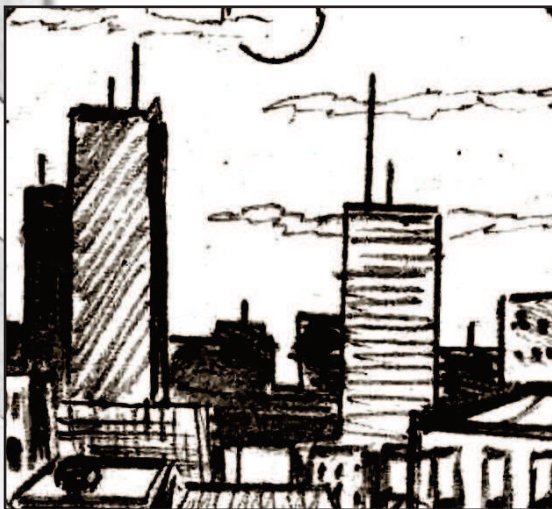
Legendarny jest już konflikt między Triadą, a japońską Jakużą, rezydującą na południu miasta. Chodzi głównie o kwestie ideologiczne i jakąś zadrę z czasów wojny, bowiem organizacje te prawie nie wchodziły sobie w drogę, jeśli chodzi o interesy. Prawie, bo Japończycy przejęli rynek najbardziej zaawansowanych technologicznie sprzętów, mając dostęp do odpowiedniego sprzętu, co bardzo boli Triadę. Tak więc na linii demarkacyjnej między strefami wpływów Jakuzji i Chinoli, którą jest dzielnica Brisbane, zdarzają się liczne utarczki i leje się krew.

Triada pierwsza

Czyli najważniejsi Chińczycy w mieście. Do nich należy całe Chinatown i tamtejsze herbaciarnie oraz luksusowe burdele. Jednak ich władza bierze się stąd, że byli po prostu pierwsi. Wielu z nich to potomkowie przedwojennych mafiosów. Ludzie Pana Kanga rządzą chińską częścią miasta.

Kang to szef wszystkich szefów w chińskiej Triadzie i pobiera haracze od pozostałych bossów. Jest rozjemcą i sędzią, a słyszałem, że jego wyroki są bardzo surowe. Ostatnio jeden z bossów nie miał szczęścia i został żywcem powieszony na własnych jelitach na jednej z latarni. Milicja Logana nie zareagowała - zostali wcześniej uprzedzeni i zwyczajnie przekupieni, jak myślę.

Kang nie walczy z ludźmi burmistrza, dogadał się z samą górą i ma w Chinatown wolną rękę. Jest z niego taki cholerny pan życia i śmierci. Mieszkańcy chińskiej dzielnicy drżą ze strachu, gdy o nim mówią. Gro czynszu płaconego przez Chińczyków nie idzie wcale do budżetu miasta, tylko ląduje w kieszeni Kanga. Mają układ z Loganem - Triada nie walczy z Milicją, za to Kang odcina sobie co nieco z podatków.





Triada portowa

Li Tsu i jego zakapiory o krzywych mordach zajęli port i rządzą się tam w najlepsze. Li Tsu był pierwszym z ludzi Kanga, który odważył się obwołać nowym bossem. Szeft wszystkich szefów lubił i cenił Li Tsu, ale zuchwałość gangstera go rozwścieczyła. Wybuchła wojna. Po serii krwawych starć pojawiło się niebezpieczeństwo, że Benedict Logan postanowi wykorzystać bratobójczą wojnę i zmiażdży zdziesiątkowanych Chińczyków. W obliczu takiego zagrożenia Kang i Li Tsu wreszcie się dogadali i podzielili między siebie tereny.

Triada portowa jest zaraz po Pierwszej najsilniejszą i kontroluje niemal cały handel morski miasta. Jeśli wywołasz w porcie jakąś burdę, możesz być pewien, że z cumujących wokół kódek i barek odezwie się ogień maszynowy ludzi Li Tsu. Jego bandziory pilnują, aby interesy szły dobrze, a burdy temu nie służą, więc gangsterzy ich nie tolerują.

Li Tsu jest człowiekiem pieniądza, a raczej gambla, więc jeśli nie ma w tym interesu, nie zabije cię. Jest stosunkowo łagodny, jak na człowieka Triady, ale nie przeszkadza mu to utrzymywać pozycji. Jego żołnierze są najlepiej wyposażeni ze wszystkich członków Triady i panuje wśród nich najlepsze morale. Co ciekawe, do Triady portowej należą też wielu białych, mowa oczywiście o pracownikach portu i rybakach. Nie mają oni w sumie wyboru i muszą współpracować z ludźmi Li Tsu, który zresztą pełni funkcję bosmana portowego.



Dzień 12 - Pożary na wschodzie wreszcie dogasają. Teraz nieliczni bohaterko walczą z ogniem w okolicach Sunnyvale. Richmond i Oakland wyglądają upiornie, nawet z drugiej strony Zatoki. Nie sądzę, aby ktoś przeżył tam wybuchy.

Dzień 13 - Gwardia Narodowa podała nowy komunikat o poziomie promieniowania - 50 radów dziennie na wolnym powietrzu przy wietrze wschodnim. Ludzie z przerażeniem liczą dawki, jakie otrzymali od dnia Zero. Niektórzy panikują, inni się modlą.

Dzień 14 - Jeremy Hawkins, mój sąsiad, popełnił samobójstwo. W nocy zmarła jego żona i dwie córki.

Dzień 15 - Idąc Vincente Street, widziałem kilkadziesiąt ciał zakrytych prześcieradłami. Chodzą słuchy, że zaczyna umierać coraz więcej ludzi.

Dzień 16 - Gwardia Narodowa podała nowy raport o promieniowaniu. 8 radów. Podejrzane jest, że dawka tak szybko nagle zmaląa. Brakuje wody w niektórych dzielnicach.

Dzień 17 - Dziś rano Gwardia Narodowa strzelała do ludzi chcących siłą wdrzeć się do jednego ze schronów w centrum miasta.

Dzień 18 - Chodzą plotki, że ludzie, którzy przeżyli w Las Vegas, mają telewizję i odsłuchali orędzie prezydenta. Czy rząd pomoże naszemu miastu?

Dzień 20 - Teraz już wiem na pewno, że opowieści o orędziu prezydenckim to zwykłe bajki. Ale podobno w Las Vegas ktoś faktycznie przeżył.

Dzień 21 - Umiera coraz więcej ludzi. Niektórzy, którzy dotąd czuli się dobrze, nagle zapadają na chorobę popromienną.

Dzień 22 - Niektórzy ludzie nie chcą przyjmować dolarów jako waluty. Dziś widziałem, jak pracownicy apteki wydawali lekarstwa tylko za żywność. Ludzie są oburzeni. Czy to możliwe, że będziemy mieli handel wymienny? Dobrze, że mam jeszcze trochę konserw.

Dzień 23 - Coraz częściej mówi się o bandach rabusiów okradających nocami sklepy. Przestępczość nasila się z każdym dniem.



Dzikie Psy Wu-Lina

Wyją, gryzą i szcżą pod siebie, jak się złośliwie o nich mówi. My, biali, nienawidzimy tej Triady najbardziej ze wszystkich. O ile Kang zadawała się dyktaturą w Chinatown, Li Tsu jest w miarę ugodowy, zwłaszcza, gdy zwęszy dobry gambel, to Wu-Lin i jego Dzikie Psy to straszne skurwiele.

Wu-Lin to zbuntowany brat samego Kanga, który siedział cicho i potulnie przytakiwał swemu krewniakowi tak długo, aż Li Tsu nie założył swojej Triady. Wówczas Wu-Lin pomyślał sobie „Cholera! Dlaczego niby ten kawał gówna, Li Tsu, może być niezależny, a ja nie?”. Tak pomyślawszy, postanowił szybko przejść do czynu i podpaliwszy kilka magazynów i bloków mieszkalnych w pobliżu portu, wyniósł się poza dzielnicę chińską. Spory kawał Baywiew, Patrero i Chinatown wówczas spłonął, a pożar gasiło pół miasta, choć drugie pół szczerze życzyło Chińczykom, aby usmażyli się w ogniu.

Nieżył psychol jest z tego Wu-Lina, nie wiem, na cholerę mu był ten pieprzony pożar. Myślę, że chciał, aby jego przeprowadzka była widowiskowa, no i pewnie pragnął trochę dokopać Li Tsu. Gdy Baywiew dogasało, Wu-Lin siłą zajął jedną z mniejszych dzielnic na południu San Francisco o dźwięcznej nazwie Tanforan i natychmiast wydał wojnę sąsiadom z południa - czyli Jakuzie. Triada zawsze walczyła z Japończykami, ale Dzikie Psy rzuciły się na nich z wyjątkową zjadłością.

Nie potrafię ci wytłumaczyć do końca, jak to się stało, że Wu-Linowi upiekła się ta cała szopka. Podpalenie części miasta, rozścieczenie Logana i naruszenie kruchego wówczas, ale jednak działającego, zawieszenia broni z Jakuzą, powinno wystarczyć,

aby braciszek Szefa Wszystkich Chińczyków dostał kosę w zębra. Mimo to Wu-Lin uzyskał przebaczenie od brata, Kang nawet wstawił się za nim u burmistrza i uciszył Li Tsu, który chciał pozabijać wszystkich ludzi Wu-Lina za podpalenie Baywiew. Nie ma to jak więzy rodzinne.

Triada z Alcatraz

Najmniejsza, ale bardzo bogata grupa, której wszystkie dochody i siła pochodzą z produkcji narkotyków. Bossem jest na Alcatraz niejaki Cheng. Jego chemicy dzień i noc pracują w laboratoriach rozlokowanych w dawnym więzieniu i produkują wszystko, na co jest popyt. Kokaina, LSD, Morfina, co tylko chcesz.

Wyprodukowany towar jest przemycany przez Zatokę do portu dzięki całej rzeszy plotek. Większość łodzi kursujących między Alcatraz a wybrzeżem jest pusta - wysyłane są dla ściemy, zaś przewoźnicy nie wiedzą, czy mają na łodzi puste paczki czy prawdziwy towar. Wszystko to dla zmylenia Straży Wybrzeża, która ściga łodzie kursujące do Alcatraz.

Ciekawi cię pewnie, jak to jest, że Li Tsu, który przecież rządzi portem i Zatoką, nie położył łapy na interesie Chenga? Cóż, faktycznie, gdyby tylko cwaniak mógł pozbyć się aktualnego gospodarza Alcatraz, na pewno by to zrobił, ale nie ma takiej możliwości. Zdaje się, że Cheng ma bezpośrednią ochronę od samego Kanga i jest nietykany. To Kang dostaje haracz z Alcatraz, a nie Li Tsu, choć to przez jego port idzie przemyt narkotyków do miasta. Cóż, trzeba przyznać, że tutaj szef Triady portowej dał dupy, nie zajmując Alcatraz jako pierwszy, zaraz po pożarze sprzed sześciu lat.

Estakada nr 380

To cholernie niebezpieczne miejsce, niemal jedyny obszar San Francisco, gdzie prawie codziennie dochodzi do strzelanin i walk ulicznych. Droga nr 380 to dwupasmowa szosa szybkiego ruchu wznosząca się na wysokiej Estakadzie z licznymi rozjazdami i bezkolizyjnymi skrzyżowaniami, która oddziela należące do Jakuzy San Bruno na południu od małego osiedla Tanforan na północy, zajmowanego przez gang Wu-Lina. Zanim Dzikie Psy zamieszkały w Tanforan, mieszkali tu biali, którzy odgradzili się od Japończyków, usypując pod estakadą nr 380 wielką ścianę śmieci, gruzu, wraków samochodów i piasku. Obecnie ta granica jest miejscem licznych walk ludzi Wu-Lina i żołnierzy Jakuzy. O ile Japończycy zazwyczaj poprzestają na obronie pogranicza, chińscy gangsterzy występują w roli agresorów. Czasem wjeżdżają na Estakadę od zachodu i ostrzeliwiają z niej dzielnicę japońską. Jakuzka ma z nimi duże utrapienie i jak na razie Pan Tsung nie zdecydował się przeprowadzić większej akcji ofensywnej w celu pacyfikacji Tanforan. Prawdopodobnie nie chce wywoływać otwartej wojny z Kangiem, którego gniew mógłby być niewyobrażalny, gdyby Japończycy skrzywdzili jego zbuntowanego brata. Dzikie Psy, świadome ochrony ze strony szefa wszystkich Triad, poczynają sobie dość beczelnie, organizując niekiedy nawet rajdy w głąb San Bruno. O każdym takim ataku dowiadujemy się widząc nowe ciała wiszące na Estakadzie, rankiem następnego dnia. Jakuzka torturuje każdego dorwanego żywcem Dzikiego Psa, a potem wiesza go na widoku, aby budzić postrach wśród jego towarzyszy. Ludzie Wu-Lina ściągają zawsze swoich ziomków natychmiast po zauważeniu i robią im widowiskowe pogrzeby przypominające jakieś satanistyczne ceremonie, podczas których obiecują zemstę Japończykom. Nie ma to, jak mieszanka kultur - chińscy gangsterzy malujący pentagramy zawsze mnie bawili.



JAPOŃCZYCY



Wiesz, po wojnie, kiedy wyginęła niemal cała populacja Stanów, bardzo łatwo o zachwianie proporcji między narodowościami i rasami. Wystarczy, że gdzieś do brzegu przybije kilka statków z azjatyckimi uciekinierami i już stają się największą mniejszością narodową. Tak stało się u nas, w San Francisco. Że co? Co to mniejszość narodowa? Stary, nie załamuj mnie. Jak w wiosce mieszka stu Amerykanów i piętnastu, dajmy na to, Japończyków, to wtedy skończocy są mniejszością narodową. Proste, nie?

No więc u nas proporcje są nieco bardziej zachwiane. Około 20 lat temu mieszkańcy San Fran ujrzeni na horyzoncie nadplywające statki z dziwnymi białymi flagami z czerwoną plamą. Początkowo myśleli, że to jakiś nowy wybryk Molocha i już chciano ściągać działa z Hunters Point, kiedy kilku Japończyków mieszkających w mieście gorączkowo wytłumaczyło George'owi Loganowi, że na masztach widać flagi Japonii. Wyobrażasz sobie? Pieprzone skońnockie karzełki przepłynęły Ocean Spokojny i wylądowały w San Francisco! Wrodzona dobroć ówczesnego burmistrza i brak rąk do pracy przy uprawach i odgruzowywaniu Doliny Krzemowej skłoniły mieszkańców do pozwolenia żótkom na osiedlenie się w San Fran.

Japończycy zajęli głównie południowe obszary Aglomeracji, ale oprócz Sunnyvale, zamieszkali też na przykład w San Bruno i to ta dzielnica jest teraz kojarzona z Jakużą.

Pewnie ciekawi cię, skąd się u nas wzięli na swoich statkach? A widzisz, to jest prawdziwa zagadka. Oni sami twierdzili i wielu z nich nadal tak mówi, że uciekli z Japonii przed zbudowanymi maszynami, które opanowały Wyspy Japońskie. Kojarzy ci się to z czymś? Brawo. Nie wszyscy co prawda w mieście wierzą, że Moloch zajął Japonię, niektórzy zaś sądzą, że Żótki uciekły przed skażeniem. Wyspy Japońskie są tak małe, że byle jaka awaria elektrowni atomowej oznaczałaby dla nich skażenie całego kraju, a co dopiero mówić o globalnym konflikcie atomowym.

Ja sam jednak nie jestem pewien, czy w słowach Japońców nie kryje się straszna prawda. Całkiem możliwe, że to Moloch wykurzył ich z ojczyzny. W końcu przedwojenna Japonia była wielokrotnie silniej zrobotyzowana i rozwinięta technologicznie niż nawet Krzemowa Dolina. Nie zdziwiłbym się, gdyby u nich Sztuczna Inteligencja wyewoluowała szybciej niż w naszych laboratoriach rządowych. Idąc tym tropem, należy się zastanowić, czy może to właśnie Japońców nie należy winić za powstanie Molocha.

Japończycy musieli mieć ciężkie przeżycia na Wyspach, bo szefowie Jakuzy zorganizowali nawet fundusze i sprowadzili na wybrzeże całą baterię artylerii na wypadek, gdyby Moloch miał ściągać uciekinierów. Niezłe, nie? Urządzili sobie pieprzone stanowiska artyleryjskie. Tych dział jest zdaje się ze dwadzieścia i wszystkie stoją na nadmorskim bulwarze w Moss Beach. Japońce utrzymują tam warty i wypatrują ze szczytu latarni morskiej zagrożenia z oceanu. Jak dla mnie, to powinni raczej pilnować składu z amunicją i tych dział przed Loganem i chińską Triadą. Wielu ludzi uważa, że strasznym marnotrawstwem jest trzymanie tylu sprawnych dział nad morzem z lufami beczynnynie wycelowanymi w stronę fal. Coś w tym jest. Posterunek zrobiłby z nich na pewno doskonały użytek.

Czasem zastanawiam się, co jeśli opowieści i obawy Japońców są słuszne? Jak będzie wyglądała morska inwazja Molocha? Przyplynie odremontowanym i zmodyfikowanym pancernikiem Jamamoto czy też pod postaciami wielkiej, mechanicznej kałamarnicy wynurzy się w Zatoce San Francisco? Kumpel po kilku fiaskach powiedział, że Moloch wykorzysta lemingi z wszczepionymi w mózgi implantami, ale co to do licha są te lemingi? Wiesz może? Bo nigdzie nie znalazłem na ten temat informacji.

Wracając do imigrantów zza Pacyfiku. Japończycy są chyba najbardziej pracowitymi, obowiązkowymi i cichymi mieszkańcami San Fran. Powiem więcej - oni są ostro porąbani. Znasz kogoś, kto potrafi wstać o czwartej nad ranem, wypić zieloną herbatę i zabrawszy spawarkę, młot i palnik acetylenowy ruszyć na złomowisko, aby bez skargi harować tam 18 godzin, wrócić, położyć się spać i nad ranem znowu wstać o czwartej? I tak w kółko. I to nie żeby ich mafia zmuszała. Oni tak mają we krwi.

A do tego to straszne gbury, mówię ci. To chyba jedyny naród na świecie, który niemal nigdy się nie bawi. Ci goście nie mają w swoim języku takich słów, jak odpoczynek czy dzień wolny. Nie rozumiem, po co oni żyją. Żyje się przecież dla tych chwil spędzanych w barze przy kartach, popijając piwo z dziewczyną na kolanach, no nie? Oni na kolanach trzymają co najwyżej laptopa albo skrzynkę z układami scalonymi. Są gorsi od Chińczyków. Chinole chociaż czasem się popiją, zrobią burdę, pobiją się na ulicy i mają te swoje śmieszne święta, podczas których biegają poprzebierani za papierowe kukły smoków i węży. Z Chińczykiem możesz nawet pożartować, a jak wygrasz z nim w kości, to najwyżej będzie się próbował odegrać, a nie wyzwie cię na pojedynek na brzytwy.



No właśnie, zamiłowanie do diabelnie ostrych mieczy to akurat cecha wspólna tych dwóch nacji, ale jednak Japońce znają się na tym lepiej. Stary, miałem kiedyś ich katanę w ręku - cud. Jest to nie tylko piękna, ale i skuteczna broń. Diabelna precyzja, mówię ci. Miecze kują oni chyba nawet lepiej, niż lutują układy scalone. Widziałem raz na ulicy jak jeden zabijaka Jakuzi został zaczepiony przez kilku bezmyślnych idiotów. Goście naprawdę chyba powymieniali mózgi na masę mięśniową, ale niewiele im to pomogło. Japoniec dosłownie poprzecinał im ich kije baseballowe i gaz-rurki, ale nie mieli takiego szczęścia, aby na tym poprzestał. Koleś naprawdę się wkurzył i zakapiory skończył leżąc na środku zaułka i zbierając swoje kończyny. Nie wiem czy przeżyli, bo wolałem się stamtąd szybko zabrać, ale morał z tej historii jest jeden: nigdy nie zaczepiaj ludzi Jakuzi.

Poznasz ich łatwo - noszą czerwone przepaski na czołach i każdy ma jakiś miecz albo inne cholernie ostre ustrojstwo. Wiesz, są takie dzielnice, w których Milicjanci Benedicta Logana boją się poruszać po zmierzchu w mniejszych grupach niż czterech. Tymczasem członkowie Jakuzi chadzają tamędy niekiedy samotnie i jakoś nie słyszałem, aby któremuś coś się stało. To mówi samo za siebie.

Jakuza, jak to każda mafia, trzyma łapę na wszystkim, co może przynosić dochód, ale głównie skupia się na handlu produktami wysokiej technologii odzyskiwanymi i konstruowanymi w Sunnyvale oraz eksploatowanymi z Cmentarzyska surowcami. Krzem, miedź, tranzystory, mikroprocesory - słowem wszelka elektronika i surowce potrzebne do jej produkcji i przetwarzania.

Pan Tsung

Jakuza różni się nieco od chińskich Triad. Wyróżnia ją styl, coś, co niektórzy nazywają polemem, inni szykiem. W każdym razie, o ile bandziory z Triad to po prostu skośnookie oprychy z Uzi za pasem, to ludzie Jakuzi są bardziej subtelni. Ponoć dawniej japońska mafia przypominała po prostu wielki gang, wyróżniając się jedynie tym, że jej członkowie uzbrojeni byli w katany. Jednak potem się to zmieniło.

Mówi się, że wszystko uległo zmianie, gdy władzę w San Bruno przejął Pan Tsung. Słyszałem plotki, że Pan Tsung to potomek jakiegos bardzo znanego, przedwojennego polityka japońskiego, premiera czy prezydenta. Jeśli to prawda, to można wytłumaczyć tym jego talent dyplomatyczny. Ponoć przejął władzę w Jakuzie w zupełnie bezkrwawym

sposób. Nie jest to niemożliwe, biorąc pod uwagę jego obecny autorytet. Dla Japończyków żyjących w San Francisco to on jest burmistrzem, a nie Benedict Logan.

Sam Tsung to postać elegancka, ciesząca się poważaniem. Ludzie mówią o nim, że ma lepsze manieri niż przedwojenni profesorowie i że jest doskonale wyedukowany. Nie jest to młody mężczyzna, gdy przybył do San Fran wraz z resztą emigrantów miał już ponad 30 lat, ale podobno zachowuje kondycję i zdrowie dzięki osobistym wizytom w Klinice w Campbell. Słyszałem plotki, że wszczepiono mu wiele implantów do mózgu. Złośliwi mówią, że w żyłach Tsunga nie płynie już krew, tylko syntetyczna odżywka. Tak czy siak, mający

(...) Wielu przeklina dziś decyzję o wyjściu na powierzchnię. Już trzeci tygodnie trwają przy paleniu zwłok, odgruzowywaniu miasta i poszukiwaniu zapasów jedzenia, środków medycznych oraz opału. Wszędzie w mieście - na ulicach, trawnikach, dachach domów - leży pył przypominający popiół. Niejaki George Logan, rzekomo szef przedwojennej policji, zorganizował ludzi do usuwania tego pyłu. Radioaktywny opad nie świeci po nocach, wbrew popularnym opowieściom, jakie przekazywano sobie w schronie. Większość ludzi ciężko pracuje, nadal chodzimy w skafandrach i z miernikami. Z niepokojem liczymy pozostałe zapasy jedzenia, wody i lekarstw w magazynach schronów. Niektórzy ludzie odnajdują wśród leżących na ulicach trupów swoich bliskich. To musi być straszne przeżycie. Mężczyzna, który pisał ten dziennik chyba był samotny, ale pochowałem go tak, jakby był członkiem mojej rodziny. Jutro odbędzie się sąd nad złodziejami ropy do generatorów. Ludzie z napięciem czekają, jaki werdykt wyda ten cały Logan. Słyszałem, że konsultuje się z przedwojennym prawnikiem, niejakim Murdockiem. Czyżby kształtowały się elity przyszłej władzy w mieście?

Od kilku tygodni słowem kluczowym w mieście jest GŁÓD. Jest na i „w” ustach wszystkich. Biedni i bogaci, biali i czarni, wszyscy głodują na równi. Wydaje się niewyobrażalne, jak szybko wyczerpują się zapasy z supermarketów i magazynów. Przed wojną zupełnie nie zauważaliśmy, jak trudnym zadaniem było zaopatrzenie milionów ludzi na bieżąco w żywność. Miasto wydawało się samowystarczalne. Dziś nie potrafimy wyżyć nawet kilku tysięcy ludzi, a bez dostaw mięsa z wielkich teksańskich masarni i innych produktów z reszty Stanów, miasto opustoszało z jedzenia w przeciągu kilkunastu tygodni. Wygłodniaли ludzie przeszukują już nawet spalone przedmieścia, polują na ptaki i psy, a słyszałem plotki o przypadkach kanibalizmu. Jeśli to prawda, to z pewnością wydarzyło się wśród murzynów albo meksów. Niektórzy z nas przeklinają, że przeżyli uderzenie, inni szykują wyprawę poza miasto w poszukiwaniu żywności. Ja czekam na jeszcze gorsze czasy. Obecnie puszka mięsa kosztuje 250 dolarów, ale liczę na to, że wkrótce cena podskoczy powyżej 300. Wtedy chyba sprzedam kilka ze swoich ukrytych puszek. Tylko nie za wiele, bo nie wiadomo, jak długo poczekamy na pomoc humanitarną i Gwardię Narodową. Już teraz trwa to niepokojąco długo (...)



ponad 50 lat Pan Tsung trzyma się świetnie, co widać na licznych bankietach, na jakich się pojawia. Mówi się, że od 10 lat nie zmienił się ani trochę. Podejrzan, nie? Niektórzy goście z pubu, w którym czasem bywam uważają, że Tsung to mutant. Pan Tsung jest mecenasem sztuki i kultury, zajmuje się kolekcjonowaniem obrazów i rzeźb. Słyszałem, że jego prywatna galeria, która mieści się w jego wielkiej rezydencji w San Bruno, zawiera wiele cennych zabytków. Cóż, bogacze mogą pozwolić sobie na takie zabawy, a już szczególnie ktoś taki, jak Pan Tsung.

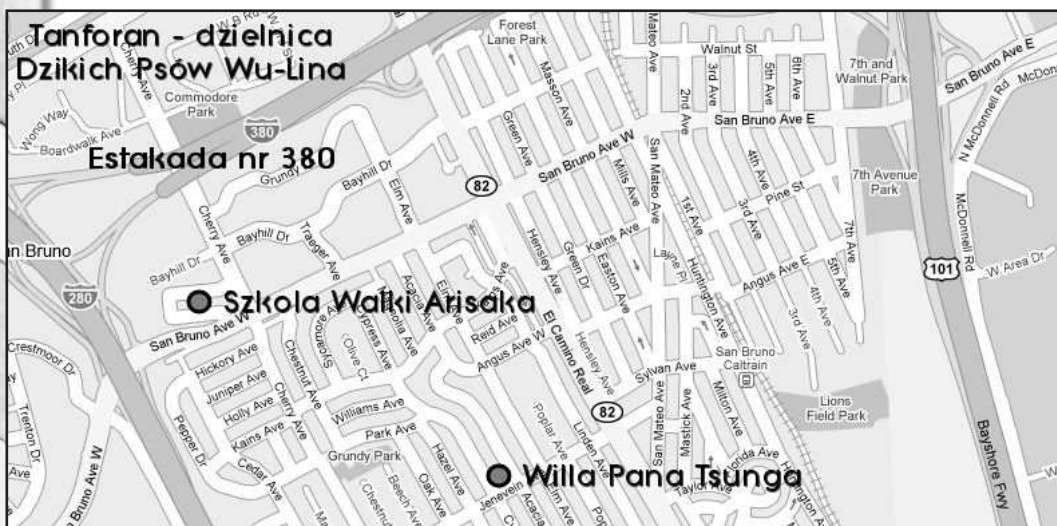
Szefa Jakuzy często nie ma w mieście - jeździ podobno do Vegas, gdzie robi interesy z tamtejszymi mafiosami. Chodzą słuchy, że interesuje się też Strefą 51 - no wiesz, tą tajną bazą wojskową na pustyni Nevada. Na pewno słyszałeś o bazie, w której przechowywali Ufo i kosmitów, no nie? Nie wiem, czego Tsung mógłby tam szukać, ale pewnie chodzi o jakieś technologie militarne. Ja bym się bał na miejscu Benedicta Logana, choć może być i tak, że Japończycy chcą znaleźć jakąś broń na Molocha. Pamiętajasz, jak opowiadałem ci o ich lęku przed nim? A podobno Pan Tsung bierze tę kwestię strasznie poważnie - to w końcu on kazał ustawić działą w Moss Beach.

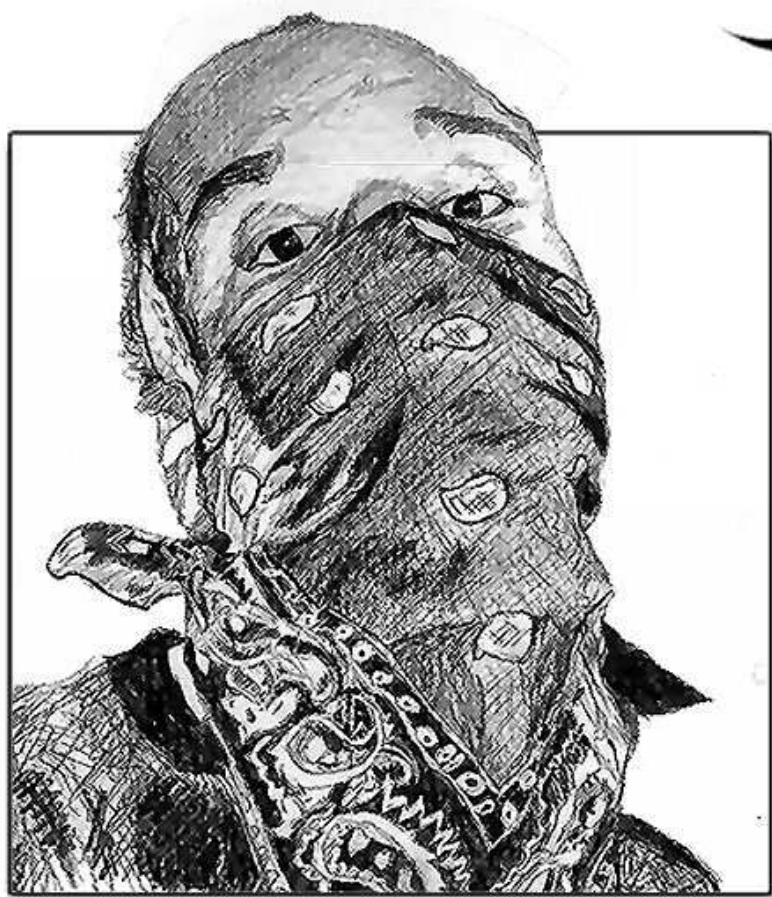
W każdym razie, Tsunga często nie ma w San Francisco. Wówczas rządy przejmuje jego młodszy brat, ten, który jest członkiem Rady Miasta. Faceta przezywamy Kioto, bo podobno jest strasznym megalomanem i chciałby zmienić San Francisco w nową stolicę świata - oczywiście japońską. Kioto jest jednak wyjątkowo bezwzględny i słynie z okrucieństwa. Psuje trochę wizerunek Jakuzy. Co prawda w Radzie prezentuje się niegarnie, udając świętoszka, ale gdy on rządzi,

nocami na ulicach znika najwięcej ludzi. I nie śmiej się! To potwierdzone! Według mnie ten koleś cierpi na jakąś chorobę psychiczną. Raz jest grzecznym radnym i omawia z innymi problemy miasta, a wieczorem planuje, jak tu podbić świat, doprowadzić do dominacji Japończyków w mieście i wysłać zabójców do swoich wrogów.

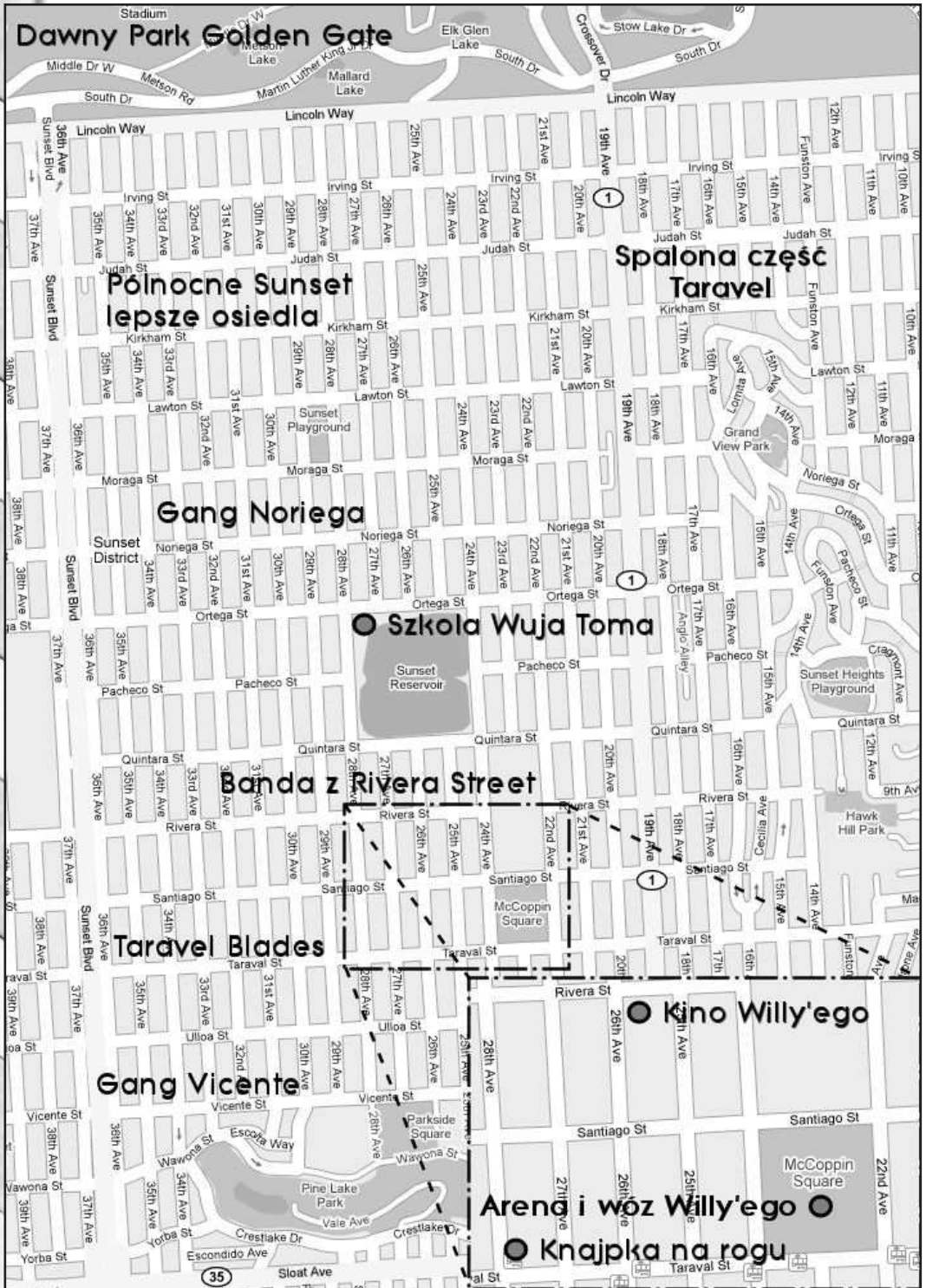
Jedno jest pewne - jego mordercza natura, w połączeniu z absolutną lojalnością wobec starszego brata sprawia, że Pan Tsung ma mocne zaplecze. Dopóki Kioto będzie pomagał mu załatwiać krwawe sprawy i reprezentować Jakuzę w Radzie, pozycja Tsunga będzie bardzo mocna. Oczywiście zależność jest obustronna - Kioto jest bez Tsunga nikim i pewnie zjedliby go ci sami gangsterzy, którym teraz rozkazuje.

Abyś nie pomyślał, że darzę Jakuzę jakąś sympatią albo coś, wiedz, że to mimo wszystko organizacja przestępcza. Pan Tsung kontroluje południową część Aglomeracji przy pomocy uzbrojonych po zęby, nie wahających się użyć przemocy mafiosów. Jakuza trzyma łąkę na przemyśle, paserstwie, produkcji i handlu narkotykami. Sierpacze Pana Tsunga co noc dokonują zbrodni usuwając tych, którzy staną Jakuzie na drodze. Ludzie japońskiej mafii stoją ponad prawem i są bardzo niebezpieczni. I niech nie zmylą cię ich szarmanckie uśmiechy i dobre maniere. Lepiej trzymaj się z daleka od spraw Jakuzy albo szybko poczujesz zimną stal na swoim gardle.





CZARNE GANGI





Pewnie dziwi cię, że mówiąc o mniejszościach, nie wspominałem jeszcze o murzynach lub, jeśli wolisz, afroamerykanach? Zatem teraz będzie cały, kompleksowy wykład o czarnej mniejszości. Nie, jeszcze raz powtarzam, nie jestem rasistą. Co ja na to mogę poradzić, że murzyni organizują się w gangi i sami sobie stworzyli getto na terenie Dzielnicy Taraval? Nikt nie kazał im się separować, ani żyć w biedzie. Azjaci, choć tak od nas różni, jakoś się jednak zasymilowali. Wszelcy imigranci, nawet mekszowie, robią wszystko, aby wtopić się w społeczeństwo i żyć spokojnie. Tylko nie murzyni.

Nie no, żeby nie było, że przesadzam - są i tacy czarni, którzy pozakładali uczciwe interesy, normalnie pracują, przeważnie w porcie, płacą czynsz Loganowi i trzymają się z dala od gangów. Jednak to zdecydowana mniejszość - mieszkają głównie w „białych” dzielnicach i mają normalne rodziny i zajęcia. Wiesz, dla mnie możesz być nawet zwykłym szklarzem albo rybakim, ale jeśli pracujesz uczciwie i nie kradnieś, zasługujesz na szacunek. Żadna praca nie hańbi. No, prawie żadna. W każdym razie nie mogę pojąć, dlaczego murzyni z Taraval wybrali inną drogę, niż my. Żeby nie było - nikt ich nie wygnał, nie skazał na ich los.

Gangi z Taraval to zmała miasto, nawet Benedict Logan pewnie ma nieprzespane noce przez nich. Po prostu mieszkańcy tamtych osiedli to zwykłe luzaki, można by porównać ich do mieszkańców Detroit - liczy się zabawa i szpan, no i swoje „ziomki”, czyli „homie”. Każde podwórko, każdy zaułek to osobna paczka, mały gang. Oczywiście są też i większe gangi, nawet całe, zorganizowane bandy, zresztą to one są najgroźniejsze.

Gangi czarnych biorą swoje nazwy od ulic, tak więc jest Banda z Rivera Street, Pacheco's czy Vicente Gang. To raczej lokalne grupki znudzonej, biednej, agresywnej młodzieży - biją się głównie między sobą i niszczą sobie nawzajem domy i samochody, czasem kogoś zabijają. Poza Taraval wyprawiają się rzadziej, głównie, aby coś ukrążyć, rzadziej rzadko napadają ludzi. Niekiedy nocami widuje się czarnych bandytów w Richmond. Milicja ma z nimi sporo problemów, choć raczej chodzi o ilość band, bo nie są oni zbyt niebezpieczni - zwykle ich uzbrojenie kończy się na pałkach i łańcuchach. Mało który mieszkaniec Taraval ma broń, nie mówiąc już o pozwoleniu na nią. Ale wszyscy oni, to małe plotki, w większości grupki towarzyskie, które dla zabicia czasu wychodzą na miasto „poszaleć” z kijem baseballowym.

Znacznie groźniejsze są duże gangi, które gromadzą o wiele więcej bandytów, niż mieszkańcy jednego podwórka, czy fragmentu ulicy. To już nie zwykli „homies” wożący się ka-

bioletem po osiedlu i zaczepiający przechodniów, ale prawdziwe zbiry. Na szczęście, duże gangi, takie jak Taravel Blades, terroryzują głównie swoich sąsiadów i rządzą się wśród mniejszych band rozsadzając lokalne grupki i pokazując im, gdzie ich miejsce. Gdy kilku murzynów przeholuje z „zabawą”, Brzytwy z Taravel skutecznie ich temperują. Blades to największa banda z tych murzyńskich. Liczą podobno ponad setkę czarnych zbirów, którzy nierzadko mają broń palną, jeżdżą na motorach oraz samochodami i lepiej z nimi nie zadzierać. Nawet Milicja rzadko wtrąca się w ich sprawy, bo w końcu kogo to obchodzi, co czarnuchy kroją w tym swoim Taravel? Niech się tłuką między sobą i pogrążają w nałogach.

Deathmatche na Miccopin Square

Milicja Miejska z zasady pilnuje porządku i zwalcza bandytów na terenie miasta. Prawo przez nią stanowione różni się od zasad wyznaczanych w innych miastach powojennych Stanów. Tutaj przepisy są bardzo podobne do przedwojennych. Stworzyli je ocalsi mieszkańcy, a wszyscy imigranci powojenni muszą się do nich dostosowywać. Wojny gangów nie są tu tolerowane. Jeśli jeden dealer strzeli do drugiego na ulicy, nie pomoże mu wytłumaczenie, że zwalczał konkurencję - dostanie kulę w łeb.

Jest jednak takie jedno miejsce, gdzie Milicja nie reaguje na utarczki pomiędzy bandytami. Na Miccopin Square przy Taravel Street gangi mogą umawiać się na tzw. Deathmatche. Muszą je wcześniej zgłosić na komendzie głównej i uzyskać zezwolenie. Zupelnie jak z paradami. Fajnie, nie? Jeśli dostaną to pozwolenie, mogą rozstrzygnąć swe zatargi na wspomnianym placu. Gangi jednak dość rzadko korzystają z tej możliwości. Najczęściej odbywają się tu pojedynki na śmierć i życie.

Jeśli ktoś chce popatrzeć, może zgłosić się do niejakiego Willy'ego w knajpie na rogu Taravel Street i 28 Alei. Nie pamiętam nazwy tej speluny, ale piwo tam jest raczej kiepskie. No więc ten cały Willy oferuje 8 miejsc w wojskowym wozie pancernym, stojącym na środku Miccopin Square. Można sobie popatrzeć na jatkę, nie obawiając się o zabiąkanie kule. Pojedynki na Barretty albo na LAVY raczej się nie zdarzają, więc w środku jest faktycznie bezpiecznie.

Gdy San Francisco TV ogłosiło konkurs na film akcji nakręcony na żywo, Willy był pierwszym do nagrody, ale przez cholerną ustawę Rady Miasta nie mógł zgłosić swoich nagrań z walk na Miccopin Square, bo toczą się na terenie miasta. Willy jednak do dziś kręci każdą walkę, a potem, jeśli akurat nic nie dzieje się na samym placu, pokazuje chętnym filmy w swoim małym, prywatnym „kinie”. Na parterze swojego domu urządził po prostu salę projekcyjną, zapełnił ją krzeselkami i postawił projektor. Podczas seansów serwuje zimne piwo i frytki, a sala jest klimatyzowana, także luksus pierwsza klasa! Acha, Willy nie zawsze jest dostępny - czasem wynajmuje siebie i wóz pancerny różnym ludziom, byle dobrze płacili i aby cel zlecenia był daleko od Molocha.



Narkotyki to duży problem czarnej dzielnicy. To z drugów żyje większość gangów i o nie się tłuką. A co ty myślałeś? Że biją się o marchewkę? Gdyby nie narkotyki, może i nawet jakoś by się im tam żyło. A tak, dwa wielkie gangi - Brzytwy oraz Noriega Gang - walczą o większy procent udziałów na rynku, a mniejsze bandy zbierają po nich resztki. A kto i tak zarabia najwięcej na murzynach? Chińczycy. Zarówno Taravel Blades, jak i dealerzy z Noriega Street, zaopatrują się u Chenga z Alcatraz. Lwia część tamtejszej produkcji konsumowana jest właśnie przez dzielnicę Taravel. Fajnie mają Chińczycy z tak bliskim i łatwym rynkiem zbytu...

Wciąż mówię o gangach, ale murzyni to nie tylko bandy i homies. Nawet w Taravel niektórzy próbują jakoś normalniej żyć. Inni robią, tylko takie pozory. Niezależnie od tego, jak wielka bieda, bezrobocie i przestępczość tam panuje, Dzielnica Taravel ma od zawsze swojego przedstawiciela w Radzie Miasta i od zawsze

był nim jeden i ten sam czarny - Tom Elbow, zwany przez swoich rodaków również „Wujem Tomem”. To dobronudzny i naiwny człowiek, który wierzy, że da się jeszcze uratować młodzież z Taravel i że jest nadzieja dla czarnej dzielnicy. Śmiesznie brzmi? A wyobraź sobie, że dokładnie takie hasło widnieje na plakatach rozwieszanych wzdłuż Taravel Street przez ludzi Toma.

Murzyni mają swoją własną administrację w mieście, choć oczywiście zależną od Benedicta Logana. Wuj Tom jest bardzo gorliwy w swojej działalności i czynnie walczy o polepszenie się statusu rodaków. Wyremontował i wyposażył nawet jedną ze szkół i sam naucza w niej religii. Tom Elbow nie jest księdzem, ale pełni rolę katechety. Zresztą, kogo to obchodzi, czy jest księdzem, czy nie. Z uwagi na swoją religijność, Tom otrzymuje pomoc od przeróżnych Chrześcijan i innych dobronudnych ludzi z całego miasta. Jest prawie, jak Ojciec Kornelio, tylko że jego misja ogranicza się do czarnych.

Tom Elbow nie prowadzi otwartej walki z gangami - zdaje sobie sprawę, że jest zbyt słaby. Zwyczajnie boi się wyrugować bandytów z ich melin i zaprowadzić porządek wśród homies. Nie dziwię mu się - nie miałby szans w konfrontacji z bandytami. Wybrał inną drogę - stara się stworzyć dla murzyńskiej młodzieży jakieś alternatywy wobec życia w gangach. Daje im pracę, otworzył szkołę, zorganizował nawet oddziały ochotniczej straży pożarnej. Wielu czarnych chłopaków jest dumnych ze służby w strażakach. Mają nawet odremontowany, przedwojenny wóz strażacki. Straż pożarną murzyni założyli po ostatnim wielkim pożarze, w którym spłonęła północno-wschodnia część Taravel.

Graffiti

Gangi z Taravel, przynajmniej te małe grupki „homies”, to raczej paczki zdegenerowanych dzieciaków z chustami na twarzach i mnóstwem wolnego czasu, z którym nie mają co robić. W zasadzie jedynym, zupełnie nieszkodliwym i czasem przyjmowanym nawet z aprobatą, rodzajem ich aktywności jest rysowanie graffiti. Murzyńskie gangi lubią zostawiać wszędzie swoje autografy, a niekiedy tworzą całkiem interesujące malowidła. Znam nawet kolesia, który poluje na ciekawe graffiti z aparatem i kolekcjonuje ich zdjęcia. Niektórzy czarni potrafią zrobić ze sprejem niesamowite rzeczy. Szkoda tylko, że od czasu do czasu zamieniają sprej na kij baseballowy...



RODZINY



Ludzie w naszym mieście zorganizowali się w bardzo różny sposób - mam na myśli strukturę społeczną. Różnice występują między rasami i narodami. Japończycy i Chińczycy, którzy stanowią dwie największe mniejszości, trzymają się ze swoimi - to znaczy Japończycy z Japończykami, a Chińczycy z Chińczykami - żebyś nie myślał, że się lubią. Bo tak się składa, że te dwa narody toczą u nas ze sobą wojnę, czasem dość krwawą. Żółtki zorganizowały się w grupy przestępcze, tak więc mamy tu japońską Jakuzę i cały szereg chińskich Triad, które dla wygody zwykle nazywamy po prostu Triadą. Murzyni żyją w większości w rozproszeniu albo tworzą niewielkie gangi.

Zupełnie inaczej jest z białymi. I nie myśl, że jestem jakimś tam rasistą, ale uważam, że nasz podział społeczny jest najlepszy i najmądrzejszy. Po prostu w mieście zamieszkują tak zwane wielkie rodziny, a w zasadzie powinienem powiedzieć Rodziny. Dotyczy to tylko potomków rodowitych mieszkańców San Fran, bo przybyłszy z zewnątrz tworzą luźną hałastrę, ale to mało ważne. Tymczasem ludzie, którzy wyszli po wojnie ze schronów, zwykle przeżyli wspólnie z rodzinami. To oni założyli nowe San Francisco, to oni odbudowali miasto i organizowali od zera społeczeństwo. To oni i ich dzieci żenili się i tworzyli nowe klany, które my teraz nazywamy Rodzinami. W zasadzie rzeczwiście można porównać je do szkockich klanów, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Wszyscy ich członkowie, których może być kilkunastu albo i kilkudziesięciu - są Rodziny duże i małe - noszą wspólne nazwi-

sko rodowe, jak na przykład Johnson albo Mal-kovich. Nazwiska te pochodzą od założycieli Rodzin, zwykle już nieżyjących, bo to w większości byli ludzie ze schronów, ale różnie to bywa. Jest na przykład jedna Rodzina, chodzi o Clintonów, którzy podobno przyjęli nazwisko jakiegoś przedwojennego polityka. Jak dla mnie to bzdurny pomysł, ale to ich sprawa, a nazwisko jak nazwisko, ani złe, ani dobre.

Rodziny to u nas podstawa. Zwykle ich członkowie mieszkają blisko siebie, choć nie zawsze - niektórzy porożsiewani są po całej Aglomeracji. Ludzie z Rodzin starają się żenić w obrębie Rodziny. Nie żenią się tu oczywiście bracia z własnymi siostrami, tylko dalekie kuzynostwo. Zresztą, to nie jest reguła - śluby pomiędzy Rodzinami też się zdarzają. Zwykle kobieta przejmuje wówczas nazwisko męża, ale czasem powstają nowe klany z połączonych nazwisk albo ich części. Ot, taki nasz tutejszy folklor.

Oczywiście, jak się można domyślić, niektóre z Rodzin nie lubią się wzajemnie, czasem wręcz walczą ze sobą, ale rzadko przybiera to szczególnie krwawy przebieg. Zwykle kończy się na bójkach, wzajemnym rysowaniu lakieru na autach i wybijaniu szyb w oknach.

Jeśli chodzi o znaczenie polityczne, to jest ono różne. W zasadzie największe z Rodzin zdobyły dość dużą władzę na swoich terenach, niekiedy nawet organizując swoje własne siły porządkowe, a w jednej z dzielnic działa nawet prywatna szkoła. Jednak większość klanów podporządkowuje się władzy Benedicta Loganą, a część silnie go popiera. Jedna tylko Rodzina nie słucha w ogóle burmistrza i odcięła się niemal od miasta - mowa tu o Burnsach, którzy są potomkami jakiegoś zbiegłego z psychiatryka pacjenta i prostytutki - tak przynajmniej głoszą plotki. Cóż, nawet jeśli są one nieprawdziwe, to trudno lubić Burnsów, którzy żyją z handlu trawką i mieszkają w pozabawionych elektryczności i wody bieżącej barakach na przedmieściach. Jednak to skrajność, podczas gdy większość klanów to normalni ludzie, którzy z racji pamięci o przodkach i chęci zachowania tradycji dbają o dobre imię swego nazwiska i trzymają się razem z krewnymi.

Tak po prawdzie, to członkowie Rodzin uważają się za jedynych pełnoprawnych i prawdziwych obywateli San Francisco - w końcu to ich przodkowie, a niekiedy oni sami, odbudowywali miasto po uderzeniu. Myślę, że mają trochę racji traktując wszystkich przyjezdnych z wyższością. Oczywiście ci zasłużeń, jak Ojciec Kornelio, o którym dowiesz się później, nie są traktowani gorzej, niż rodowici mieszkańcy. Mam tu na myśli raczej różną hołotę, która jeździ się do naszego miasta i osiedla się,

Trudna asymilacja

Napływający do miasta po wojnie imigranci, choć licznie przeważają nad potomkami przedwojennych mieszkańców, są traktowani jak margines społeczny. O ile Chińczyków i Japończyków jest tu tyle, że stanowią ludnościową potęgę i nie przejmują się zbytnio podziałami białych na „rodowitych” i „imigrantów”, to wszyscy Amerykanie, tacy jak ty, którzy próbują szczęścia w San Francisco, trafiają najczęściej do slumsów na przedmieściach. Awans społeczny jest bardzo trudny, niektórzy wybili się prowadząc interesy, inni dzięki Uniwersytetowi, ale dla większości jedyną szansą asymilacji i zostania „prawdziwym obywatelem” jest małżeństwo z kimś z jakiejś Rodziny. Coś takiego zdarza się jednak bardzo rzadko i nie zawsze jest dobrze widziane, a wiele Rodzin robi wszystko, aby nie mieszać krwi z imigrantami. Jednym ze szczęściarzy, którym udało się wżenić w jedną z Rodzin, jest niejaki John Raben (obecnie John Willis), najemnik, który wiernie służył klanowi Willysów, aż wreszcie wydal z niego najmłodszą ze swoich córek. Facet ma szczęście, bo choć jego żona nie odziedziczyła zbyt wiele z majątku rodu, to wskoczył od razu na szczyt drabiny społecznej. Niewielu się to udało.



czasem nielegalnie, bez zameldowania, na przedmieściach. To sępy i często zwykłe szuje. To oni są winni większości przestępczości wśród białych mieszkańców miasta. Dlatego wolałbym, aby w San Fran mieszkali tylko członkowie Rodzin. Niektórzy kumple nazywają mnie ksenofobem, ale jak dla mnie to panikują - po prostu tak byłoby lepiej.

Z Chińczykami i Japończykami jest tak, że jesteśmy już trochę od nich uzależnieni. Ci pierwsi opanowali gałąź rybacką, a Japończycy zdominowali produkcję technologii, o czym ci jeszcze opowiem. No i do tego stworzyli swoje mafie, których, prawdę mówiąc, większość białych się boi. Mało kto jawnie mówi źle o Triadzie albo Jakuzie, chyba że w swoim własnym domu. O ironio losu, gdyby Rodziny żyły w większej zgodzie i nie konkurowały ze sobą, moglibyśmy się zjednoczyć i wykopać obcych z miasta. Niestety jest to mało prawdopodobne.

I pamiętaj, jeśli zadrzesz z członkiem klanu, albo co gorsza zabijesz któregoś z nich, masz przechłapanie. Członkowie jednej Rodziny potrafią zjednoczyć się, gdy któremś z nich dzieje się krzywda i załatwić wroga na cacy. Według mnie to lepsze, niż należeć do gangu, bo w Rodzinie raczej nikt nie wsadzi ci nożaw plecy. Ale oczywiście i takie wypadki się zdarzały - choć bardzo rzadko. Jest u nas takie powiedzenie: „Liczą na rodzinę, bo na Milicję nie masz co liczyć”. Pochodzi ono co prawda z czasów, kiedy jeszcze w mieście panowało większe bezprawie, ale dobrze oddaje wartości, jakie wyznajemy. Przynajmniej my - biali. Nie, jeszcze raz powtarzam: nie jestem rasista.

Loganowie

Najbardziej znana, choć wcale nie największa z Rodzin. Oczywiście, są liczni i bogaci, w końcu to krewni burmistrzów, ale nie wszyscy są bezgranicznie lojalni wobec władzy. Niektórzy z krewniaków już dawno zrozumieli, że Benedict Logan nie jest zbyt doskonałym burmistrzem i się odcięli. Inni zaś w pełni popierają go, udzielają mu wsparcia i możliwe, że w razie zagrożenia, będą go bronili zbrojnie. Jednak to już nie są ci sami Loganowie, co za czasów George'a Logana. Dawny burmistrz był powszechnie ceniony i szanowany, więc dobre imię rodu i jego dobre prosperowanie było oczywiste.

Jednak obecnie ludzie ironicznie dzielą Loganów na „dobrych” i „złych” - dobrzy to ci, którzy burmistrza nie popierają, źli to jego sprzymierzeńcy. Ci drudzy mieszkają w większości w apartamentach urzędzonych w Transamerica Pyramid i są zapraszani na wszystkie uroczyste bankiety u burmistrza.

Reszta zaś jest raczej w zaproszeniach pomijana i zamieszkuje w rozproszeniu całe miasto. Coraz częściej młodzi Loganowie przyjmują po ślubie nazwisko małżonka, co pokazuje, jak bardzo burmistrz Benedict znieśliwił ród.

Murdockowie

Liczna i bardzo znana Rodzina, słynna przede wszystkim z zamiłowania do prawa i ekonomii. Ich założycielami byli prawnik i pani manager, którzy przeżyli zagładę w schronie na północy miasta. Od tego czasu pan Murdock, który jest już sędziwym starszakiem, pełni rolę Sędziego Głównego w naszym Sądzie Miejskim. Jego córka zastąpiła ostatnio zmarłą matkę w Radzie Miasta.

Reszta Murdocków prowadzi własne interesy, ale każdy ma wykształcenie prawnicze, lub ekonomiczne, a kilku z nich pracuje w tych dziedzinach na naszym Uniwersytecie. Prawo i ekonomia to jedyne dziedziny z tych niepraktycznych, które nadal żyją u nas, ale zdecydowało o tym zamiłowanie Murdocków do ich rodzinnej tradycji. Ogólnie, to podziwiam ich za to, że potrafią znaleźć czas na swoją pasję i rodową tradycję, choćby była nie wiem jak bzdurna.

Atkinsonowie

Atkinsonowie to ludzie interesu i chyba najbardziej cwany klan ze wszystkich. Dysponują bodaj największym bogactwem spośród wszystkich Rodzin i mają dzięki temu największą władzę, choć nie posiadają swego przedstawiciela w Radzie Miasta. Widocznie słusznie uznali, że Rada i tak nie ma znaczenia i zajęli się mądrzejszymi rzeczami, to jest robieniem interesów. Złośliwi mówią, że Atkinsonowie mają w żyłach żydowską krew i stąd się bierze ich smykałka do handlu oraz szczęście w interesach. Ja widzę to nieco inaczej - pan Atkinson po prostu trafił z dobrym pomysłem we właściwe miejsce o właściwym czasie,





a potem już wszystko poszło w ruch i do dzisiaj się kręci. O co chodzi? Otóż to właśnie oni założyli pierwszą firmę przewozową, zaraz po uderzeniu i jako pierwsi zaczęli jeździć z towarami do Los Angeles i przywozić stamtąd benzynę. Dziś to oni są szefami największej spółki transportowej w mieście - Korporacji Transportowej. Przez ich ręce przechodzi lwia część towarów, jakimi handluje się w San Francisco. Dodatkowo po tym, jak nie udało się nam uruchomić poczty publicznej, założyli firmę kurierską, która przekazuje wiadomości i listy w obrębie miasta.

Ich usługi nie są tanie, bo kurierzy mają ochronę w postaci uzbrojonych ludzi, ale innej płaczący nie mamy. Potem ci wytłumaczę, dlaczego.

Novakowie

Andrew Novak jest polskiego pochodzenia. To właściciel największego warsztatu samochodowego w mieście. Jego serwis mieści się przy Mansell Street, niedaleko parku imienia Johna McLaren. To najlepszy warsztat samochodowy w San Fran, a ludzie tam pracujący mogliby spokojnie regulować silniki rajdowcom z Detroit. Hasło reklamowe brzmi „Naszego auta nie powstydziliły się sam McLaren” i powiem ci, że jest to święta racja. Sam oddałem mojego Pontiaka do wyrychtowania Novakom i jestem diabelnie zadowolony. Nawet częściej jeżdżę teraz wozem - taką mi to sprawa przyjemność. Zresztą dla stałych klientów warsztat ma specjalną ofertę, z fantazyjnym malowaniem auta włącznie.

Novakowie, którzy nie pracują w warsztacie, w większości robią części dla warsztatu albo są jakoś inaczej związani z samochodami. Muszę szczerze przyznać, że Polacy są najlepszymi mechanikami, jakich mamy w San Francisco i jest tu nawet takie powiedzonko mówiące, że coś „działa jak samochód od Polaków”. To wiele mówi o solidności ich usług.

Do Novaków nie mogę mieć zastrzeżeń, ale osobiście mam niemiłe wspomnienia z Polakami, bo jeden cwaniaczek oszukał mnie raz i to na pokaźną sumę gambli. Ale zdaje się, że sukinyń był przyjezdnym, więc na tutejszych Słowian nie mam nic złego do powiedzenia. Ot, miałem pecha i tyle.

Marconi

To Rodzina składająca się tylko z Włochów czy tam, jeśli się czepiasz szczegółów, Amerykanów włoskiego pochodzenia. Dla mnie to jeden grzyb, bo i tak goście mówią po włosku, jedzą makaron i uważają się za lepszych od całej reszty. No wiesz, są strasznie wyniośli, przypo-

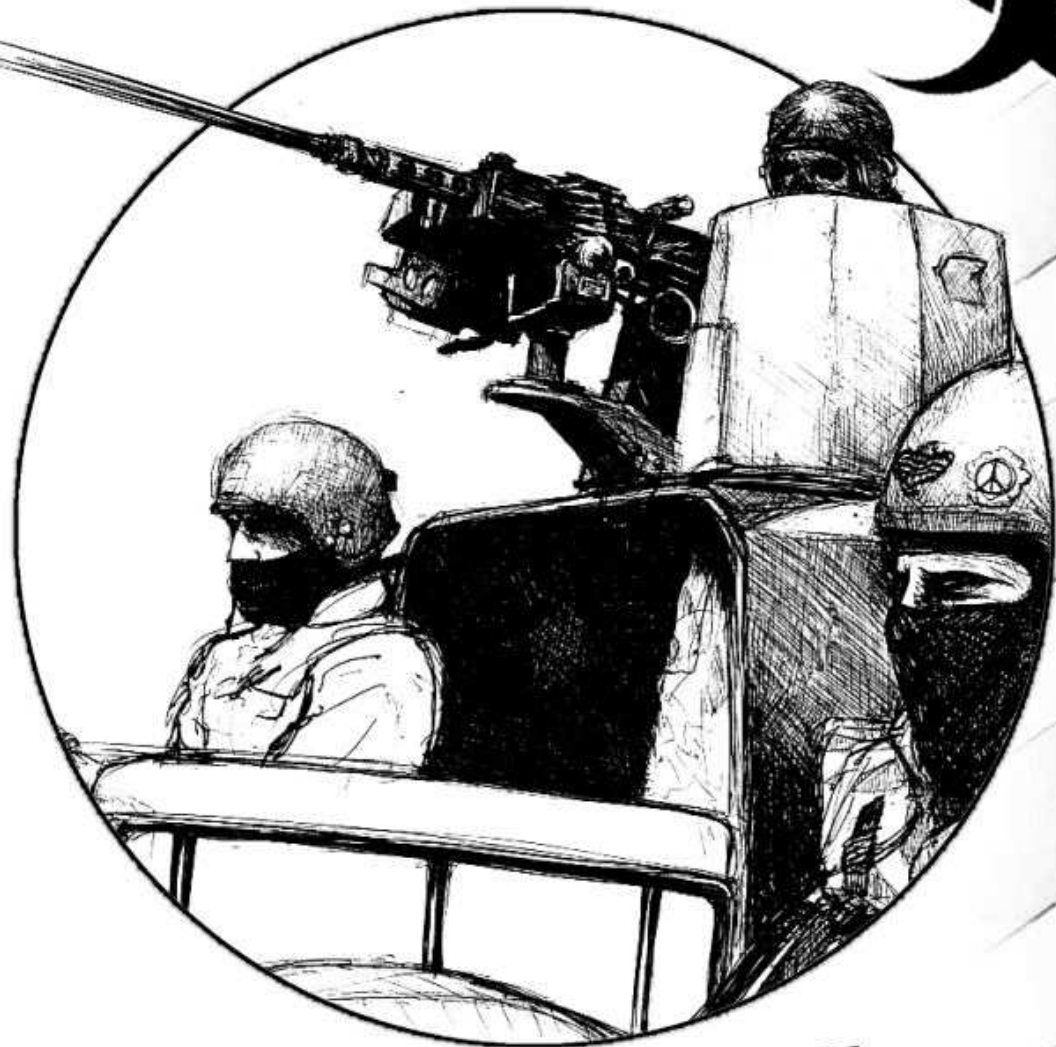
minają mi dupków z Appalachów - podobnie jak oni, chcą być traktowani jak jacyś hrabiowie czy inni książęta. Spotkałem zresztą kiedyś faceta z Federacji i powiem ci, że był chyba bardziej normalny, niż Marconi. Owszem, nosił jakąś dziwną szabelkę i kazał kelnerom w restauracji mówić do siebie „sir”, ale tak poza tym, to dało się z nim sensownie pogadać o wszystkim, co ważne - kobietach, alkoholu, a nawet... sporcie.

Tymczasem bufony z Marconich nie odezwały się do nikogo, kogo uważają za stojącego niżej w hierarchii. Oczywiście mają człowieka w Radzie Miasta i wciąż kręcą się wokół burmistrza. Mają własne pole golfowe, a najważniejsi członkowie jeżdżą białą limuzyną. Widziałem kiedyś z daleka ich rezydencję na północy San Fran. Wygląda jak pieprzony pałacyk z reklam lalek Barbie, jeśli wiesz, o czym mówię. Jeśli nie, to wyobraź sobie cygańską willę. Nie da się podejść bliżej ich domu, bo wynajmują ochroniarzy, którzy non stop pilnują, aby nic im się nie stało. A są dobrze uzbrojeni, niemal jak jacyś pieprzeni anty-terrorysty z przedwojennych filmów sensacyjnych.

Takich willi zresztą mają w San Francisco kilka, bo poza główną rodziną w skład klanu wchodzi rodziny dzieci Starego Marconiego, jak nazywany jest założyciel rodu. Pieprzony pacan nadal żyje i stać go na najlepsze usługi medyczne w klinice w Campbell, więc pewnie jeszcze trochę czasu minie nim wykituje. W każdym razie straszny przepych i arogancja to główne cechy Marconich.

Ostatnio chodzą plotki, że najmłodszy syn Starego uciekł z domu i stał się przestępcą. Podobno był uzależniony od narkotyków i alkoholu. Początkowo głośno było o ochroniarzach Marconich, którzy przeszukiwali miasto kogoś szukając - oczywiście wiadomo było, że chodziło o niepokornego synalka. Potem sprawa ucichła, a Marconi oficjalnie wypierają się, jakoby uciekł im jakiś syn. Takie zachowanie jest do nich podobne - zapewne wyrzekł się syna, bo stał się im niewygodny.

Niektórzy twierdzą, że złapano Marco, bo tak miał rzekomo na imię, i oddano za karę do pracy w przytuiku w Misji Dolores. Inni opowiadają o nowym gangu terroryzującym Millbrae i okolice jeziora San Andreas, którego przywódcą jest ponoć niejaki Marco Rozpruwacz. Nawet, jeśli taka banda tam grasuje, to zbieżność imion jest pewnie przypadkowa. Nie wierzę, aby uzależniony od narkotyków chłopaczek z arystokratycznego domu zdołał zdobyć władzę w gangu z przedmieść.



**FAKTY
I MITY**



Miasto trzęsień ziemi

San Francisco leży na terenie aktywnym sejsmicznie. Trudne słowo, nie? Oczywiście, że chodziło mi o „sejsmicznie”, nie o „aktywnym”. Wyobraź sobie jednak, że trzęsienia ziemi, które zdarzają się tu od czasu do czasu, nie mają nic wspólnego z minioną zagładą. Wojna wojną, a ziemia trzęsła się w dolinie Santa Clara od wieków i ludzie zdążyli do tego przywyknąć już dawno. Mało tego - nauczyli się budować domy tak, że nie wałają się w gruzy, gdy zadryż ziemia. Wyobraź sobie, że żaden z tych wspaniałych, stalowych drapaczy chmur wznoszących się w centrum San Fran nie runął podczas żadnego z trzęsień, jakie mieliśmy tu od czasów wojny. A oficjalnie kroniki miejskie odnotowały ich dokładnie dwadzieścia pięć. Jedynie stare budownictwo i niskie budynki mieszkalne ponoszą szkody podczas trzęsień. Pękają głównie mury, pojawiają się też wyrwy w ulicach, czasem jakiś dom się zawala, ale raczej rzadko. Trzęsienia ziemi są dla nas tak powszednie, że ludzie

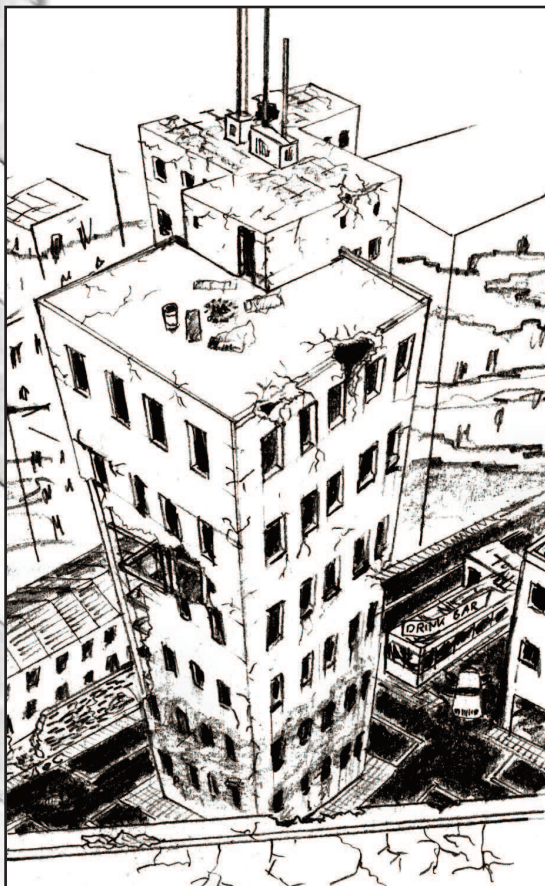
przerobili nawet pułki i stoły w domach, montując ograniczniki na krawędziach, żeby naczynia nie spadały podczas trzęsień.

Stare i niebezpieczne budynki zostały oznaczone jeszcze za czasów pierwszego burmistrza i wszyscy wiedzą, że nie należy ich używać. Rozpoznasz je po dużych wykrzyknikach w kole, namalowanych białą lub żółtą farbą.

Niektóre budowle zawalily się zanim ludzie zdążyli je opróżnić z gambli - do dziś znajdziesz gruzowiska, których nikt nie zdążył przekopać. Można tam znaleźć ciekawe gamble, choć trzeba odsiać te zniszczone przez gruz. Jednak miejsca takie jak dom towarowy Pal-Mark w samym centrum Daly City możesz sobie odpuścić - zostały przeryte na kilkanaście metrów w głąb, dokopano się nawet na podziemny parking, skąd, pamiętam, wydobyto pięknego Chryslera z chromowanymi zderzakami. Jeździł nim jakiś czas jeden szczęściarz, ale potem zniknął, samochód też. Trzęsienia ziemi dają ciągle nową pracę szklarzom, bo każde z nich niszczy wiele okien w mieście.

Tramwaj linowy

Nawet nie wyobrażasz sobie, jaka to frajda wsiąść do tramwaju i przejechać się ulicami miasta, prowadząc wesołą pogawędkę z innymi pasażerami i motorniczym. Od razu czujesz się, jakby wcale nie było wojny. Mamy w San Fran aż trzy działające linie tramwaju linowego: ta biegnąca Ulicą Kalifornii prowadzi przez Chinatown i Nob Hill do ulicy Vannes. Na pętli znajduje się przemiła knajpka serwująca wysmienite gofry i czysty sok ze świeżo wyciśniętych... cytryn. Druga linia krzyżuje się ze wspomnianą, ale biegnie w centrum z Market Street aż na północne nabrzeże, kończąc się przy Fisherman's Wharf. Tę linię lubię najbardziej, bo jest kręta, długa, a z wagonika rozciągają się doskonałe widoki na Zatokę. Ostatnia zaś trasa, Powell-Mason, biegnie przez luksusową dzielnicę Russian Hill. Tramwaje linowe to kolejna z ikon naszego miasta - nigdzie indziej nikomu nie udało się uruchomić czegoś takiego. Że niby w Nowym Jorku budują kolej? Ciekawe, czy im się powiedzie. Zresztą my i tak byliśmy pierwsi. Tramwaje służą obywatelom, którzy płacą na ich funkcjonowanie podatek wliczany w czynsz. Jeśli jesteś przyjezdnym, musisz zapłacić za przejazd motorniczemu 10 gambli. Co jak co, ale o tramwaje to burmistrz Logan dba, opłacając stały serwis i sprowadzając węgiel do silników parowych, które napędzają tramwaje. Pojazdy nie mają własnych silników, lecz ciągnięte są przez biegnące pod ulicą stalowe liny, napędzane z głównej maszyny. Przed wojną wszystko zasilane było prądem, ale obecnie dla oszczędzania





generatorów z Treasure Island, zamontowano tam silniki parowe. Co ciekawe, tramwaje te nie mogą normalnie zawrócić, tylko na końcach linii znajdują się takie śmieszne, obrotowe „talerze”, na których wsiadający pasażerowie obracają tramwaj w przeciwnym kierunku. Nikt się przy tym nie buntuje i ludziom sprawia to sporo frajdy, podobnie jak sama jazda - pasażerowie często śpiewają, czasem znajdzie się ktoś z gitarą. Za tramwajami zwykle biegną dzieciaki.

Samochód w mieście

Każdy, kto przyjeżdża do San Francisco swoim samochodem, szybko porzuca go i kupuje sobie jakąś brykę na któryś z naszych targowisk. Nie dziwię się - przyjeżdżacie do miasta jakimś zdezcelowanymi gratami wydobytymi z zapyziałych dziur po wschodniej stronie Gór Skalistych, a tymczasem my mamy tutaj pełną gamę niemal nowych, sprawnych, eleganckich bryk. Kabriolety, sedany, krążowniki szos, limuzyny - co tylko zapragniesz, nawet lakier się jeszcze błyszczący. Większość aut, które czekają na klientów na giełdach, ma znikomy przebieg, pełne wyposażenie i działającą klimatyzację. Większość nie była używana od 30 lat. Gruchoty, którymi przyjeżdżacie, mają czasem kilkaset tysięcy mil na liczniku, silniki zatarte do granic sprawności, a karoserię pokrytą grubą warstwą rdzy. Wybór jest chyba prosty? Może nie ma u nas aż tylu genialnych mechaników i nie tuningujemy wozów na potęgę jak w Detroit, ale nasze auta są z pewnością porządne. Aha - żeby było jasne, mój Pontiac akurat nie jest na sprzedaż!

Szklarze

Powiedziałem, że miasto przetrwało uderzenie niemal nie tknięte. W zasadzie jest to prawda, poza jednym, drobnym szczegółem - szybami. W chwili upadku bomb na wschodnie wybrzeże Zatoki, w promieniu kilku mil z okien wyleciały absolutnie wszystkie szyby. Co do jednej! Wyobraź sobie teraz centrum San Francisco i wszystkie stojące tam wieżowce. Jarzysz?

Co się stało, kiedy w jednej chwili gigantyczne tafle szkła wyleciały z okien? Oczywiście, zgodnie z prawem grawitacji, to wszystko runęło w dół na ulice i prosto na głowy zdeзорientowanych mieszkańców miasta. Lecące z dziesiątek metrów kawałki szkła zmasakrowały mnóstwo ludzi, doskonale opisuje to Księga Dni Apokalipsy. Nie wyobrażasz sobie, co potrafi zrobić z ciałem postrzępiona szyba lecąca z czterdziestego piętra biurowca. Nawet szyby wybite na parterze raniły ludzi przyskakując im odłamkami w twarze.



Gdy pył i żar po bombach rozwiały się, całe miasto było zasypane zabarwionym na krwawo szkiem. Tafle szyb okiennych leżały zagrzebane wśród tysięcy ton szklanego grysu i odłamków. Wszystkie to pokrywały ulice miasta na wysokości kostek, a gdzieś tam wyżej. Gdy pokaleczeni ludzie chodzili ulicami, szkło chrzęściło im pod butami, zresztą, w wielu miejscach miasta chrzęści do dziś.

Dopiero po wielu miesiącach, gdy otwały się schrony, po usunięciu zwłok ludzi zmarłych od promieniowania, George Logan zarządził usuwanie hałd szkła z najważniejszych ulic w mieście. Szkło zbierali wszyscy, ładowali łopatami do beczek, skrzyń i kontenerów. Powoli, mozolnie pracując, uprzątnięto je z najważniejszych placów i dróg, przedmieścia do dziś usiane są cienką warstwą błyszczących odłamków, więc lepiej nie chodzić tam boso. Wszędzie natomiast stoją kontenery, skrzynie i worki ze tłuczonym szkłem. Znajdziesz je w zaułkach, na śmietnikach, w garażach czy piwnicach. Przypominają nam heroiczną pracę, jaką odwaliliśmy po wojnie.

Potem ludzie znaleźli zastosowanie dla tego całego szkła. Przed wojną też wykorzystywano odpady szklane, tylko zdaje się, na nieco mniejszą skalę. U nas, tymczasem, wielu ludzi zaczęło masowo przetapiać grys szklany i robić z niego różne rzeczy - naczyńa, szyby, butelki. Szkło wystarczy posegregować, rozdrobnić, zmielić, wrzucić do pieca i stopić. Powstało wiele malutkich hut szkła na przedmieściach, gdzie ludzie chałupniczo przetapiają surowiec, którego przecież nie zabraknie jeszcze przez wiele lat. Jeden z hutników wywoził nawet całe kontenery szkła ciężarówką. Komin jego huty wybija się wysoko nad domy przedmieść w dzielnicy Broadmoore Village.



- ▬▬▬ linia California
- ▬▬▬ linia Powell/Hyde
- ▬▬▬ linia Powell/Mason





Wielu ludzi u nas w mieście zajmuje się po prostu zbieraniem szkła i sprzedawaniem go do hut. Za dzień takiego zbierania można spokojnie się wyżywić, kupić sobie parę piw czy jakieś ciuchy. A interes się kręci, bo oprócz talerzy i butelek, robi się przede wszystkim szyby. Ludzie przecież ich potrzebują. Każdy lubi mieć szyby w oknach domu, bo drewniane okiennice czy żaluzje to nie to samo. Są dobre latem, kiedy upał jest taki, że okna i tak są pootwierane na oścież w całym mieście, ale zimą, gdy w Zatoce pływa kora, a na ulicach zalega szarawa od radioaktywnego pyłu śnieg, szczelne okna to podstawa. A bez szyb nie ma szczelnych okien. No, chyba, że zamurujesz...

W każdym razie szyby i wyroby szklane to jeden z naszych towarów eksportowych. Nasze szkło znane jest nawet w Teksasie. Na pewno w Stanach jest jeszcze wiele miejsc, gdzie ludzie robią to, co my, ale nigdzie chyba nie przetwarza się szkła na taką skalę. Wiesz, niektórzy nazywają nawet San Francisco Miastem Szklarzy.

Uprawy miejskie

Przed zagładą mieszkańcy tego miasta mogli cieszyć się olbrzymią ilością parków. Gdy jedziesz przez San Francisco, pomyśl, że każda większa otwarta przestrzeń była przed wojną jakimś parkiem, skwerem czy innym „terenem zielonym”.

Cóż, drzewka są fajne, dają miły cień i podobno produkują tlen, którym oddychamy, ale mają jedną zasadniczą wadę... nie produkują jedzenia - przynajmniej te zwyczajne. Dlatego wszędzie, gdzie się dało, ludność zreorganizowała przeznaczenie terenów zielonych i albo zasadzono sady owocowe, albo ziemię zaorano i założono uprawy warzyw. Między wielkimi wieżowcami możesz napotkać całe plantacje cytrusów czy pola marchewki i nie zdziw się, gdy późnym latem zobaczysz ludzi pochylonych nad zielskiem i zbierających dary ziemi do koszy.

Warzywa i owoce stanowią dla nas cenne urozmaicenie diety, no bo, na miłość boską - ile można jeść ryb?! Codziennie do znużenia wcinamy cholerne ryby i gdyby nie dodatek jakichś pomarańcz i rzodkiewek, chyba byśmy oszaleli.

Wiesz, z zakładaniem upraw to był niezły cyrk i mnóstwo pracy. Rada miasta uznała, że ziemia była zbyt skażona, aby uprawiać na niej rośliny jadalne, więc postanowiono wybrać ziemię do pewnej głębokości i wywalić ją do oceanu. Teraz rozumiesz, czemu obszary dawnych parków są położone niżej od poziomu reszty gruntów.

W okolicy dużych parków zawsze znajdziesz stragany z warzywami albo owocami,



zależnie od rodzaju pobliskiej uprawy. Ceny mogą wydać ci się wysokie, a poza tym niektórzy sadownicy przyjmują za swoje owoce tylko zboże i inne produkty żywnościowe - poza rybami. Jeśli zechcesz wcisnąć komuś w San Francisco rybę, możesz dostać w ryj.

Aha, przechadzając się po parkach nigdy nie zrywaj owoców czy nie podkradaj warzyw - okoliczni mieszkańcy, którzy je hodują, mogą się strasznie wściec. Ostatnio nawet Logan wydał rozporządzenie w kwestii złodziei warzyw i owoców. Jeśli nie chcesz płacić wysokiej grzywny, to nie ruszaj cudzych drzewek ani grządek.

Hieny i sępy

Krótko po wojnie, gdy niedobitki ludzi z powierzchni wymierały na ulicach, do miasta ścigały dzikie zwierzęta zwabione łatwym lupem. Chorzy i wycieńczeni mieszkańcy oraz ciała zmarłych były łatwiejsze do upolowania niż padlina poza miastem. Gdy pierwsi ludzie wyszli ze schronów przeciwatomowych, natknęli się na watahy dzikich, żarłocznych i agresywnych psów oraz wilków, które pożerały zwłoki zabitych przez promieniowanie i choroby. Nad dachami wieżowców latały zaś całe stada sępów, które rzucały się do resztek pozostawionych przez walczące o zdobycz wilki i psy.



To wtedy przerażeni ludzie nazwali zdziczałe psowate hienami i wydali im bezwzględna wojnę. O ile drapieżniki wyparto z centrum miasta dość sprawnie, to walka z sępami okazała się trudniejsza. Ptaszyska do dziś zamieszkują dachy wysokich wieżowców, a z padlinożerców zmieniły się w drapieżniki. Ich ofiarami padają żebracy, chorzy i samotni ludzie. Wystarczy w nocy zapomnieć o zamknięciu okna lub drzwi i już możesz się rano nie obudzić. Teraz rozumiesz, dlaczego szklarze mają takie dobre i opłacalne zajęcia? Nikt nie chce paść ofiarą przeklętych sępów.

Ptaszyska nie są groźne dla większych grup ludzi, ani dla uzbrojonych osób, ale ich szpony i dzioby stanowią śmiertelne zagrożenie dla dzieci i słabszych kobiet, a bestie czasami mają czelność zlatywać na ulice nawet w biały dzień. Jeśli zobaczysz gdzieś coś skrzydlatego nad swoją głową - strzelaj. Żadni obrońcy przyrody nie będą mieli wątpliwości - u nas nie ma nikogo takiego. Bardziej sami potrzebujemy bronić się przed przyrodą, niż ona przed nami.

A powiem ci, że ustrzelony sęp może być całkiem smaczny po upieczeniu. Często na narożnikach ulic można zresztą trafić na małe budki oferujące grillowane mięso sępa albo psa, czyli powojenne hot-dogi i zestawy McSęp w dosłownym znaczeniu, he he.

Pożary

Może wydać ci się to niewyobrażalne, ale całe miasto, niemal wszystkie domy w San Fran, są drewniane! Oczywiście oprócz wieżowców. Choć wiele budynków wygląda na murowane, są to tylko „tapety” przypominające wyglądem tynk. Zamiatanie przedwojennych mieszkańców miasta do lekkiego i ekologicznego drewna jest naszym przeżyciem.

Drewniane domy mają dwie zasadnicze wady - są wrażliwe na wichury oraz łatwopalne. Większość szkód, jakie uderzenie atomowe spowodowało na terenie półwyspu, było wywołane przez pożary. Ogień przenosił się ze spopielonych atomowym żarem

Richmond i Oakland na południe i spaliwszy doszczętnie Milipitas i Mountain View podążył na północ, w stronę centrum San Francisco. Spłonęło całkowicie lub częściowo kilka dzielnic, choć ogniowe piekło po uderzeniu opanowali mieszkańcy San Francisco.

Dziś straż pożarna nadal ma mnóstwo roboty. Zwłaszcza w biednych dzielnicach, takich jak Ingleside, gdzie częste są przypadki podpaleń. Najgorzej jest jednak w Taravel. Wiesz jak to jest z ludnością murzyńską - przestępczość jest u nich znacznie wyższa niż w naszych osiedlach. Nie wiem czemu tak się dzieje, ale o tym już ci mówiłem. W każdym razie drewniane domki płoną szybko, silne wiatry znad oceanu roznoszą płomienie na kolejne budynki i pożary rozprzestrzeniają się błyskawicznie. Dlatego często spotkasz stojące po prostu na skrzyżowaniach wozy strażackie czy zwykłe cysterny z wodą, przygotowane na wybuchy pożarów. Ludzie boją się ognia i w każdym domu mają przygotowane wiadra z wodą, a niektórzy zdobyczne, przedwojenne gaśnice.

Gdy gdzieś pojawia się ogień, sąsiedzi rzucają się na pomoc z wiadrami, czy co tam mają i gaszą wspólnie ognisko pożaru. Często udaje im się zadusić ogień zanim przybędą strażacy, a niekiedy straż pożarna nie zjawia się w ogóle. Pewnie dlatego, że większość wozów strażackich krąży po centrum miasta i w bogatszych rejonach zamieszkanym przez białych krezusów, ochraniając ich wille i rezydencje z ogrodami. Taka ot, cholerna niesprawiedliwość. Całe szczęście, że wykształciła nam się ta swoista „obywatelska” straż pożarna.

Golf - narodowy sport

Mieszkańcy Detroit mają wyścigi samochodowe, kowboje z Teksasu urządzają sobie rodeo, Posterunek organizuje polowania na mutki - czemu my nie mielibyśmy mieć jakiegoś sportu? Zatem mamy sport i jak to się u nas mówi - prawdziwy sport - bo przecież golf to przedwojenna dyscyplina, w odróżnieniu od polowań na mutanty. Słyszałem, że rodeo też istniało przed wojną i pochodzi z Meksyku, ale to pewnie jakaś plotka.

W każdym razie, w San Francisco mamy całą masę pól golfowych i choć większość z nich przerobiono na warzywniaki, to i tak mamy więcej klubów golfowych niż całe Stany razem wzięte. Niektóre z nich to po prostu jako tako utrzymane trawiaste łąki z dołkami i flagami i gdzieś tam leżą łachy piachu, ale zdarzają się perełki. Jest kilka ośniewających pól golfowych, które nie zmieniły się od czasów przedwojennych.





Cztery najlepsze mieszczą się w zachodniej części miasta nad jeziorem Merced i niemalże na siebie nachodzą. W ogóle jest tam miła atmosfera - wokół parki, na środku ciche jezioro i z dala od zgiełku centrum miasta. Jednak wstęp mają tam tylko prominentni obywatele i najlepsi gracze - co często idzie zresztą w parze.

W golfa grają w San Francisco wszyscy, którzy go lubią i mają trochę czasu - to jedyna dziedzina życia w mieście, w której panuje faktyczne równouprawnienie. Jeśli chcesz grać, możesz zacząć, nawet jeśli nie jesteś bogaty, choć oczywiście nie pogrążasz się w takich ekskluzywnych klubach jak Lake Merced albo Harding Club. Tam grają bogacze w kraciaty kamizelkach, popijając gin z tonikiem podawany przez lokajów i wożeni wózkami elektrycznymi.

Nie pogrążasz tam przynajmniej na początku. Jeśli jednak okażesz się naprawdę dobry, nawet sam Benedict Logan nie odmówi ci gry - golf daje niesamowite możliwości awansu społecznego. Znani są mistrzowie, którzy wcześniej byli zwykłymi żebrakami, a teraz są sławnymi osobistościami i pokazują się w towarzystwie bogaczy. Miałem kiedyś kumpla - Garry niestety wygrał kilka turniejów i nagle stał się członkiem wyższych sfer. Gdyby nie to, pewnie nadal byłby moim kumplem, ale sława uderzyła mu do głowy i zerwał kontakt. Cóż, tak bywa. Także przyjeżdżając tu, uważaj na swych kompanów, bo jak się wciągną w golf, to już nie wyjadą z San Francisco.

Jeśli sam miałbyś ochotę spróbować prawdziwej, ekskluzywnej, przedwojennej gry snobów, odwiedź California Golf Club. Tam grają na początku wszyscy przyjeźdźni, więc nie trafisz na starych mistrzów. Po dłuższym treningu i wygraniu kilku towarzyskich gier z różnymi przeciwnikami, możesz spróbować sił w jakimś mniejszym turnieju, a jeśli będziesz dobry i zaczniesz wygrywać, to potem spróbuj zagrać w eliminacjach do samego Pucharu Golfa. Na pewno nie wygrasz, ale wzięcie udziału w tej imprezie to zaszczyt i prawdziwa przyjemność. Będziesz mógł chwalić się w każdym barze na terenie Kalifornii, mówiąc: „Zagrałem w samym Pucharze Golfa w San Francisco!”.

Mamy zresztą pełno różnych rozgrywek i turniejów. Prawdziwi profesjonalści nie nudzą się - mogą grać niemal cały rok. I powiem ci, że całkiem nieźle zarabiają - nagrodą w Pucharze jest równowartość około 200 galonów ropy, która co roku przybiera inną postać: a to pożącanego Cadilaca, a to darmowych obiadów w prominentnej restauracji przez pół roku. Mniejsze turnieje też oferują dość nieźle nagrody - sam wygrałem kiedyś noc w Banana House. Ale to był kompletny fuks - w golfa gram raczej amatorsko.

Głód

Wyżywić kilka tysięcy ludzi mieszkających w mieście to niewyobrażalnie trudne zadanie w dzisiejszych warunkach. Import i eksport umarły wraz z upadkiem bomb, wielkie farmy zniszczyło promieniowanie, przemysł rolniczy odszedł w zapomnienie. A ludzie nadal muszą jeść. Połowy ryb, sady i ogrody warzywne w parkach, a nawet import żarcia z Teksasu i innych miejsc nie zawsze wystarczą, aby nakarmić wszystkich. Już dziś jest to barierą uniemożliwiającą dalszy rozwój miasta - nie wyżyjemy więcej ludzi, niż już tu mieszka.

Szlak paliwowy

Elektrownia Benedicta Logana zasilana jest olejem opałowym, który sprowadzamy masowo z Los Angeles. Specjalnie w celu zaopatrywania elektrowni w olej powołano Cysterniarzy, którzy pracują dla burmistrza. To grupa doskonałych kierowców oraz ochroniarzy. Kilku kierowców to przybył z Detroit, którym Logan zaoferował bardzo dobre płatną fuchę. Cysterny zostały dobrze opancerzone i podrasowane, zaś konwojenci poruszają się szybkimi Jeepami i są dobrze uzbrojeni. Cysterniarze kursują ciągle do Los Angeles tzw. szlakiem paliwowym, który biegnie nadmorską szosą nr 1, a potem autostradą nr 101. Dziesięć cystern wykonuje co tydzień dwa kursy, aby zaspokoić potrzeby energetyczne miasta. Jako stali klienci mamy u paliwowych magnatów z Los Angeles bardzo duże zniżki, więc eks-

Hycel

Jeremy od lat zajmuje się wyszukiwaniem i łapaniem dzikich hien. Jego furgonetka pomalowana na zgniózielony kolor krąży po całym mieście w poszukiwaniu zarobku. Wystarczy pomachać, a Jeremy zatrzyma się, aby pokazać mu, gdzie ostatnio kręciły się hieny. Uzbrojony w cały zestaw sieci, haków i pętli oraz strzelbę na wszelki wypadek, hycel poradzi sobie z największą nawet bestią. Łapał już zmutowane wilki, wściekle lisy, biegłe rottweilery. Wszyscy znają i lubią Jeremy'ego, a on zna i lubi wszystkich. Pojmane psy zwozi do swojego schroniska za miastem. Zdrowe osobniki albo sprzedaje do chińskich lokali, albo zawozi na jedno z targowisk, jeśli nie są niebezpieczne i nadają się do tresury. Natomiast wściekle i zdziczałe hieny odstrzeliwuje i robi z nich przynętę na kolejne psy - Jeremy nie marnuje niczego. To bystry koleś, przyjmuje zlecenia - potrzebujesz kundla do eksperymentowania ze znalezionymi przed wojną szczepionkami? Nie ma sprawy. Szukasz wilczura do tresury? Da się załatwić. Na ulicach San Francisco Jeremy złapie wszystko, potrzebuje tylko czasu... To jak? Widziałeś gdzieś w okolicy wąłęśające się bezpańskie psy?



ploatacja elektrowni mieści się w granicach opłacalności. Przejeżdżając przez San Francisco, cysterny wybierają najkrótszą trasę z Foster Gate do Mostu Zatokowego, gdyż Benedict Logan obawia się, że ktoś mógłby zaatakować konwój i sparaliżować życie w mieście poprzez wstrzymanie dostaw oleju do elektrowni. Co prawda, na Treasure Island z pewnością przechowywane są rezerwy paliwa, ale wątpię, aby wystarczyły one na więcej niż kilka dni. Cysterniarze nigdy nie mieli większych kłopotów na trasie konwoju, pomimo licznych napadów na transport. Gangerzy organizują wiele zasadzek na autostradach, polując na cysterny powracające z Los Angeles z olejem. Nikt, oczywiście, nie napada pustych cystern jadących do Los Angeles. Opancerzenie cystern i liczna oraz dobrze wyszkolona ochrona nigdy jednak nie uległa napastnikom, choć zdarzało się, że pojedyncze cysterny były uszkodzone lub niszczone. Często bywa tak, że podróżni chcący dotrzeć z Miasta Aniołów do San Francisco podłączają się pod konwój. Niepisany zwyczaj mówi, że wszyscy, którzy tak robią, powinni bronić konwoju w razie napadu, jednak znane są przypadki, kiedy jakieś sukinsyny przyłączały się do napastników. Zresztą, możesz sam się przekonać, ilu frajerów usiłowało już przejąć transport cennego paliwa, wystarczy przyjrzeć się Jeepom konwojentów, którzy zaznaczają każdego zabitego gangera na drzwiach swoich samochodów.

Dżungla

Idąc ulicami rozległych przedmieść San Francisco, możesz być zdziwiony, możesz pomyśleć nawet „Co tutaj robi ta cholerna dżungla?”. Nie ma w tym nic dziwnego - wielu jest zaskoczonych. Tymczasem, jeśli dobrze się zastanowisz, wszystko okaże się zrozumiałe. Uderzenie miało miejsce 30 lat temu - mieszkańcy Aglomeracji, którzy pozostali na powierzchni, wymarli bardzo szybko na skutek promieniowania i epidemii. Miasto opustoszało na całe miesiące, a pierwsze większe grupy ludzi pojawiły się na ulicach dopiero, gdy otworzyły się drzwi pierwszych schronów przeciwatomowych. Dat ci nie podam - każdy ma swoją wersję, zresztą, czy to ważne? O historii miasta już zresztą gadaliśmy i ustaliliśmy, że nie było takiej postaci, jak Aleksander Wielki i to wystarczy...

Tymczasem, gdy ludzi nie było, do miasta wdarła się dzika przyroda - nie tylko pod postacią wilków, dzikich psów i żarłocznego ptactwa. Poza szczurami, wiewiórkami, lisami i kunami, między domy wkroczyły rośliny. A w zasadzie nie tyle wkroczyły, co po prostu normalnie wrosły.

Tak się składa, że o ile dla nas promieniowanie okazało się mordercze i na wiele miesięcy uniemożliwiło ludziom przebywanie na powierzchni, to zieleń miejska nie cierpiała od tego tak bardzo. Jasne, słabsze gatunki roślin wymarły, inne jednak przetrwały, a spora część zielska zmutowała. Tak, nie przestyszałeś się - wielu roślinom promieniowanie zrobiło dobrze, wzmocniło je. Nieprawdopodobne, nie? A słyszałeś legendę o Czarnobylu? Tamtejsze dżdżownice podobno też urosły. No i wyobraź sobie, że nasze roślinki też powiększyły swoje rozmiary, czasem tylko trochę, niekiedy zaś nawet pięciokrotnie. Mówię głównie o drzewach i trawie - kaktusów raczej tu nie uświadczysz, mimo że klimat byłby i może odpowiedni. Pieprzone sukienty czy jak im tam, jednak nie wytrzymały i znikły.

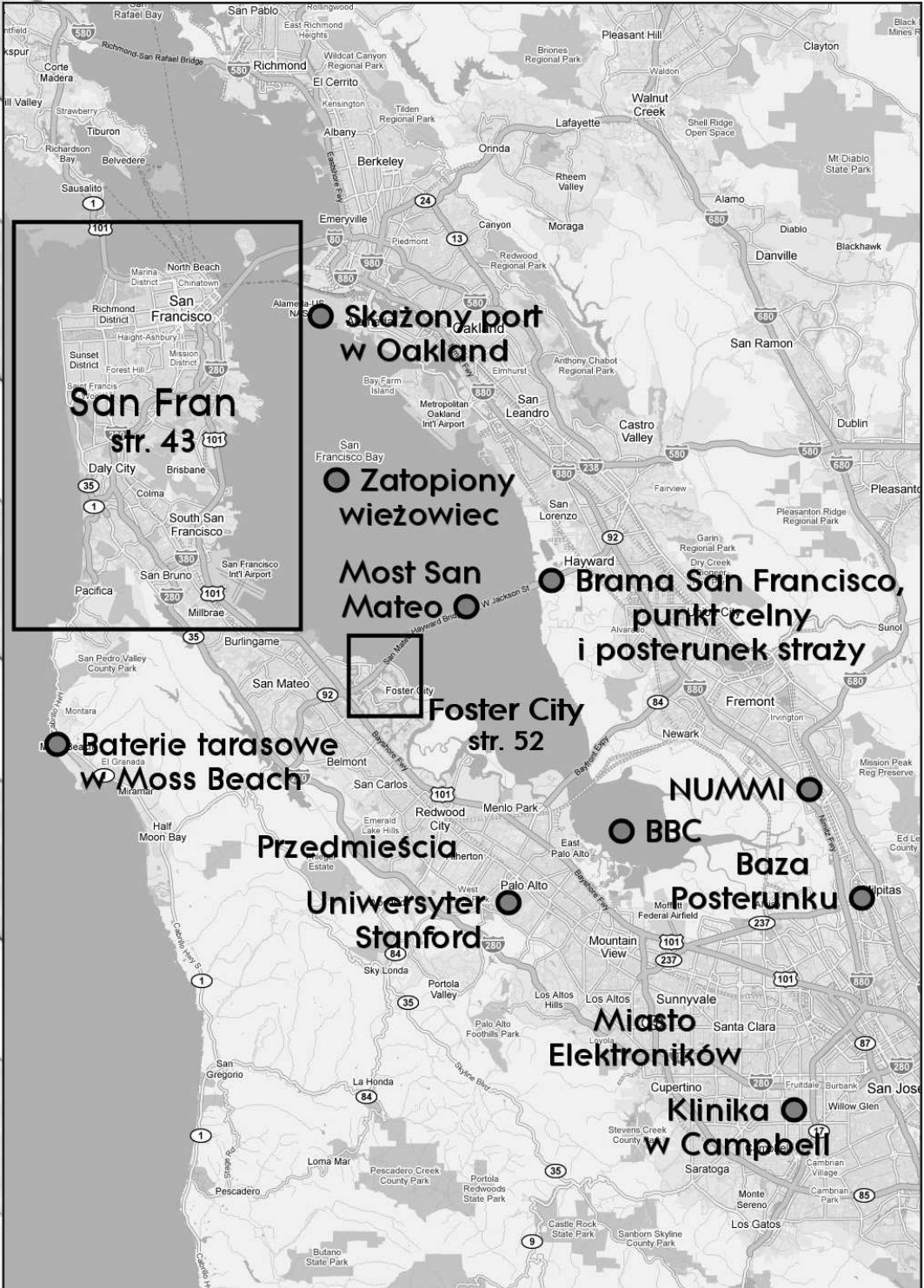
Jednakże krzaki, trawka i małe drzewka wykorzystały nieobecność ludzi, brak działków z kosiarkami oraz służb miejskich i rozrosły się bujnie w całym mieście. Szczególnie gęsto na przedmieściach, gdzie nie ma aż tyle asfaltu i biurów. Jest tam za to dużo trawników i świeża pożywka - tysiące zapadających się, próchniejących domów oraz tony popiołów po licznych na początku wojny pożarach. Zapadające się wille i domki jednorodzinne gniją i zmieniają się w próchnicę, na której wzrasta roślinność.

Niektóre gatunki zielska wyrastają wprost z zapadniętych, butwiejących ścian i dachów - przystosowały się, dasz wiarę? Jak nie, to weź ostrą maczetę i pojedź do takiego San Mateo. Wszędzie, gdzie ludzie chcą dziś mieszkać, muszą karczować dżunglę i walczyć z mchem oraz grzybami. Rośliny zaś są cholernie odporne. Nie wiem, czy ma to coś wspólnego z tymi legendami o Neodżungli, które przywożą czasem kowboje z Teksasu, ale wiem jedno - rośliny tylko nam przeszkadzają. Te dzikie odmiany, z którymi walczymy, nie są jadalne, a w dodatku zajmują ziemię, na której można by zasiać jakieś warzywa czy posadzić drzewa owocowe. W dawnych parkach ludzie wciąż muszą plewić samosiejki i usuwać chwasty - wojna rolnika z naturą wydaje się nie mieć końca.

Dobrze chociaż, że przynajmniej w dżungli nie żyją żadne bestie albo zbyt wiele dzikich zwierząt. Poza watahami hien, bardzo rzadko spotykamy coś groźniejszego. Czasem ktoś ustrzeli zabiłkąną pumę czy coś podobnego. Jedyne węże czające się w pozarastanych pnączami domach sprawiają zagrożenie dla poszukiwaczy gambli. Jeśli chcesz obłowić się na przedmieściach, uważaj na to, gdzie stawiasz stopy - mamy naprawdę wiele jadowitych gatunków!



DZIELNICE



San Fran
str. 43

Skazony port
w Oakland

Zatopiony
wiezowiec

Most San
Mateo

Brama San Francisco,
punkt celny
i posterunek straży

Foster City
str. 52

Baterie tarasowe
w Moss Beach

Przedmieścia

Uniwersyter
Stanford

NUMMI

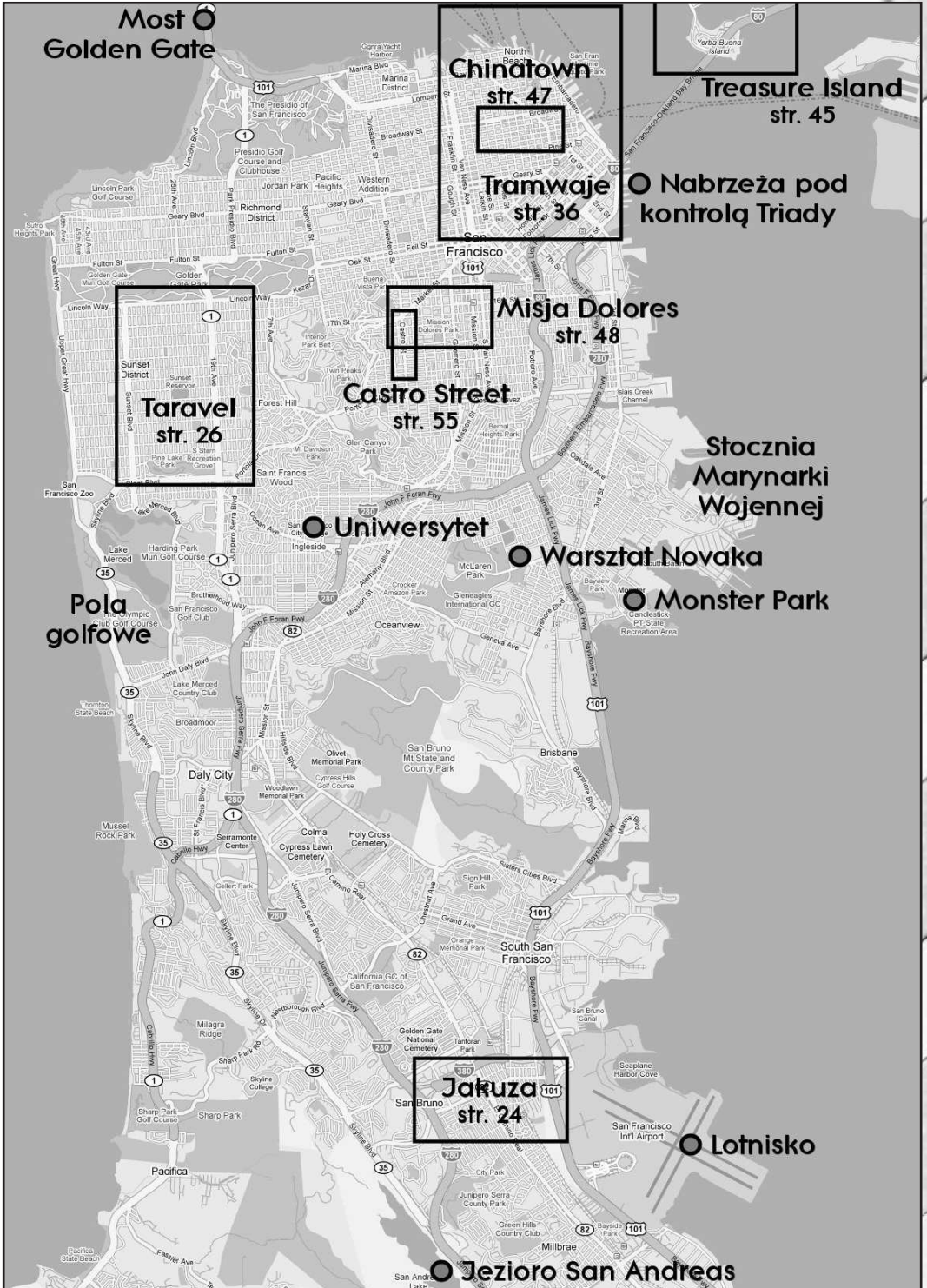
BBC

Baza

Posterunku

Miasto
Elektroników

Klinika
w Campbell





Golden Gate

Nie sposób opowiedzieć o San Francisco, nie pokazawszy turystcie naszej ikony - Złotej Bramy. Wbrew nazwie, most jest czerwony, a w zasadzie to rdzawo-czerwony, bo farba łuszczy się i odpada całymi, wielkimi płatami. Słyszałem, że jeden taki płat spadł na jakiegoś Chińczyka w kutrze rybackim i ciężko go pokaleczył. Farba pewnie odpada razem z grubą warstwą rdzy...

Podobno kolor, na jaki pomalowano most, nazywał się oficjalnie przed wojną „kontynentalny pomarańczowy”. Nie wiem, co czerwień ma wspólnego z pomarańczowym, ale co tam - przedwojenni ludzie też mieli czasem dziwne odpały.

W każdym razie, symbol San Fran stoi nadal niewzruszenie, nawet teraz, 30 lat po wojnie atomowej i nic nie wskazuje na to, aby miało to się zmienić. Przetrwał wszystkie dotychczasowe trzęsienia ziemi, huragany i sztormy. Jezdnia jest w bardzo złym stanie, barierki powyłamywane lub przedziewałe, ale most jest przejezdny nawet dla ciężarówek, a gdybyś miał czołg, to założę się, że nawierzchnia się nie zawali. Nie ma to jak solidna, przedwojenna inżynieria.

Golden Gate łączy północny kraniec San Francisco i południową część miasteczka San Rafael. Jeśli jedziesz od północy, to tylko tędy możesz wjechać do miasta, ale jest jeden problem - musisz przedrzeć się przez San Rafael i Sausalito, a te dwa zadupia są uwa-

żane za bardzo niebezpieczne tereny. Sądźmy, że mieszkają tam mutanty albo inne krwiożercze ścierwo, no i panuje tam dość wysokie skażenie - NA-AD nie obejmował tego rejonu swym zasięgiem. Mieszkańcy San Rafael nie mieli szczęścia. Dlatego dziś niemal nie używamy Złotej Bramy. Poza konwojami z więźniami, żadne pojazdy nie przekraczają tędy Zatoki.

Transamerica Pyramid

Następnym, także godnym zobaczenia, miejscem w mieście jest nasz najwyższy wieżowiec. Nazwa kojarzy się z piramidami i kształt budowli też, może poza tymi dwoma skrzydłami, które przywracają kontur wieżowca do pionu.

Przed wojną ten drapacz chmur mieścił siedziby firm i korporacji, dziś zaś jest gmachem Rady Miasta, mieszczą się tu też biura burmistrza oraz lokalny komisariat. Nad nimi znajdują się sale balowe i restauracja, w której jadają urzędnicy miejscy. Wyżej zaś, kolejne trzy piętra biurowca wynajmuje Korporacja Transportowa i kilka innych prywatnych firm. Następne piętra są zajmowane przez prywatnych ludzi - głównie bogaczy, którzy zamieszkali w wieżowcu wkrótce po wojnie.

Na szóstym piętrze mieszka część rodziny Loganów. Piętro to jest niedostępne dla innych rezydentów budynku, a winda się na nim nie zatrzymuje.



Ostatnich dwadzieścia pięter wieżowca jest puste, nawet nie mają wprawionych szyb w oknach. Ich używanie jest zbyt drogie - Benedict Logan uzależnia czynsz od wysokości piętra, gdyż praca napędzanej z podziemnego generatora windy jest energochłonna.

Piwnice wieżowca, poza aresztem komisarzatu i maszynownią generatora prądowłórczego, kryją wejście do przedwojennego schronu przeciwatomowego. Dziś miejsce to pełni rolę twierdzy dla urzędników i burmistrza, na wypadek wybuchu buntu w mieście. Dam głowę, że zmagazynowano tam żywność, wodę i lekarstwa na wiele tygodni oblężenia. Sam Transamerica Pyramid jest najlepiej strzeżonym, może poza Treasure Island, miejscem w San Francisco. Non stop kręcą się w wieżowcu i wokół niego Strażnicy oraz Milicja.

Bay Bridge i Treasure Island

Benedict Logan wkurwia niemal wszystkich i chyba zdaje sobie z tego sprawę. Wiesz, on się chyba jednak nieco boi o swoją pozycję. Skąd to wiem? Ktoś, kto jest pewny swojego autorytetu i bezpieczeństwa, raczej nie fortyfikuje się na małej wysepce na środku zatoki, czy się myłę?

Wiesz, na wschód od półwyspu na wodach Zatoki San Francisco leży sobie wyspa Treasure Island. Swoją drogą, Wyspa Skarbów to dobra nazwa, bo na niej Logan gromadzi swoje bogactwa. Trzyma tam całe tony gambli - samochody, sprzęt komputerowy, ubrania, żywność i leki.

Most Zatokowy przebiegający przez wyspę przed wojną łączył San Francisco z Oakland. Dziś z Oakland pozostały radioaktywne zgliszczka, a część mostu tam prowadząca załamała się w połowie i spoczywa w wodach Zatoki San Francisco. Zatem na Treasure Island dostać się można tylko łodzią albo mostem prowadzącym z San Francisco.

Dlatego też burmistrz wybrał sobie leżącą tam luksusową dzielnicę willową za swą siedzibę. Luksusowa to ta dzielnica jest obecnie - przed wojną były tam rozległe magazyny i parkingi oraz mała, niezbyt zachęcająca dzielnica mieszkalna. Ludzie Logana urządzili tam jednak pola golfowe, odmalowali domy, posadzili palmy i drzewa cytrynowe. Otoczone wysokim, wybudowanym po wojnie murem z cegieł, wille są zamieszkałe przez jego zaufanych ludzi. Aby tam się dostać, trzeba przejść przez ufortyfikowaną wysepkę Yerba Buena, na której jest mała przystań przedwojennej Straży Przybrzeżnej.

Tam też przebiegły Benedict Logan umieścić generatory prądowłórcze. Hmm... generatory prądowłórcze to złe określenie - on tam prze-





niósł całe bloki elektrowni! Po prostu jedną z elektrowni miejskich, dasz wiarę, przewiózł na swoją wyspę! Autentycznie - kazał rozmontować kominy, generatory, kable i przetransportować ciężarówkami do portu, a potem barką na wyspę. Drugą elektrownię po prostu wysadził, choć oczywiście oficjalna wersja mówi, że zniszczyły ją Diabły z Sacramento. W efekcie Benedict Logan ma monopol na energię elektryczną. Oczywiście jest, że jeśli ktoś się zbuntuje, burmistrz zaszantażuje swoich wrogów odcięciem prądu.

A wiesz, u nas w San Fran ludzie przywykli do elektryczności. Mamy nie tylko oświetlone ulice i neony na sklepach, ale i działające tramwaje i windy, a ludzie po pracy słuchają płyt i oglądają przedwojenne nagrania.

Niektórzy sądzą, że na Treasure Island jest też część bogactw Logana i pewnie mają rację. Jednak, jeśli facet schowa się tam, trudno go będzie dostać. Ma do dyspozycji prawdziwą artylerię, łódzie Straży Przybrzeżnej i sporo innej broni.

Chinatown

Ponoć przed wojną zajmowało znacznie mniejszy obszar niż obecnie. Teraz w San Fran jest cała, rozległa dzielnica zamieszkała niemal wyłącznie przez Chińczyków. Przyjezdnych zaskakuje fakt, że chińska dzielnica leży w samym centrum miasta, tak blisko Dzielnicy Handlowej i bogatych osiedli zamieszkałych przez białych.

Tutaj życie płynie innym tempem. Na ulicach śmigają riksze i uwijają się Żółtki w słomkowych kapeluszach, nosząc zawieszane na bambusowych tyczkach tace wyładowane towarami. Starzy Chińczycy siedzą przed kramami i witrynami sklepów, pijąc zieloną herbatę i paląc fajkę albo grając w gry planszowe z turystami na pieniądze. Wszędzie sprzedają ryż i inne swoje specjalia, a co miesiąc ulicami przechodzą barwne korowody ludzi poprzebieranych za papierowe smoki i inne straszidła.

Ogólnie, jeśli nie napotkasz akurat bandziurów z Triady albo nie otrujesz się przekąską z Zatoki, to możesz uznać, że Chinatown jest bajkowym miejscem. Mi, osobiście, podoba się na przykład chińska architektura - jasne, nie wszyscy Chińczycy mieszkają od razu pod pięknymi, stylizowanymi pagodami, ale pełno tutaj ładnych, kolorowych budowli, o wąskich, poziomych oknach z drewnianymi okiennicami.

Każda z wąskich, krętych uliczek ma mnóstwo zaułków - w jednych są miłe, spokojne sklepiki, gdzie indziej brudne speluny, gdzie pija się chińską wódkę - maotai. Niektóre z nich zaś są niebezpieczne - pełno jest mrocznych dziedzińców, na których spotkasz uzbrojonych po zęby bandziurów. Gdybyś był na ulicy, nie zaczęliby cię, ale wejście na ich podwórko oznacza wyzwanie i nie ma już wtedy odwrotu.

Jeśli już odwiedzisz Chinatown, to polecam ci sklep z bronią niejakiego Tsu Wei, który sprzedaje doskonale wykalibrowane karabiny z pięknie zdobionymi kolbami i grawerowanymi napisami. Ceny potrafią zwalić z nóg, ale za to będziesz mieć spluwę jedyną w swoim rodzaju. Zwykle facet robi motywy z chińskich legend oraz magiczne znaki ochronne, ale za odpowiednią zapłatą wygraweruje ci nawet podobiznę przedwojennej aktorki albo radziecką gwiazdę. Wei sprzedaje też chińskie miecze o fantastycznie grawerowanych głowniach, ale akurat, jeśli chodzi o broń białą, to polecam ci raczej japońskich płatnerzy z południowego San Francisco. Nic nie dorówna dobrej katanie, o ile wiesz, co mam na myśli.

Jeśli natomiast chcesz coś zjeść, pójdz do Domu Cesarza. To cicha restauracja pod pagodą, w której dość tanio zjesz naprawdę dobre i bezpieczne owoce morza oraz napijesz się tradycyjnego, chińskiego piwa li. Lokal znajduje się przy Taylor Street, w zachodniej części Chinatown. Aha, nie wolno tutaj, tak jak w większości chińskich lokali, nosić broni palnej - co najwyżej białą. Nie awanturuj się, gdy przy wejściu skośnooki zatrzyma cię, wskazując z milczeniem na twój Deserta. Takie tu mają zwyczaje i pilnuje tego Triada, więc lepiej bądź grzeczny.





Za nieprzestrzeganie przepisów grozi odcięcie dłoni - jak zresztą za większość drobnych przestępstw, takich jak kradzież, uderzenie kogoś czy obraźliwy gest. Jednak najczęściej Chińczycy sami na własną rękę mszczą się za doznane krzywdy czy urazy i rzadko mieszają w sąd ludzi Triady. Prowadzi to do częstych bójek, gdy ktoś zaczepi drugiego, a bójkę te mają w zwyczaju przeradzać się szybko i niespodziewanie w prawdziwe burdy na całej ulicy, gdzie postronne osoby włączają się do walki, stając po jednej albo drugiej stronie - czasem wybór jest przypadkowy. Jeśli znajdziesz się na ulicy ogarniętej takim szaleństwem, najprawdopodobniej nie uda ci się uniknąć guza. Jak będziesz unikał walki i trzymał się na uboczu, oberwiesz pewnie przypadkiem jakimś lecącym przedmiotem albo ktoś rzuci się na ciebie. Rzadko zdarza się, aby w takich chaotycznych rozróbach ktoś odnosił poważne obrażenia - większość uczestników kończy z siniakami, czasem stłuczeniami i z tego, co mi wiadomo, nikt jeszcze nie zginął. Można powiedzieć, że uliczne bijatki to swoista rozrywka mieszkańców Chinatown, znużonych ciężką pracą i zestresowanych obecnością wszyskwidzającej Triady. A propos - członkowie mafii chińskiej są jedynymi osobami, których raczej nikt w ulicznej bójce nie zaatakuje - ludzie się ich zwyczajnie boją.

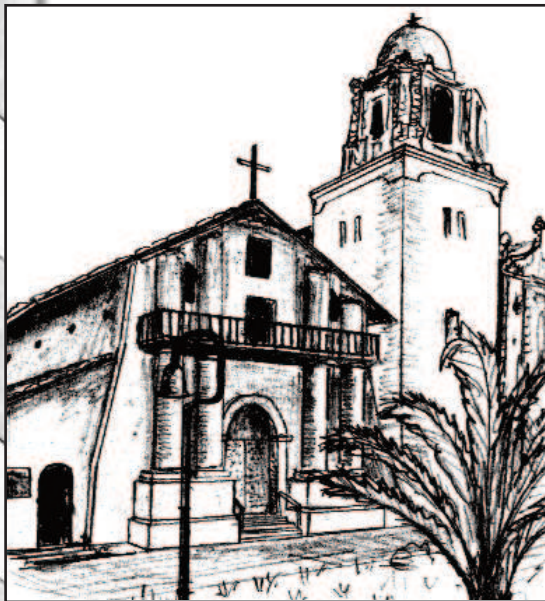
Gdy bijatka zbyt długo się przedłuża lub robi zbyt ostra, ludzie Triady wkraczają do akcji i pacyfikują uczestników rozrób. Łatwo poznać, że niedawno miała w okolicy miejsce spontaniczna bójka uliczna - wszędzie leżą potem śmieci, kawałki skrzyń, stłuczone szkło i widać liczne zniszczenia. Ludzie mieszkający na parterze w Chinatown non stop wymieniają szyby w oknach.

Kiedyś, jadąc linią tramwajową przez Chinatown, pasażerowie ze zdenerwowaniem obserwowali boczne uliczki, szukając oznak napadu. Jeszcze przed rokiem prawdziwą plagą były chińskie gangi młodzieżowe rabujące pasażerów tramwaju jeżdżącego przez Powell Street. Jednak od czasu, gdy motorniczka na tej linii został uzbrojony w pistolet, a z tyłu jeździ Milicjant, napady ustały. Teraz jedynym zajęciem funkcjonariusza jest wypychanie z pojazdu wskakujących w biegu do tramwaju ulicznych sprzedawców.

W Chinatown aż roi się od takich handlarzy, którzy próbują ci wcisnąć multum niepotrzebnych rzeczy, od chińskich ozdób po gryszklany, wszystko za wyjątkowo niską cenę. Jeśli uda ci się przejść Jackson Street odcinek od chińskiego szpitala do skrzyżowania z Columbus Avenue nie kupiwszy niczego, postawią ci kufel chińskiego piwa li.

Szpital Chiński

Niech nie zmyli cię jego nazwa - zresztą czerwone zasłony w oknach i markizy nad wejściem nie są już tak mylące. W budynku przedwojennego szpitala mieści się obecnie najbardziej luksusowy burdel w Chinatown, reklamujący się hasłami takimi jak „Uleczymy twe samotne serce”. Dlaczego miejsce to nadal nazywane jest szpitalem? Oprócz wiadomych usług tamtejszych dziewcząt, można tam zażyć ożywczych, zdrowotnych kąpeli solnych, zamówić rozluźniający masaż (nie erotyczny), odwiedzić chińskiego mistrza kręgarstwa i zakupić zioła na przeróżne choroby i niedomagania, w tym na potencję. Ceny „usług” nie są zbyt wygórowane, zważywszy na umiejętności i zdrowie dziewcząt, co wynika z tego, że Szpital nastawiany jest na turystów. Jeśli masz na zbyciu 100 gambli i gustujesz w młodych, urodziwych Azjatkach, a nie przeszkadza ci orientalna atmosfera i smak chińskiej wódki, powinieneś odwiedzić to miejsce.



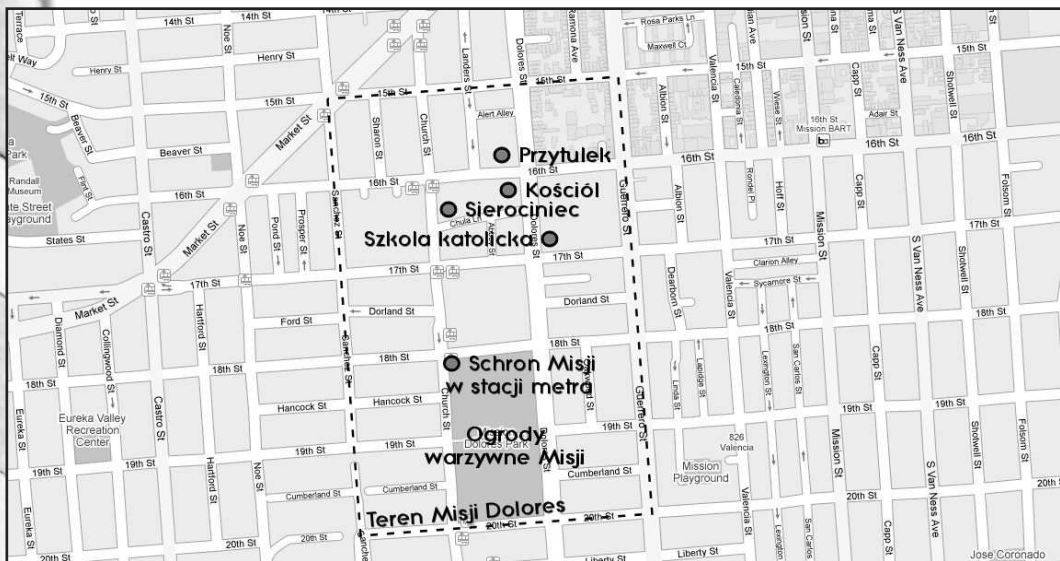
Misja Dolores i Chrześcijański Kościół Ojca Kornelio

Mamy chleb, mamy igrzyska, mamy też i życie religijne. Dominującą religią, przynajmniej wśród białych, jest Chrześcijaństwo. W Salt Lake nawet ta prastara, przedwojenna religia uległa licznym podziałom i zrodziły się z niej różne sekty. My zachowaliśmy tradycyjny obrządek.

W centrum miasta mieszczą się zabudowania chrześcijańskiej misji, która działała tu nawet przed wojną. Nie wiem, co działo się w tym miejscu przed uderzeniem, ale obecnie prężnie rozwija się tam instytucja kościelna prowadzona przez Hiszpanów. Drugie Salt Lake City to może nie jest, ale robi wrażenie. Świry urządziły tam kościół, klasztor, katolicką szkołę, przytułek i jadalnię dla bezdomnych, a nawet cholerny sierociniec!

Wszystkim opiekują się siostry zakonne pod przywództwem Ojca Kornelio. Twardy dziad ma duże umiejętności organizacyjne oraz wielką charyzmę i dzięki temu udaje mu się jakoś utrzymać swój chrześcijański punkt humanitarny. Nie wiem jak Ojciec Kornelio zdobywa fundusze na utrzymanie tego wszystkiego, ale jakoś się to kręci i jeszcze nikt w Misji Dolores nie umarł z głodu. Dobrotliwy starzec cieszy się dużym szacunkiem w mieście. No bo jak tu nie lubić staruszka rozdającego wszystkim biednym bułki i dającego sierotom schronienie w przytułku? Ksiądz odwala w mieście całą brudną robotę, której nie wykonałby nikt inny. Gdyby nie Misja Dolores i wielkie poświęcenie Ojca Kornelio oraz pomagających mu sióstr zakonnych, na ulicy potykałoby się o bezdomnych.

Swoją drogą, nie uważasz, że to prawdziwa ironia losu, że w tak wielkim mieście, gdzie niektórzy ludzie mają na własność całe wieżowce, mogą być bezdomni? Cóż, świat pełen jest podziaków. W każdym razie, gdyby nie Misja, bezdomni zalegaliby na ulicach i w parkach, a tak mamy porządek i spokój. Biedni, o ile zaakceptują warunki panujące w przytułku, mogą liczyć na nocleg w ciepłym,





suchym miejscu oraz gorący posiłek. Nie wszyscy się decydują. W końcu na terenie Misji Dolores nie wolno pić, a ponadto trzeba pracować. Ojciec Kornelio posyła swoje „owieczki” do prac publicznych przy odbudowie miasta czy wyładunku kutrów w porcie. W zamian Misja otrzymuje prąd od burmistrza i ryby od rybaków. Nie każdy begard z ulicy zechce pracować wśród śmierdzących ryb albo nosić gruz. Nie wszyscy potrafią też znieść codzienne poranne i wieczorne modlitwy, długie posty i inne dziwne religijne fanaberie Ojca Kornelio.

Ponadto, Misja Dolores toczy zażartą wojnę z narkotykami. Obawiam się, że może tym się kiedyś narażić Triadom albo Jakuzie, które przecież czerpią zyski z proszków. Jednak póki co dobroliwy ksiądz zażarcie głosi na ulicach, że wszyscy dealerzy i ćpuny spalą się w piekło i nie dostąpią zbawienia. Dopóki jego „zażarta” wojna będzie tylko taką nieszkodliwą propagandą, Misji Dolores nic nie grozi.

Sam Ojciec Kornelio to dość zagadkowa postać. Starzec zgromadził wokół siebie mnóstwo ludzi, którzy wspierają go i bezgranicznie w niego wierzą. Facet ma dar - umie budzić zaufanie. Zresztą, jak tu nie ufać człowiekowi, który nawet muchy by nie skrzywdził. Niektórzy upatrują w charyzmatycznym księdzu przywódcę, ale nie wydaje mi się, aby ich nabożne życzenia się spełniły. Ojciec Kornelio nie ma ambicji aby rządzić, a jak sam mówi, wystarczy mu to, co robi. Zresztą, brakowałoby mu zdecydowania i twardej ręki, aby móc rządzić czymś poza Misją Dolores.

Obecnie księdzę otacza aura dobroci. Uważany jest przez wielu niemal za postać świętą, a co najmniej błogosławioną. Aż dziwi, że Ojciec Kornelio nie zrobił kariery w Salt Lake. Nieznana jest jednakże przeszłość księdzę. Wiadomo tylko, że przybył do San Francisco przed 10 laty z północy. Ludzie snują różne opowieści, opierając je głównie na swojej fantazji oraz próbując wytłumaczyć, skąd Ojciec Kornelio ma te kilka blizn na twarzy. A starszek na pierwszy rzut oka faktycznie bardziej kojarzyłby się z weteranem pola bitwy - gdyby tylko zamiast koloratki miał mundur i M16, a nie laskę. Jedni uważają, że Ojciec Kornelio był niegdyś członkiem gangu i obecnie pokutuje za swą młodość. Inni chcą, aby Ojciec Kornelio był weteranem z Frontu. Jaka jest prawda, prawdopodobnie się nie dowiemy - ksiądz nie rozmawia z nikim o swojej przeszłości.

Ja sam przypisywałbym blizny starszku raczej jakiemuś wypadkowi niż morderczej przeszłości, ale to tylko moje zdanie. No i to by było na tyle, jeśli chodzi o Misję Dolores. Jeśli kiedyś stracisz wszystko i będziesz przymierał głodem, wiesz, gdzie udać się po pomoc. Z drugiej strony, jeśli będziesz bogaty i znany,

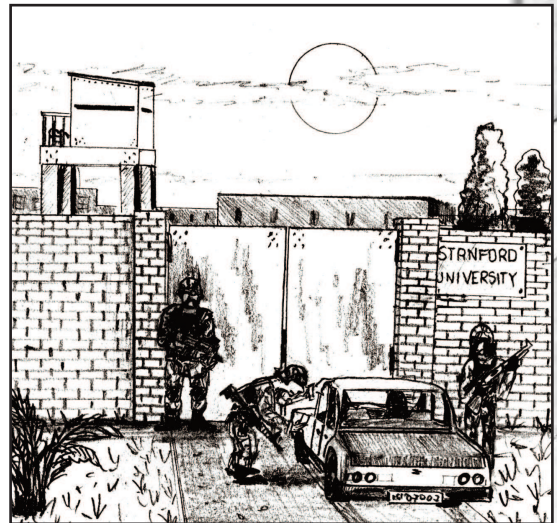
pamiętaj, że w mieście bardzo dobrze widziane jest danie jakiegoś datku na działanie Misji. Nawet, jeśli nie wierzysz w Boga, piekło i niebo, to twój wizerunek w oczach mieszkańców polepszy się. Takie sukinsyny jak burmistrz czy szefowie Triad też dają datki Ojcu Kornelio.

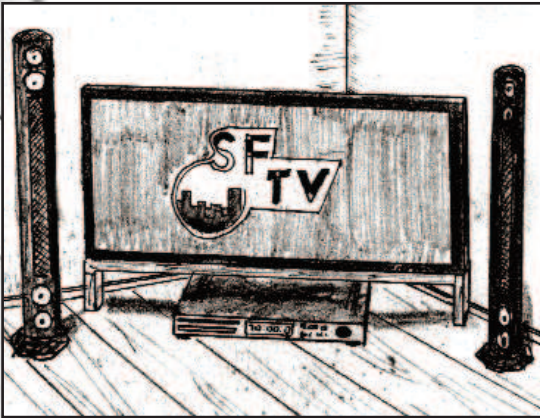
Uniwersytet Stanford

Nie tylko Japończycy zainteresowali się technologią zagrzebaną w zgłiszczach Krzemowej Doliny. Dość szybko po wojnie George Logan w porozumieniu z ocalałą w mieście kadrą naukową, no wiesz, profesorami, doktorami i innymi jajogłowymi, postanowili wznowić funkcjonowanie edukacji w San Francisco. To był jeden z wielkich planów dawnego burmistrza i częściowo się powiódł. Postawiono sobie bardzo rozległe i ambitne cele. Zebrano nauczycieli każdego poziomu nauczania - od wychowawców przedszkoli, po profesorów wyższych uczelni i spróbowano wskrzesić system nauczania. George Logan chciał zadbać o przyszłe pokolenia. W samym San Fran odrestaurowano nawet kilka przedwojennych szkół i trzy szkolne autobusy, które do dziś wożą dzieci rano na lekcje.

Uniwersytet w San Francisco niemal doszczętnie spłonął w pożarze, ale udało się uratować nieco książek i danych elektronicznych z podziemnych bibliotek. Dziś to miejsce pełni rolę czytelnicy. Wiesz, jak ktoś chce, to może przyjść i poczytać tam przedwojenne książki naukowe albo opracowania wydane w Uniwersytecie Stanford już po wojnie.

No właśnie. W bardzo dobrym stanie zachował się Uniwersytet w Stanford, niedaleko Palo Alto, więc tam przeniesi się ocalali z Zagłady profesorowie i w ogóle kadra naukowa. Widzisz,





po wojnie rozwijanie takich gałęzi wiedzy jak anglistyka czy historia sztuki straciło sens. Zostawiliśmy to koneserom i kolekcjonerom, których pełno w Stanach. Uniwersytet zajął się techniką, a ściślej mówiąc - ratowaniem technologii zagrzebanej w Krzemowej Dolinie i rozwijaniem jej. To oni pierwsi wysłali ludzi na gruzowiska wielkich zakładów elektronicznych i rządowych firm wysokiej technologii. Do dziś co czwarty Elektronik pracuje nie dla Jakuzy, a dla jajogłowych w Stanford. Wiodące kierunki na Uniwersytecie to elektronika, technika łączności, inżynieria transportowa, medycyna i biotechnologia. Tak, dobrze myślisz - pracuje się tam też nad cyborgizacjami, implantami i nanobotami. Faceci tam mieszkający to prawdziwi geniusze. Dlatego też muszą być pod dobrą ochroną. Za czasów George'a Logana ochraniała ich Milicja Miejska, ale dziś Uniwersytet ma swoje własne Służby Ochrony, które są naprawdę dobrze uzbrojone i wyposażone. Ponoć mają noktowizory, sensory ruchu i łączność elektroniczną opracowane w Uniwersytecie. Sam kompleks uniwersytecki to dziś twierdza otoczona wysokim, ceglany murem z wieżyczkami wartowniczymi. Wstęp mają tam tylko osoby posiadające elektroniczną kartę-przepustkę. Niewiele jest takich osób - kilku przedstawicieli Elektroników z Sunnyvale, ludzie z Kliniki w Campbell i kilku ludzi Benedicta Logana. Uniwersytet nawiązał zresztą ostatnimi czasy dość ścisłą współpracę z Jakuzą, zwłaszcza w kwestii wspólnej eksploatacji Cmentarzyska i współpracy w Klinice Campbell. Jedno jest pewne - nie dostaniesz się tam raczej. Co? Że masz kumpla spec'a? Czym się zajmuje? Bojlerami? Stary, zapomnij. Nasz Uniwersytet to prawdziwy Uniwersytet, a twój kumpel może najwyżej zbierać dla nich złom na Cmentarzysku. Bez urazy, oczywiście, ja nie mam nic do twojego kumpla. Jak zepsuje mi się bojler, to się do ciebie zgłoszę, ale raczej jego umiejętności nie zrobią na miejscowych wrażenia.

Czy wspominałem, że Uniwersytet Stanford aktywnie współpracuje z Posterunkiem? Bo wiesz, Posterunek założył na południowym wschodzie Aglomeracji w ruinach Milipitas niewielki przyzłek badawczo-obronny. Było to jakieś 5 lat temu. Pytasz dlaczego? Hmm... to długa historia.

San Francisco TV

Gdziekolwiek pojedziesz, wszędzie w Stanach ludzie mają radiodiodki i dbają o nie. Gdziekolwiek się znajdziesz, prawie na pewno słuchają tam radia. Powodem tego jest oczywiście Orbital, który nadaje od czasu do czasu swoje audycje. My w San Fran też słuchamy Orbitala, ale wyobraź sobie, że nie jest to nasza jedyna rozrywka - przynajmniej z tych bardziej pokojowych. Czy oglądałeś kiedykolwiek prawdziwą telewizję? Że niby twój dziadek? Tak, jasne, moi rodzice też żyli przed wojną, ale mi idzie konkretnie o ciebie - czy oglądałeś kiedyś telewizję? Tak myślałem. No, to teraz będziesz mieć okazję pooglądać, bo tak się składa, że jesteście chyba pierwszym w postapokaliptycznych Stanach miastem, gdzie działa stacja telewizyjna i prawdziwa telewizja kablowa. Na czym to polega? No, po prostu - jedni goście kręcą program, mają normalne kamery, studio, wóz transmisyjny, a całe miasto może ich oglądać. W teorii kablówka jest dla wszystkich, ale w praktyce nie każdego na nią stać - abonament jest dość wysoki i rośnie z roku na rok. Wszystko przez burmistrza, który podwyższa wciąż Johnsonowi opłaty za energię i dzierżawę biurowca w centrum. Shean Johnson to szef naszej telewizji i bardzo mądry facet. Jest hibernatusem, znaczy zamrozili go przed wojną w takiej szklanej trumnie, a po wojnie odmrozili. Szczęściarz. Przed wojną robił to samo, co robi obecnie, czyli był specem od telewizji. To dlatego odrestaurował kablówkę w mieście.

Kilka miesięcy temu jeden maniak podostał do San Francisco TV sporo amatorskich nagrań prosto z ulicy. Żadnego reżyserowania, statystów - czysty real i prawdziwi ludzie w roli głównej. Gość sfilmował sceny przemocy na ulicy, pokazał dzień z życia jednego z małych gangów murzyńskich z Taravel. Dzięki temu banda o dźwięcznej nazwie „Bonanza” stała się znana. Później mieli problemy z Milicją Miejską, ale to już inna sprawa. Goście chyba nie wiedzieli, że kamerzysta zamierzał to pokazać w kablówce. Sceny tego filmu były drastyczne i wstrząsające. Było tam nawet podpalenie przypadkowej ofiary. Wyobraź sobie, że pomysł się przyjął, ale po protestach Rady Miasta, obecnie San Francisco TV przyjmuje tylko materiały



dokumentalne spoza miasta. Jest nawet konkurs na najlepsze zdjęcia ze strzelaniny, najlepsze ujęcie wypadku samochodowego i parę innych podobnych nagród. Wszystkie nagrania muszą być jednak zrobione poza San Francisco, aby nie propagować przemocy na terenie miasta. Śmiesznie, nie? Pytasz, jaka jest nagroda? Poza pojawieniem się w naszej telewizji i sławą w mieście, autor najlepszych zdjęć dostanie nowiutką limuzynę z pełnym bakiem i eleganckie garnitury. Facet ma też na karku, charyzmę i całe mnóstwo dobrych pomysłów, a do tego zmysł do interesów. Sam przekonał wielu różnych ludzi do swojej idei i zebrał ekipę, która teraz robi program. Początki były ciężkie. Przedwojenny biurowiec stacji telewizyjnej okazał, że został doszczętnie ograbiony. Biura, studia, magazyny i skład z taśmami filmowymi były opustoszałe. Szabrownicy powyrwali nawet kable i izolację ze ścian. Shean wraz ze swoją ekipą zjeździł Stany wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu całego sprzętu potrzebnego do uruchomienia kabłówki. Zdobyli wóz transmisyjny, kamery, taśmy, kasety, mikrofony, całe tony sprzętu elektronicznego i nadajniki. Johnson wydzierżawił wspomniany przeze mnie biurowiec od Benedicta Logana i zaczął cały interes. We wszystkim sporo pomogli Elektronicy z Krzemowej Doliny i rodzina Willysów, którzy zasponsorowali całe przedsięwzięcie urzeczni wizją Johnsona. Infrastruktura telewizji kablowej w zasadzie przetrwała zagładę, więc nie było wielkich problemów z rozpowszechnieniem telewizji. Nasza jedyna sieć telewizyjna nazywa się, nie zgadniesz... San Francisco TV. Prawda, że oryginalnie? Pierwsza audycja miała miejsce dokładnie sześć lat temu, według Johnsona był to 14 maja 2051 roku. Wiesz, jego datacja się przyjęła i dziś wszyscy w mieście używają kalendarza zgodnego z datą w San Francisco TV. Nie wiem, na ile ta data jest prawdziwa - jedni mówią, że Johnson ustalił ją na podstawie danych z komory hibernacyjnej, inni uważają, że wyszał z palca. A propos, Johnson przybył do San Francisco skądś ze Wschodu. Tu, w mieście, nie mieliśmy hibernatorów. Ale wracając do telewizji - pierwsza audycja trwała 5 minut i nie była najlepszej jakości. W ogóle początki były ciężkie, jak to zwykle bywa. Dziś jednak San Francisco TV nadaje dość regularnie, zwykle ze 3 godziny dziennie, czasem dłużej. Są codzienne wiadomości, prognoza pogody, ogłoszenia drobne, a także program w którym różni ludzie opowiadają o sobie i swoim życiu. Aby dostać się do „Niezwykłych i jeszcze dziwniejszych”, trzeba mieć naprawdę ciekawą opowieść. Powiem ci, że niektórzy goście, którzy się tam pojawiają, są niezłymi popaprańcami.

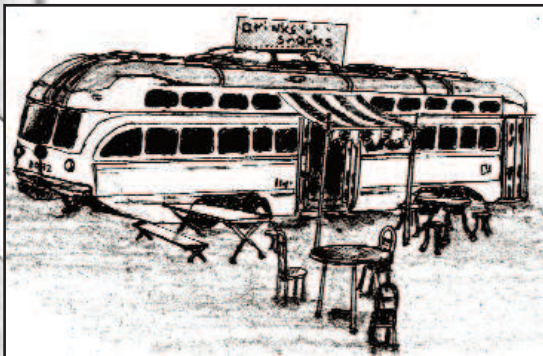
Czasem można zobaczyć tam wywiad z kimś znanym, ostatnio na przykład zaprosili Nicole Warner. Ale ty jeszcze, zdaje się, o niej nie słyszałeś. To nic, jeszcze o niej opowiem. Wiesz, w telewizji wyglądała całkiem sexy... Ale prawdziwy szal to jest, kiedy kabłówka emituje jeden z większych turniejów golfowych. Kiedy pokazują Puchar Gofa, wszyscy sąsiedzi oblegają domy posiadaczy kabłówki.

Zasadniczo nasza telewizja zajmuje się wydarzeniami i życiem miasta. Bardzo rzadko zdarza się, aby pojawił się jakiś program dotyczący reszty Stanów. Kiedyś widziałem reportaży z podróży po Teksasie. Johnson wraz z całą ekipą naprawdę załadowali sprzęt do wozu transmisyjnego, wynajęli ochronę i wraz z eskortą ruszyli w drogę. Objechali spory kawał tego całego Teksasu, ale powiem ci, że program nie cieszył się zbyt wielką popularnością. Jak dla mnie te całe rancza, krowy i kowboje są nudni. Wolę golf.

Od kilku miesięcy telewizją interesują się też ludzie z Posterunku. Nie chodzi mi tu o gości z Milipitas, tylko o Posterunek jako taki. Słyszałem, że kręcą oni filmy propagandowe w Hollywood, niedaleko Los Angeles. No i wyobraź sobie, zaczęli niedawno nam je puszczać w San Francisco. Są to przeważnie niezbyt długie nagrania, w których wychwalane są zasługi żołnierzy walczących na Froncie oraz osiągnięcia Posterunku w walce z Molochem. Jest też oczywiście ogłoszenie werbunkowe zachęcające do wstąpienia do oddziałów frontowych, a nawet prymitywna kreskówka, której bohaterami są żołnierze z Frontu. Wiesz, nawet lubię tę kreskówkę - gdy widzę maszyny Molocha, zawsze się głośno śmieję. Koleś, który je rysuje ma fajną kreskę. A tak na poważnie, to powiem ci, że wraz z wieściami o posuwaniu się Molocha na południe, ludzie coraz chętniej oglądają audycje Posterunku.

Trolleybar

Innym z pozytywnie zakręconych mieszkańców miasta jest Henry Burbank. To taki śmieszny typ człowieczka, na którego wystarczy spojrzeć i już wiesz, że masz do czynienia z niezłym luzakiem - gruby, hawajska koszula, ciemne okulary w różnych oprawkach i słomkowy kapelusz. Facet gada od rzeczy i doskonale gotuje, a do tego założył obwoźny bar w starym trolejbusie... Nie dziwnego, że wystąpił w „Niezwykłych i jeszcze dziwniejszych”. Henry pochodzi z Amarillo, ale emigrował do San Francisco dla przygody. Nie jest sępem jak inni przybysze - to pracowity i pomysłowy koleś. Odremontował i przerobił jeden ze starych trolejbusów miejskich i urządził sobie w nim knajpkę. Nie jest to zwykły bar,



lecz Trolleybar - obwoźna knajpa z własnym, rozkładanym ogródkiem piwnym. Henry zamontował silnik diesla i jeździ nią po całym mieście, średnio raz na tydzień zmieniając lokalizację, „Aby nie było nudno” - jak mówi. Może nie jest to zbyt wygodne dla klientów, ale wyobraź sobie, że Trolleybar i tak ma stałych bywalców - niektórzy przejadą pół miasta, żeby napić się Martini w trolejbusie Henry'ego. Zresztą, miły facet zawsze zostawia w starym miejscu jakąś wskazówkę, gdzie należy szukać jego knajpki. Ostatnio widziałem jego wehikuł w Broadmoor, naprzeciwko starego kina, ale nie dam głowy, że jeszcze tam jest...

Foster Gate

Większość obcych przybywa albo autostradą nr 101 z południa, albo pięćdziesiątką ze wschodu, przejeżdżając przez Livermore, Dublin i Hayward. Jedynym czynnym mostem,

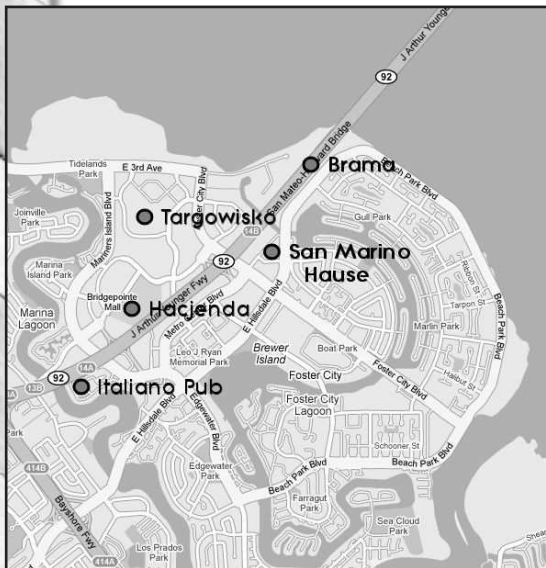
którym można wjechać do Aglomeracji od wschodu, jest Most San Mateo, prowadzący do Haywardu, po wschodniej stronie Zatoki. Wjazd do miasta jest silnie ufortyfikowany, nad drogą wzniesiono stalowe wieże obserwacyjne, umocnione workami z piaskiem, a skrzydła bramy zamontowano na lawetach wagonów kolejowych przesuwanych po krótkim odcinku specjalnie zamontowanych tutaj torów. Na wjeździe Strażnicy spiszą twoje dane, odbiorą ci za pokwitowaniem broń automatyczną i dadzą małą, czerwoną książeczkę - to spis praw, więc ją zachowaj.

Zaraz za bramą zaczyna się dzielnica Foster City, która jest jednym, wielkim targowiskiem i bazą noclegową dla przyjezdnych. Są tam trzy świetnie prosperujące motele, z których polecam ci San Marino Mouse, gdzie poza czystą pościelą dostaniesz świetne śniadanie składające się z kawy, krewetek i długich bagietek. Italiano Pub to knajpa, gdzie czatują ludzie chcący wynająć najemników, a Hacienda George'a to hotelik założony przez narwańca z Teksasu, więc spodziewaj się tam wystroju ala saloon, barmanów w kowbojskich kapeluszach i sioდეł na ścianach. Na targowisku kupisz głównie samochody, benzynę i suszone mięso. Na uwagę zasługuje puszkowany hermetycznie paprykarz w zielonych puszkach, sprzedawany przez niejakiego Sinji'ego Otohame - warto kupić tego więcej na drogę, bo te jego puszki naprawdę się nie psują, a 15 gambli za puchę dość smacznego paprykarzu to niewygórowana cena.

Jeśli nie chce ci się robić zakupów na targowisku, gdzie jest zwykle głośno i tłoczno, możesz wybrać małe sklepiki, których jest cała masa po prawej stronie, przed wyjazdem z miasta. Całe dawne osiedle domków jednorodzinnych zostało zajęte przez handlarzy. Nie zdziwi się asortymentowi - wielu przyjezdnych jest rozczerowanych, gdy nie mogą znaleźć sklepu z bronią - tymczasem w Foster City znajdziesz głównie takie kramy, jak „Toster&Toster” czy „Klunkry Ediego”, gdzie wyprzedaje się głównie sprzęt gospodarstwa domowego i inne „skarby”.

Targowisko w Sunnyvale

W dzielnicy Elektroników mieści się jedno z najbardziej znanych i najbardziej tłumnych powojennych targowisk Zachodniego Wybrzeża. Ma wiele różnych nazw. Ktoś kiedyś nazwał to miejsce E3, niby od jakichś przedwojennych międzynarodowych targów komputerowych, ale się średnio przyjęło. W końcu co kogo obchodzi przedwojenne targi międzynarodowe? Niektórzy mówią po prostu „Jarmark”, głównie przyjezdni z okolicy. My nazywamy to miejsce „sukin-market”. Czemu? Cóż, jeśli nie





masz zacięcia do handlu, cierpliwość buddysty i wykrywacza kłamstw, to zakupy tutaj mogą okazać się nie tyle irytujące, co prawdziwie wkurwiające.

Wyobraź sobie gigantyczny plac budowy zastawiony setkami straganów, stoisk, kramików, markiz, ciężarówek, taczek, wózków i milionów innych rzeczy, a po środku tego wszystkiego wybijający się w niebo wieżowiec, a raczej wielka, wielopoziomowa, stalowo-betonowa konstrukcja. Oczywiście szkielet nieukończonozonego biurowca również wypieniają kramy i stragany, a najlepszy asortyment, jak na złość, sprzedawany jest na najwyższych piętrach budynku - to dla zniechęcenia większości gapiów i drobnych klientów, którzy i tak nic nie kupują.

Wypełnij teraz ten obszar setkami ludzi różnych płci i narodowości, przekrzykującymi się wzajemnie, kłócącymi i popychającymi, oraz tonami towarów na sprzedaż. Hałas jest tam olbrzymi - widywałem już ludzi z zatyczkami w uszach, które wyjmowali wtedy, gdy chcieli dokonać już jakiejś transakcji. Wszędzie kręcą się złodzieje i inne szemrane typy, Milicja Logana bierze łapówki i przymyka oko na ich działalność, a Triada i inne gangi mają tam pełno swoich ludzi. Nie myślałem chyba, że lokalne mafie nie ciągną zysków od handlujących tu kupców? Tak, z każdej transakcji gambel czy dwa powędrują do kieszeni Pana Tsunga albo kogoś z Triady.

Na sukin-markecie kupisz WSZYSTKO, czego dusza zapagnie, no może poza granatnikami automatycznymi i czołgami. Na stoiskach zalegają komputery, telewizory, odzież, sprzęt domowy, silniki samochodowe, auta, a nawet łodzie. Dostaniesz tu narkotyki i alkohol - od charakterystycznych ludzi w zielonych płaszczach - ale żadnego jedzenia, ani nawet ryb. Rybacy nie mają tu wstępu. E3 to targowisko ze sprzętem, nie z żarciem.

Jeśli trafisz na sukin-market, możesz być pewien, że jest tu wszystko - od przrzonego bojlera, po super zaawansowany technologicznie mikro-chip do pozytronowego skanera biologicznego... Gdyby dobrze przeryć tutejsze stoiska, skompletowałbyś chyba nawet pieprzone Eniaca! Sami spece z Posterunku bywają tutaj w poszukiwaniu różnych technologicznych bajerów. W końcu handlują tu swoimi produktami niemal wszyscy Elektronicy. Procesory, tranzystory, chipy, co tylko chcesz - znajdziesz tu naprawdę wszystko. Trzeba tylko umieć szukać i mieć... cierpliwość, najlepiej buddyjską, jak już raz wspominałem. Odnalezienie konkretnej rzeczy w panującym tu tłoku i chaosie, oraz wytargowanie dogodnej ceny może trwać kilka godzin. Zwykle przyjeżdżni i tak wychodzą z Targowiska obciążeni sprzętem, który jest im zupełnie niepotrzebny, spłukani z gambli i wymęczeni.

Wchodząc na teren Targowiska lepiej od razu wynajmij tłumacza, bo dwie trzecie sprzedawców mówi po japońsku albo chińsku. Tłumacz to niewielki koszt - ledwie dziesięć gambli za godzinę - a potrafi zaoszczędzić mnóstwo czasu i nerwów.

Na obrzeżach E3 mieszczą się liczne knajpki i garkuchnie serwujące rozmaite przekąski handlującym. Moją ulubioną jest mieszcząca się w przyczepie kempingowej budka oferująca gorące sajgonki - i mam na myśli takie pierożki, a nie Azjatki, zbroczeni. Jeśli o to ci chodzi, to zresztą w pobliżu targowiska mieści się jeden z burdeli pod egidą Jakuzi - szukaj szeregu willi pomalowanych na czerwono i różowo.

To by było w zasadzie tyle o sukin-markecie, może poza ciekawostką, że tak powiem, „historyczną” - Targ mieści się przy drodze stanowej nr 82, która jest fragmentem tzw. autostrady El Camino Real. Goście, którzy pochodzą lub znają dobrze Detroit zawsze uśmiechają się, gdy to słyszą. Podobno to jakiś tamtejszy gang, nie?

Szkoła Walki Arisaka

Jest w San Bruno takie szczególne miejsce. Przy rozległym rozgałęzieniu estakady mieści się wielka budowla - przed wojną był to budynek college'u. Teraz w rozległym gmachu z czerwonej cegły mieści się szereg najprawdziwszych kuźni i szkoła wojowników nazywanych samurajami. Kojarzy się z przedwojennymi filmami o Japonii, nie? W Szkole Walki Arisaka mieszkają najlepsi szermierze w San Francisco i nie zdziwiłbym się, gdyby byli najlepsi w całych Stanach - wręcz zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Ci goście od dziecka uprawiają się w robieniu mieczem albo taką dziwną włócznią zwaną „naginata”, a często w obu tych stylach naraz. Wewnętrzny dziedziniec został przerobiony z boiska do koszykówki na plac treningowy i arenę walk. To właśnie arena walk przyciąga uwagę mieszkańców San Fran. Japońce organizują tam liczne pojedynki albo nawet całe turnieje walk. Większość z nich odbywa się na bambusowe miecze treningowe, ale zdarzają się też i pojedynki na ostrą broń, które bardzo często kończą się okaleczeniem albo śmiercią jednego z oponentów. Samuraje walczą dla sławy, dla treningu, czasem pojedynkują się na serio - aby rozstrzygnąć kłótnię. Raz do roku zaś organizowany jest wielki turniej na ostrą broń, w którym wystąpienie automatycznie czyni wojownika znaną i szanowaną osobą. Jeśli masz jaja i chcesz się sprawdzić - spróbuj się zgłosić. Sprowadza się z kliniki w Campbell najlepszych chirurgów i sprzedaje - bardzo drogo zresztą - wejściówki



dla widzów. Dostać je jest bardzo trudno i jeśli nie jesteś Japończykiem, musisz mieć naprawdę dobre znajomości, aby zobaczyć turniej. Na szczęście skończono spryciarze kręć filmy z turniejów i potem można je kupić po dość wysokich cenach. Mam dwie płyty z nagranyymi walkami, jak mnie odwiedzi, to ci pokażę - naprawdę robią wrażenie. Pamiętasz, co ci opowiadałem o umiejętnościach Japońców w walce na miecze? To dotyczyło „przeciętnych” żołnierzy Jakuzi - w odniesieniu do samurajów musisz wymnożyć to razy trzy. To jak? Może kupisz ode mnie kopię tych nagrań? Gwarantuję ci, że w barach całych Stanów będziesz zbijał siano na odpłatnych pokazach! Nawet sam burmistrz chętnie ogląda ten turniej i jakoś nie przeszkadza mu wtedy towarzystwo szefa Jakuzi, który jest zawsze goszczony z najwyższymi honorami. Zresztą, wiadomo, że Pan Tsung jest sponsorem Szkoły Walki Arisaka. Ponoć sam niegdyś ćwiczył walkę katana, co zbytnio nie dziwi, skoro co drugi Japonec w San Fran nosi przy sobie jakiś miecz.

Jeziro San Andreas

Półtorej mili na południowy wschód od Lotniska, na skraju Millbrae, rozciąga się rozległe jezioro San Andreas. Tak jak przed wojną, jest ono zamknięte dla użytku publicznego. Chociaż początkowo wielu maniaków chciało wykorzystać je do wyścigów motorówek i żaglówek, uważając, że jest bezpieczniejsze od wód Zatoki czy Oceanu, stary burmistrz postawił sprawę jasno - nie będzie żadnych sportów wodnych na jeziorze. San Andreas miało zostać zarybione i stanowić olbrzymi staw hodowlany. Gdyby plan się powiódł, może nie mielibyśmy tak poważnych problemów z żywnością w mieście. Wyobraź sobie taki gigantyczny staw rybny. Można by tam hodować miliony ryb. Jednak kilka lat temu jacyś kretyni zanieczyścili San Andreas, wlewając doń hektolitry jakiegoś toksycznego świństwa - nie wiem, czego dokładnie. Ryby wymarły, a woda do dziś jest lekko żółtawa, jak nabierzesz jej do szklanki, to doskonale to widać. Nie wiem,

kto i po co zanieczyścił jezioro, ale nie mamy teraz stawu rybnego.

Chociaż oficjalna wersja mówi, że toksyny wpuścili anarchiści albo jakiś gang (tylko po co?), to chociaż plotki po mieście, że to BBC zatruł wodę. Jak? To proste! Wystrzelili te swoje skrzynie czy pojemniki i wycelował nimi tak, aby wylądowały w jeziorze. Nie wiemy, co Sześcian potrafi wyprodukować w swych stalowych trzewiach, ale sądząc po wypuszczanych przezeń gazach bojowych, nie wydaje mi się, aby było dla niego kłopotem wytworzyć trochę toksyn do skażenia San Andreas.

Castro Street

Jesteś ze Wschodu, prawda? Z Miami? Nie? Kurczę, bo w Miami słyszałem kiedyś opowieści o wyspie rządzonej przez ród Castro. Chciałem, aby ktoś dokończył mi tę opowieść. Cóż, my w San Fran mamy tylko ulicę o nazwie Castro. Jeśli nie szukasz kłopotów, lepiej nie zapuszczaj się na Castro Street. Otoczona jest dziesiątkami zapadłych kamieniczek. Każda z nich opianowana jest albo przez jakiś mały gang lub zamieszкана przez ćpunów, albo jest kryjówką jakichś szaleńców czy żebraków.

Castro Street to bardzo osobliwe miejsce, bowiem niemal nie dochodzą tu wpływy ani Jakuzi, ani chińskich triad, a milicjanci burmistrza Logana nawet się tu nie pokazują. To wyjątkowe, że położona w centrum miasta ulica opianowana jest przez dziesiątki malutkich, niezależnych gangów, które nieustannie się zwalczają. Po ulicach prują motocykliści z żółtymi słonecznikami wytatuowanymi na łysych głowach - to Los Perpos, lepiej im nie zawadzać, bo potrącenie przez dwudziestkę motocykli nie należy do przyjemności i zwykle kończy się zgonem. Jednak nie oni są najgorsi ze wszystkich szumowin na Castro Street. Najpaskudniejszą sławą cieszy się tamtejsza speluna nazywana Cuba. Właśnie, przypomniałem sobie - ta wyspa z opowieści też się tak nazywała. Wracając do knajpy... to zatęchła dziura, gdzie prędzej oberwiesz po mordzie niż dostaniesz coś do picia. W piwnicach mają gorzelnię oraz cele więzienne - w tym lokalu

Konkurs straceńców

Most Golden Gate zawsze był ulubionym miejscem samobójców, którzy jeszcze przed wojną skakali z przęsła - 208 metrów w dół, prosto do wody, która przy tej prędkości jest twardsza od radioaktywnego bazaltu. Szaleńcy kochający adrenalinę mogą wziąć udział w specyficznym konkursie. Jeśli lubisz wyzwania, możesz spróbować pobić rekord Golden Gate, który wynosi obecnie godzinę i dwadzieścia jeden minut. Co musisz zrobić? Przejsz szybko po stalowych linach nośnych z jednego końca na drugi i z powrotem, od jednego przęsła do drugiego. Nagrodą jest tytuł Władcy Mostu i 100 gambli od niejakiego Thomasa Owena. Kilku gości już spadło, jednego zaatakowały sępy, dwóch zrzucił podmuch wiatru nad Zatoką. Jeden gość został zastrzelony przez nieznanego snajpera siedzącego po drugiej stronie Zatoki. Ogólnie konkurencja dostarcza mocnej rozrywki. Sport prawdziwych mężczyzn, choć przez rok tytuł Władcy Mostu należał do kobiety, niejakiej Francis. To jak? Starczy ci odwagi czy jesteś gorszy od baby?



obsługują niewolnicy porwani po prostu z ulicy. Szeft Cuba, niejaki Bronson, to największy sukinsyn na ulicy. Jego ulubione rozrywki to prowokowanie obcych, aby można im było nakopać. Jego „chłopcy” potrafią zmienić największego twardziela w mielonkę swoimi korbaczami domowej roboty z łańcuchów i haków samochodowych.

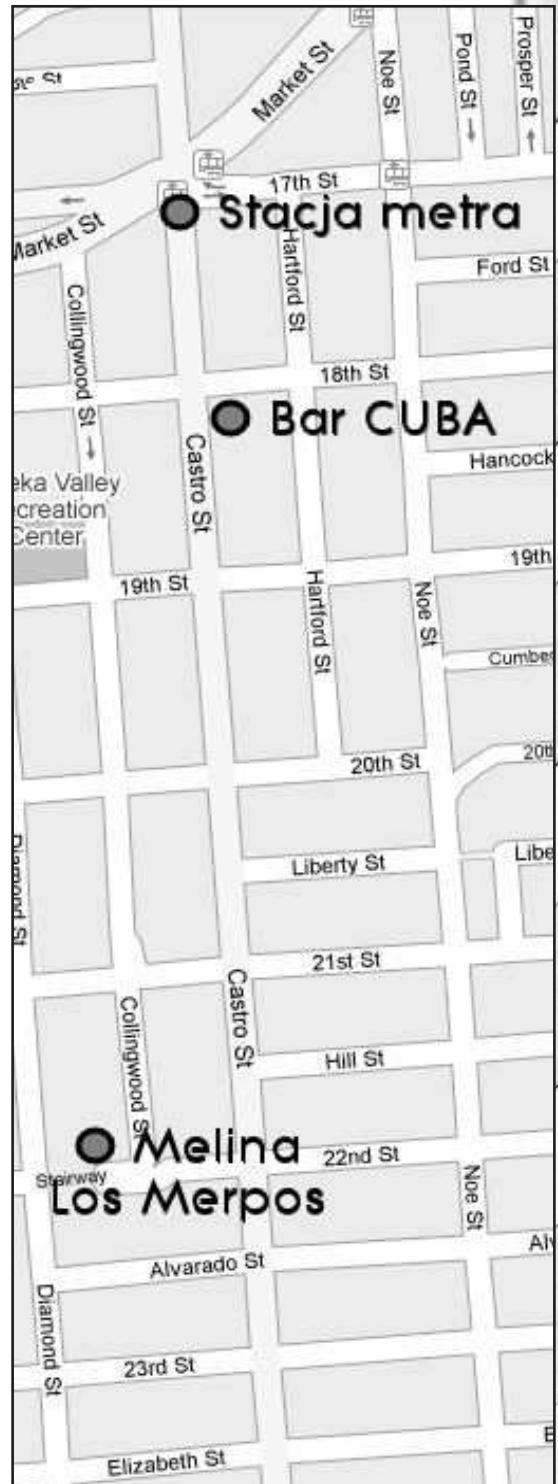
Oczywiście Castro Street ma też i dobre strony. Jest tam najłatwiej dostać różne proszki i inne świństwa - broń, panienkę do towarzystwa. Tamtejsze bandziory nie mają kłopotów z Milicją. Jakuza i inne mafie z San Fran oczywiście starają się przejąć kontrolę nad Castro Street i na pewno kiedyś podzielią między siebie tę pieprzoną ulicę. Albo ktoś zagarnie ją w całości. Wtedy skończy się samowola tamtejszych gangsterów, ale nie wiem, kiedy to się stanie. Na razie jest tam burdel większy niż gdziekolwiek indziej. Radzę ci, abys naśladował mnie i nie zapuszczał się na Castro Street, no chyba, że jesteś amatorem sportów ekstremalnych...

Banana House

No dobra, jeśli szukasz bardziej wysublimowanej formy spędzania wolnego czasu, lubisz eleganckie lokale i towarzystwo na poziomie, udaj się do najbardziej ekskluzywnego klubu w mieście. Banana House mieści się na północy San Farn, w Małej Italii. Lokal znajduje się w luksusowej willi przy Lombard Street, na jej wschodnim krańcu. Z daleka rozpoznasz to miejsce po wysokim, świecącym bananie i neonie wystającym z dachu. Nazwa klubu i jego maskotka - zielonkawy banan - to wymysł chorej wyobraźni Louisa, szefa lokalu i najlepszego miksera drinków w mieście. Facet ma nieograniczoną fantazję, talent i intuicję do sporządzania dobrych koktajli oraz niespożytą energię - sam osobiście uwija się wśród najlepszych klientów żonglując butelkami i tacami z kieliszkami.

W tle zawsze leci jakaś spokojna muzyka, często przedwojenna klasyka, choć niekiedy puszczone są mocniejsze, jazzowe kawałki. Siedzi się tu w przepastnych, skórzanych fotelach, a każdy stół jest częściowo odrodzony od reszty lokalu przez kolumny i kratki z egzotyczną roślinnością, także goście nie przeszkadzają sobie nawzajem i jest dość przytulnie.

Ale w Banana House nie siedzi się zbyt dużo. Główną atrakcją jest strzelnica i łaźnia mieszczące się w piwnicy willi. Łaźnia w Banana House to miejsce spotkań całej śmietanki spośród bogatszych mieszkańców miasta. Tutaj podpisuje się kontrakty i rozmawia o ślubach między Rodzinami. Jeśli się tam zjawisz, uważaj, aby nie narazić się nikomu





ważnemu, bo w Banana House natknąć się można na prawdziwe szczyty. Pełno jest tam ludzi Logana, natomiast jest to jedyny lokal w mieście, gdzie nie ma członków Triady czy Jakuzy - Azjaci nie mają tutaj wstępu. Na drzwiach tego nie przeczytasz, ale wytłumaczy ci to jeden z wielkich, uzbrojonych ochroniarzy. Chińczycy po prostu kilka lat temu zrobili niezły bajzel w Banana House - zdaje się, że to był chyba wyrok na zdrajcy, w każdym razie jakieś porachunki wewnątrz Triady. Skończyło się na strzelaninie i kilkunastu trupach, w tym córce Marconich. Wybuchł skandal, nawet burmistrz zareagował i od tego czasu skończono nie mają prawa zbliżać się do lokalu.

Banana House to też miejsce, gdzie spotkasz najpiękniejsze białe dziewczyny w San Francisco - „kociaki” Louisa to urocze dziewczęta, a dodam, że na piętrach lokalu są luksusowe apartamenty, gdzie możesz spędzić noc w ich miłym towarzystwie.

Oczywiście wszystko to kosztuje. Aby wybrać się do Banana House, miejscowy musiałby odłożyć zarobek z kilku miesięcy pracy - dlatego nie spotkasz tu zwykłych Elektroników czy rybaków z portu. To klub dla wybranych, zresztą najlepsi goście są przyjaciółmi Louisa. Facet jest lubiany i ma zapewnioną ochronę przez kilka Rodzin, więc nikt go nie tknie - nawet Triada respektuje zakaz wstępu Azjatów do Banana House.

Ciebie pewnie najbardziej interesuje jednak strzelnica, o której wspominałem, nie? Jeśli jesteś typowym narwańcem z pustyni, który uwielbia dźwięk świszczących kul i zapach prochu, nie zawiedziesz się. Powinieneś udać się do Banana House chociażby dlatego, że to jedyne miejsce w San Francisco, gdzie można legalnie postrzelać z broni automatycznej.

Louis nie prowadzi lokalu sam - ma przyjaciela, który jest specem od broni - Gordon by ci doskonale opowiedział wszystko. Ja wiem tyle,

że mają na strzelnicy wszelkie karabinki z rodziny M4 i M16, Rugery, strzelby gładkolufowe i różne pistolety, a furorę robi model Kałusza przerobionego w taki śmieszny sposób - to się chyba nazywa bull-pup czy jakoś tak... Nie wiem, ja się na broni nie znam, jestem normalnym facetem, a nie zawodowym żołnierzem, wiem tylko jak załadować mój rewolwer i którą stroną celować do złodzieja.

Najlepiej wybierz się do Banana House i sam się przekonaj, jak to jest na prawdziwej strzelnicy. Dla mnie i tak najlepsze w Banana House są nie jakieś tam dubeltówki, tylko znakomite drinki Louise'a i klasyczna muzyka. Powiem ci, że ludzie w mieście uwielbiają ten lokal i ty też go z pewnością pokochasz.

HiFi Klub

Niektórzy śmieją się, że nazwa tego miejsca brzmi podobnie do nazwy stolicy przedwojennego, żydowskiego państwa. Ale to czysty przypadek - po prostu właściciel tego lokalu nazywa się Fitzgerald i ma lekkiego bzika. „Powiedz 'hi' staremu Fi!” - mawia do znajomych i zawsze używa skrótu swego imienia. Stąd wziął się rebus-nazwa: „hi+Fi=HiFi”.

Wiem, trochę to wszystko walnięte, ale stary Fi nie jest do końca normalny. To jeden z licznych imigrantów, którzy wnieśli do miasta swój zapał i dzięki pracy przyczynili się do rozwoju życia w San Francisco. Takich ludzi nam potrzeba - chcących normalnie żyć, pracować, budować społeczeństwo od nowa. No, może lepiej, żeby nie wszyscy byli dokładnie tacy jak Fitzgerald - nie znieśliśmy wielu pokręconych gości nawet w tak wielkim mieście. Stary Fi i tak jest jeszcze spoko, bo ma tylko dziwne odpały w stylu rebusów i zagadek, gada do siebie i czasami nie rozumiesz, o co mu chodzi. Jest jednak mimo wszystko niegroźny, a ludzie nawet go dosyć lubią. Staruszek jest melomanem i to takim przed duże „M” - to widać i słychać, bo lubi nucić swoje ulubione piosenki. Ten facet zna chyba wszystkie przedwojenne zespoły i muzyków, ich albumy i koncerty. Nie wiem, skąd on się wziął, chyba z cholernego teleturnieju „Jaka to piosenka?” albo coś takiego. No, ale tak to jest z tymi przedwojennymi dziadkami, że każdy jest skarbnicą wiedzy na jakiś temat i wszyscy jawią się jako geniusze w swoich dziedzinach w porównaniu do nas - powojennych pokoleń.

Ale wracając do HiFi - przed wojną na rogu Anza Street i 47 Alei nie było nic ciekawego. Nagle zjawił się narażany staruszek z Milwaukee i urządził w narożnym domu sklep z płytami, połączony z klubem muzycznym, a do tego wszystko to szybko zaczęło doskonale prosperować. Okazało się, że



w sąsiedztwie, w dzielnicy Richmond, nawet po wojnie mieszka mnóstwo melomanów i sklepik starego Fi szybko stał się miejscem spotkań, dyskusji o muzyce, wymieniania się płytami i po prostu klubem, gdzie ludzie zwyczajnie słuchają muzyki.

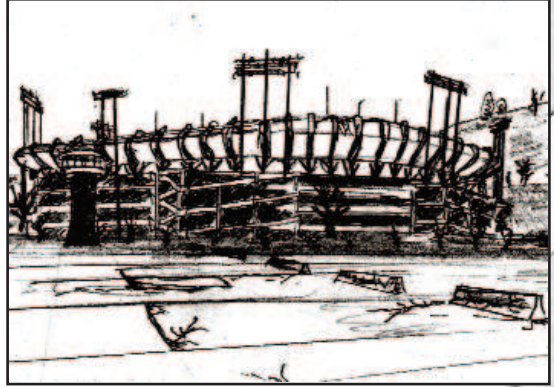
Fitzgerald ma tam muzykę wszelkiego rodzaju - od klasyki po pop z lat dwudziestych tego wieku, a więc możesz posłuchać tego, co leciało w radiach tuż przed wojną. Fi prowadzi również wypożyczalnię - ma muzykę na płytach CD i kasetach, a nawet znajdzie się u niego kilka pudeł z czarnymi krążkami - no wiesz, takimi do gramofonu... Ech, jak nie wiesz, czym jest gramofon, odwiedź Fitzgeralda, to się dowiesz. Dodam, że starszerek sprzedaje również sprzęt muzyczny - radia, wieże i osobiste odtwarzacze. Sam kupiłem sobie u niego taki malutki odtwarzacz mp3 - cudeńko mieści się w kieszeni, jest mniejsze niż baterijka i przechowuje wszystkie moje ulubione albumy Sinatry. Nie wierzysz? Też możesz mieć taki odtwarzacz - Fi ma tego pełno: duże, małe, płaskie, podłużne, z ekranikiem lub bez, do wyboru do koloru. Fajnie jest iść ulicą i słuchać sobie ze słuchawek ulubionej muzyki. Tylko uważaj, aby ktoś nie wykorzystał okazji i nie okradł cię, jak będziesz miał słuchawki w uszach - mnie tak skroili z portfela. W sumie nic tam nie miałem, poza zdjęciami kilku fajnych dziewczyn, ale czułem się chujowo.

Poza płytami i sprzętem, Fi oferuje gorącą kawę i ciasteczka pieczone przez jego córkę. Rebecca nie jest może piękna, ale bardzo miła. Fitzgerald przybył z córką aż z Milwaukee - i nie pytaj mnie, czemu przybył tutaj z tak daleka. Podobno opuścił rejon Wielkich Jezior z powodu wojny z Molochem - jak sam mówi, jego kości są już za stare na wojny i nie dziwię się: jego gnaty pamiętają wojnę w Afganistanie, gdzie Fi służył.

Golden Gate Park

Skoro już krążymy po północnej części miasta, wspomnę od razu o największym terenie zielonym w San Francisco. Przed wojną był to olbrzymi teren rekreacyjny - wiesz, ludzie z pieskami i dziećmi przechadzali się po parku, robili sobie pikniki nad jednym z licznych stawów, jeździli na rowerach i rolkach, zimą zaś dzieciaki rzucały się śnieżkami i jeździły na łyżwach.

Wraz z upadkiem bomb ludzie musieli zapomniać o sielance i pogodzić się z przykrym faktem, że każdy akr ziemi jest bezcenny - nie ma już importu taniego ryżu z Chin, ani kukurydzy z Kansas. Dlatego zamiast trawki i drzewek siejemy zboże i sadzimy warzywa - wszędzie, gdzie się da - Golden Gate Park nie



jest wyjątkiem. Co więcej, jest naszym największym obszarem uprawnym - wyobraź sobie półtora kilometra kwadratowego obsiane kapustą i kukurydzą. Jedynie na zachodnim skraju parku uchowało się niewielkie pole golfowe - ukochane mieszkalców Richmond. To oni głównie uprawiają rośliny w Golden Gate Park - choć dzielą się nim też z czarną ludnością z leżącego na południe od parku Taravel.

Wiesz, gdyby nie paskudny klimat, częste susze, zanieczyszczenie i chwasty-samosiejki oraz postępujące wyjąłowanie ziemi, być może Golden Gate Park wyżywiłby mieszkańców Richmond. Jednak kiepskie warunki uprawy i brak nawożenia sprawiają, że z roku na rok wydajność poletek jest coraz mniejsza. Rosnące tam marchewki, buraki czy inna zielenina jest ledwie dodatkiem do naszej diety. Ale zawsze lepsze to niż wpierdzielać ciągle same ryby, nie?

Monster Park

No dobra - nawet w tak cywilizowanym i spokojnym mieście, jakim jest San Fran, ludzie czasem chcą się nieco żywić, potrzebują nieco agresji i łakną adrenaliny. Nie da się żyć ciąglą pracą, a golf niektórym wydaje się mało dynamiczny - w sumie nie jest to rzeczywiście zbyt widowiskowa gra.

Dlatego ludzie grają w rugby i jest grupa wiernych kibiców, którzy przychodzą się wywrzeszczyć za cały miesiąc. Nawet przed wojną rugby było brutalną grą, zaś obecnie gramy na nieco podrasowanych zasadach - wolno znacznie więcej niż dawniej. Kopanie, taranowanie, podkładanie nóg, czasem to wszystko staje się tak chaotyczne, a nastroje na boisku tak się zaostrzają, że zawodnicy rzucają się na siebie i rozpoczyna się regularna bójka. Niekiedy do walki przyłączają się też kibice przeciwnych drużyn i wówczas stadion zamienia się w pole bitwy. Zwykle



kończy się na siniakach, stłuczeniach, czasem ktoś komuś coś złamie - ale o dziwo nikt jeszcze nie zginął podczas meczu. Ludzie bardziej chcą się wyżyc niż pozabijać wzajemnie. Po ważnym meczu bywa, że przez tydzień spotykasz na ulicy ludzi z podbitymi oczami albo temblakami.

W całym mieście mamy kilkanaście drużyn - wszystkie ważniejsze dzielnice oraz każde z miasteczek na przedmieściach ma swój zespół. Najsilniejsze drużyny to Gromy z dzielnicy Potrero i Czarni z Taravel - drużyna złożona wyłącznie z murzynów, w znacznej części członków gangów. Poza tym osobne drużyny mają Chińczycy, a nawet mniejszość japońska - jednak Azjaci są wyjątkowo kiepscy w te klocki i regularnie dostają łomot od drużyn Białasów.

Mecze Japończyków z chińską drużyną należą do rzadkich wydarzeń i oznaczają pewną rozróbę - po ostatniej bitwie na stadionie ogłoszono zakaz gry tych drużyn przeciwko sobie do odwołania. Ostatnio bowiem w ruch poszły katany i noże, a bójka mogła przerodzić się w krwawą rzeź, gdyby nie zainterweniowała Milicja.

Całe miasto wyczekuje za to meczów z drużyną z Reno - goście zarazili się od nas i przyjeżdżają niekiedy zagrać towarzyski mecz. Wówczas wszystkie dzielnice jednoczą się we wspólnym kibicowaniu „naszym”, a zawodnicy z różnych drużyn formują naszą „reprezentację”.

Rozgrywkami rugby rządzi Liga Rugby, w skład której wchodzi zapaleńcy, a szefem szefów jest Max Loose - przedwojenny zawodnik. Sport ten w ogóle zrzesza samych pasjonatów, bo zawodnicy czy trenerzy nie dostają za to kasy. Trenują i grają dla przyjemności oraz dla publiczności. To zwykli ludzie - Elektrycy, rybacy, nawet nauczyciele, którzy po pracy znajdują czas na ćwiczenie gry i raz na miesiąc chce im się zagrać mecz. Spotkania nie odbywają się z zbyt często, zaś mecz z drużyną z Reno to prawdziwa rzadkość - rzadko kiedy zagramy więcej niż raz w roku.

Wszystkie mecze odbywają się na wielkim stadionie leżącym nad brzegiem Zatoki, w pobliżu Portu Marynarki w Hunters Point. Stadion nazywał się przed wojną Monster Park, ale dziś wielu ludzi mówi po prostu Czerwony Stadion - od koloru krzesłek

na trybunach. Utrzymaniem stadionu zajmują się kibice, którzy pomagają Lidze w koszeniu trawy, naprawie krzesłek i remontach. Bez fanów rugby, rozgrywki nie byłyby możliwe.

Nie można powiedzieć, aby drużyny przetowały jakiś wysoki poziom gry - do przedwojennych zespołów się nie umywiają - ale gracze angażują się, a kibice to doceniają. A zresztą i tak najważniejsza jest adrenalina i wyczekiwanie, kiedy wybuchnie bójka.

Na razie nie zanosi się, aby Liga zmieniła się w zawodową i aby zawodnicy mieli zacząć żądać pieniędzy. Chwilowo nie ma kto finansować rozgrywek, choć słyszałem, że podobno San Francisco TV rozważało sponsorowanie gry. Na razie jednak jest to amatorska zabawa, która z profesjonalizmem rozgrywek golfa nie ma nic wspólnego - jest za to dużo akcji, zabawy, wrzeszczenia i siniaków. I o to chodzi.

5.56 mm Shop

Historia sklepiku Tony'ego, zwanego Mr. NATO, zaczyna się skromnie. Kilka lat temu młody rusznikarz wraz z bratem zajęli się ponownym napętnianiem naboju kaliber 5.56 mm i ich sprzedają. Początkowo byli detalistami, potem zaczęli robić amunicję dla Strażników i dla Milicji. Wówczas mieli spory warsztat w dzielnicy Ingleside. Interes kręcił się raczej przeciętnie, choć zamówienia kręcił burmistrza na amunicję były dość niewielkie - za to regularne i pewne. Tak poza tym, to, jak się domyślasz, w mieście takim jak San Francisco nie było zbyt wielkiego popytu na naboje 5.56 mm - zwłaszcza, że nie wolno ludziom posiadać broni automatycznej.

Przez pewien czas Tony sprzedawał nadprodukcję, której nie odbierali Strażnicy, na stoisiku w Sukin-Markecie, potem próbował handlować nabojami przy Foster Gate, ale szło to słabo i był nawet bliski zamknięcia warsztatu. Na szczęście dla niego, nie zdążył podjąć tej decyzji, bo gdy kilka lat temu w Milipitas rozłożył się obóz Posterunku, nagle pojawił się rynek zbytu dla amunicji Tony'ego - Front. Dział zaopatrzony w Milipitas szukał sprzętu, który można by wysłać na północ, w tym też i amunicji. Wtedy Tony spadł im z nieba, a oni jemu - przepisał naboje US Army był tym, czego żołnierze walczący z Molochem potrzebują w nieograniczonych ilościach.

Warsztat Tony'ego nieograniczonej mocy produkcyjnej nie miał, musiał więc z bratem szybko zatrudnić więcej osób i rozbudować zakład - wkrótce do garażu dobudowali długi barak i znacznie zwiększyli produkcję. Jednak to także nie wystarczyło - Posterunek potrzebuje czegoś więcej, niż niewielką skrzynię naboju tygodniowo. Tym razem Tony poszedł na całość i przeniósł produkcję do pustego

Amunicja od Tony'ego NATO

Naboje zakupione w 5.56 mm Shop spełniają wymagania reguły specjalnej Dobra amunicja, ale ze względu na sposób produkcji pocisków, naboje te mają 1 PP mniej od normalnych i nie dają bonusu do obrażeń. Na stare zasady mają 1 PP i zadają obrażenia Lekkie. 1 sztuka 5.56x45 mm kosztuje tutaj 2 gamble.



magazynu w pobliżu Foster Gate. Dziś ma tam sporą halę produkcyjną, gdzie dwunastu ludzi pracuje w systemie trójzmianowym. Produkcja jest już niemal masowa - codziennie z fabryczki wywozi się kilka metalowych skrzynek z nabojami. Obecnie jedynym ograniczeniem może być zaopatrzenie w surówce na proch strzelniczy i materiały na splotki. Pociski załoga Tony'ego toczy na tokarkach, a każdy nabój jest numerowany, amunicja przeznaczona dla Posterunku ma specjalne oznaczenie na łusce.

Obecnie szykują się kolejne zmiany w interesie. Posterunek potrzebuje granatów 40 mm do granatników podwieszanych, a także innego osprzętu do M16 - szyn montażowych, przezroczystych magazynków. Tony zamierza rozszerzyć asortyment o te rzeczy. Prawdopodobnie będzie musiał otworzyć drugą halę, bo w obecnej nie zmieści nowej linii produkcyjnej. Jeśli tak się stanie, gość będzie miał największy zakład w San Francisco - będzie musiał zatrudnić kilkanaście nowych osób. Zastanawiam się, czy nie powinien wówczas przemianować swego zakładu na 5.56 mm Faktory, bo określenie „sklep” będzie trochę niestosowne.

Oczywiście detaliczną sprzedaż Tony też prowadzi - jego naboje są dość dobrej jakości, nie są zawodne, choć pociski robione na tokarce nie dorównują tym przedwojennym. Główna zaletą jego amunicji jest niska cena.

San Rafael

Zdaje się, że co nieco już ci o tym wspominałem. W zasadzie chodzi nie tylko o samo San Rafael, ale o wszystkie miejscowości leżące na północ od Golden Gate - Sausalito, Reed, Larkspur, Fairfax i wiele innych.

Kwestia jest prosta - na niektóre z nich spadły bomby, reszta spłonęła w pożarach, a ludzi wykończyło w kilka dni promieniowanie. Do dziś spora część San Rafael to radioaktywne gruzowisko - pełne stopionego piasku, promieniotwórczego żwiru i pyłu. Gdzie indziej całe osiedla są spopielone do gołej ziemi albo też widać tylko resztki niedopalonych fundamentów.

Generalnie północne przedmieścia to niezbyt przyjazne tereny - na wycieczki krajoznawcze nada je się nie lepiej niż zgłiszcza

Denver. No, ale rodzaj ludzki jest niepohamowany w swej chciwości, tudzież ciekawości, a ta ostatnia potrafi zaprowadzić nawet do takiego piekła jak ruiny San Rafael. I rzeczywiście - kilka lat po wojnie rabusie ruszyli na eksplorację północnego wybrzeża Zatoki. Wielu umierało potem na choroby popromienne, niektórzy ginęli w walących się budynkach - ogólnie ich szeregi uległy silnej i szybkiej „selekcji naturalnej”, he he.

Ale to wszystko to nic, bo poza tym zaczęły się niewyjaśnione zaginięcia. Po prostu facet szedł na poszukiwania gambli i już nie wracał. Jeśli ktoś go szukał, to nic nie znajdował. Ludzie zaczęli plotkować, pojawiły się różne mity i jak to zwykle bywa, wielu chciało dowiedzieć się, co dzieje się ze znikającymi ludźmi. W pewnym momencie wielu rabusiów zaczęło opowiadać niestworzone historie o rzekomo zamieszkujących ruiny obcych istotach. Co zabawne, każdy miał swoją wersję i jego tajemnicze bestie wyglądały inaczej. Mimo że to wszystko wyglądało jak zwykłe bajki, coraz więcej ludzi rezygnowało z przeszukiwania San Rafael.

W pewnym momencie Logan wkurzył się i wysłał na północ liczny, uzbrojony patrol Milicji. I wtedy się zaczęło. Milicjanci wrócili następnego dnia nad ranem - poranieni, przeżeni, często bez broni i sprzętu, no i oczywiście w mocno przerezedzonym składzie. Opowiedzieli niestworzone historie o humanoidalnych potworach mordujących wszystko, co się rusza i nadnaturalnie odpornych na postrzały. Jakoś nie dawałem wiary tym opowiastkom, ale z drugiej strony podobno ocalałi Milicjanci mieli obłęd w oczach - coś musiało ich wykurzyć z San Rafael i z pewnością nie byli to ludzie ani raczej dzikie psy. Hieny to nasza codzienność i nie boimy się ich - gangi nawet robią sobie zabawy w strzelanie do hien. Tymczasem coś, na co natknęli się ludzie Logana, musiało być naprawdę przerażające.

No, chyba że to jedna wielka ściema, aby odstraszyć ludzi przed eksploracją północy. Taka wersja też krąży po knajpach. Pytanie tylko, co Logan chciały tak bardzo ukryć przed mieszkańcami, że warto byłoby się tak postrach? Być może na zgłiszczach San Rafael faktycznie coś zmutowało i przekształciło się w cholernie krwiożerczy gatunek. Co by to mogło być? Lis? Borsuk? Niedźwiedzie? Nie bardzo, skoro podobno potwory mają być

(...) Dziś rano wysłano mnie na poszukiwanie bandaży i lekarstw. Szukając jakiejś nie splądrowanej jeszcze apteki, natrafiłem na przedziwną sytuację. Na skrzyżowaniu Market Street i 14 Ulicy spotkałem grupę ludzi z szuflami i workami ubranych w ochronne kombinezony. Wszyscy oni wnosili radioaktywny pył z obrębę wejścia do podziemnej stacji metra. Gdy zbliżyłem się, aby z nimi porozmawiać, w rękach jednego z nich zobaczyłem lufę karabinu wymierzoną we mnie, a reszta szybko wycofała się pod ziemię. Facet z karabinem wyrył nożem w asfalcie jakiś napis i też się ukrył. Gdy podszedłem, przeczytałem „KEEP OUT”. Oddaliłem się szybko. Nie wiem, czemu ci tajemniczy mieszkańcy metra tak się izolują, choć nawet mi opuściliśmy już schrony. (...)



humanoidalne... Może to jakiś morderczy gatunek zmutowanych małp? Nie wiem i nie chcę się dowiedzieć.

Jest za to ktoś, kto bardzo chce - mowa tu oczywiście o Posterunku. Pułkownik Verosse wysłał za most patrole na rekonesans po ruinach. Każdego miesiąca posuwają się dalej na północ, robiąc mapy i rysując schematy budynków, które ocalały. Szukają nieznaną grozy, czającej się rzekomo w zgłiszczach i jak na razie nie odkryli nic ciekawego. Żaden żołnierz nie został porwany ani pożarty. Może tajemnicze bestie wiedzą, że Posterunkowcy są lepiej uzbrojeni oraz wyszkoleni i przyjęły taktykę wycofywania się? Może wciągają nas w zasadzkę? Cholera wie, co i czy coś tam jest. Osobiście wolałbym, aby ludzie Posterunku przeszli całe San Rafael wzdłuż i wszerz, a na końcu z uśmiechem oznajmili, że miasto jest absolutnie puste.

Więzienie

Słuchałeś, jak opowiadałem o pożarze na Alcatraz i likwidacji tamtejszego więzienia? Był to pretekst dla Benedicta Logana, aby zmienić sposób działania systemu więznictwa w mieście, że tak to zabawnie określe. Gdyby tylko Rada Miasta nie zgłaszała sprzeciwów, Logan najchętniej pewnie topiłby wszystkich przestępców od razu w Zatoce albo zrzucał z jakiegoś wieżowca. Jednak od lat trwa walka między radnymi a burmistrzem o to, czy należy trzymać się praw człowieka i utrzymywać normalne więzienie.

Logan, choć jest tyranem i ma skłonności do okrucieństwa, podaje jeden ważny i sensowny argument przeciwko utrzymywaniu więźniów - trzeba ich mianowicie karmić, a nawet bez tego miasto cierpi na okresowe

problemy z żywnością. Dlaczego więc mamy karmić bandytów, skoro sami mamy mało żarcia? I tu się z burmistrzem w pełni zgadzam. Jednak radni, a w szczególności John Murdock, sprzeciwiają się stosowaniu kary śmierci wobec wszystkich przestępców.

Jak na razie sprawa utknęła w martwym punkcie, a problem więźniów rozwiązywany jest pośrednio. Wyobraź sobie, że więzienie urządziliśmy w San Rafael - niedaleko skażonej strefy, w zrujnowanym budynku szkoły. Słyszałem, że zaspawano tam blachami okna i wstawiono kraty w drzwiach. Strażników podobno nie ma zbyt wielu, bo więźniowie nie ryzykują ucieczki przez radioaktywne zgłiszcza miasta i spotkania z mieszkającymi tam rzekomo bestiami.

Wracając do kwestii utrzymania więźniów, Logan postąpił w cwany sposób - uznał, że każdy zwolennik przestrzegania praw człowieka, może ofiarować datki na wyżywienie przestępców. Uderzył w swoich przeciwników ich własną bronią i powiem ci coś ciekawego. Otóż jakoś najzagorzalsi zwolennicy utrzymywania przy życiu bandytów nie są zbyt chętni wysyłać im paczek z jedzeniem na swój koszt. John Murdock nie dał ani gamba na zbórkę organizowaną co tydzień przez Ojca Kornelio i jego misję. To chrześcijański kościół najaktywniej wspomaga utrzymanie więzienia, wysyłając tam wodę, jedzenie, a nawet lekarstwa. Ale warunki w San Rafael i tak są strasznie ciężkie. Żaden z osadzonych tam więźniów nie dożył końca swojego wyroku i zwolnienia. Zbiórki żywności nie wystarczają, aby zaspokoić głód wszystkich bandytów, więźniowie nie są w żaden sposób chronieni przed promieniowaniem, nie wychodzą na świeże powietrze. Nie chciałbym zostać tam zamknięty.

Samolot Czerwonego Krzyża

Jednym z nielicznych samolotów, które wzbijają się w powietrze i jedynym chyba, który robi to dość często jest mały, turbopropylowy samolotek o charakterystycznym, szaro-białym kadłubie z dużym, czerwonym znakiem krzyża - takim, jaki przed wojną widywano na pojazdach i namiotach misji humanitarnych, jeśli wiesz o co mi chodzi... Czerwony krzyż znajduje się na kadłubie nie bez powodu - maszyna lata na zlecenie Kliniki w Campbell i posiada na pokładzie kompletną aparaturę medyczną i sprzęt ratowniczy - wiesz, kproplówki, respiratory, elektrowstrząsy i inne takie horrorystyczne urządzenia. Każdy, kogo stać na płaconie Klinice 100 gambli miesięcznie na swoje „ubezpieczenie”, może liczyć na pomoc medyczną w dowolnym miejscu w promieniu 500 kilometrów od San Francisco. Wykupienie ubezpieczenia wymaga wydania na początku 150 gambli jako opłaty za „dzierżawę” przenośnego radia służącego do wzywania lotniczej karetki. Jeśli gdzieś odniesiesz obrażenia groźne dla życia, wzywasz samolot z czerwonym krzyżem i zawożą cię do Campbell. Na lotnisku czeka zawsze gotowa karetka, którą przewiozą cię z Lotniska do szpitala. Musisz się liczyć z tym, że możesz mieć pecha i trafić na moment, kiedy samolot ratowniczy będzie niedostępny - nie z powodu innych ubezpieczonych, ale przez Posterunek. Wojskowi docenili zalety możliwości szybkiego transportu rannych do szpitala i zorientowali się, że klinika w Campbell daje szansę na uratowanie życia rannych, którzy w polowych szpitalach na Froncie na pewno by umarli. Jeśli latająca karetka transportuje właśnie jakiegoś oficera z Frontu, nie pomoże ci. Jeśli chcesz, aby samolot przyleciał do ciebie, nie możesz zgubić plastikowej karty z numerem kontraktu ubezpieczeniowego, bo bez jego podania, dyspozytor nie wyśle do ciebie ekipy ratunkowej. Na pokładzie samolotu, oprócz dwóch pilotów, jest lekarz, pielęgniarka i ochroniarz.



LOTNISKO



Przed wojną było gigantycznym, międzynarodowym portem lotniczym, bramą Kalifornii. Miliony pasażerów przylatywały i odlatywały wielkimi odrzutowcami z długich pasów startowych, leżących na sztucznej wyspie rozciągającej się na wodach Zatoki. Dziś wyspa po części osunęła się do wody, zaś reszta to rozległe gruzowisko. O dziwo, port lotniczy nie ucierpiał wcale podczas Wojny. Z tego co wiem, krótko przed uderzeniem w 2020 roku miał tam miejsce olbrzymi zamach terrorystyczny. Wiesz, o czym mówię? Tak, z pewnością to byli Arabowie - oni byli winni całego zła w przedwojennym świecie, jeśli wierzyć nagraniom dzienników telewizyjnych z tamtych czasów. Atak bomby zniszczył supernowoczesny terminal lotniska i zabił tysiące osób, ale nie zrównał lotniska z ziemią. Potem przyszała wojna i niebo opustoszało z odrzutowych Boeingów, a z lotnisk zniknęli pasażerowie. Zniszczenia dopełniło wielkie trzęsienie ziemi w 28 roku - wówczas cała wschodnia część lotniska znajdująca się na sztucznym nasypie, osunęła się w wody Zatoki. Dziś pasy startowe urywają się nagle w połowie, nikiąc w falach. Nigdy żaden odrzutowy Jumbo-jet już stąd nie odleci, zresztą nie miałyby jaki. Także wielkie hangary runęły podczas trzęsienia, niszcząc aluminiowe kadłuby i łamiąc skrzydła pasażerskim Boeingom. Wiele takich maszyn stoi nadal z kadłubami przynięcionymi dźwigarami zadaszeń hangarów, a ich dzioby i ogony wystają spośród gruzów. Ocalał tylko jeden z przedwojennych gigantów - odrzutowiec American Airlines, stojący od początku wojny na świeżym powietrzu, na zachodnim krańcu lotniska i od trzydziestu lat obłazi z białej farby.

Poza nim, jest trochę małych jednostek, drobnych samolocików silnikowych, takich, jakimi przed wojną latali bogacze i biznesmeni na spotkania finansowe. O ile pomysł uruchomienia odrzutowca zakrawa o szaleństwo, biorąc pod uwagę ile paliwa ta bestia zużywa, to mniejsze samolociki czasami nawet są wykorzystywane - głównie przez kurierów i miejscowych bogaczy, którzy lubią przelecieć się

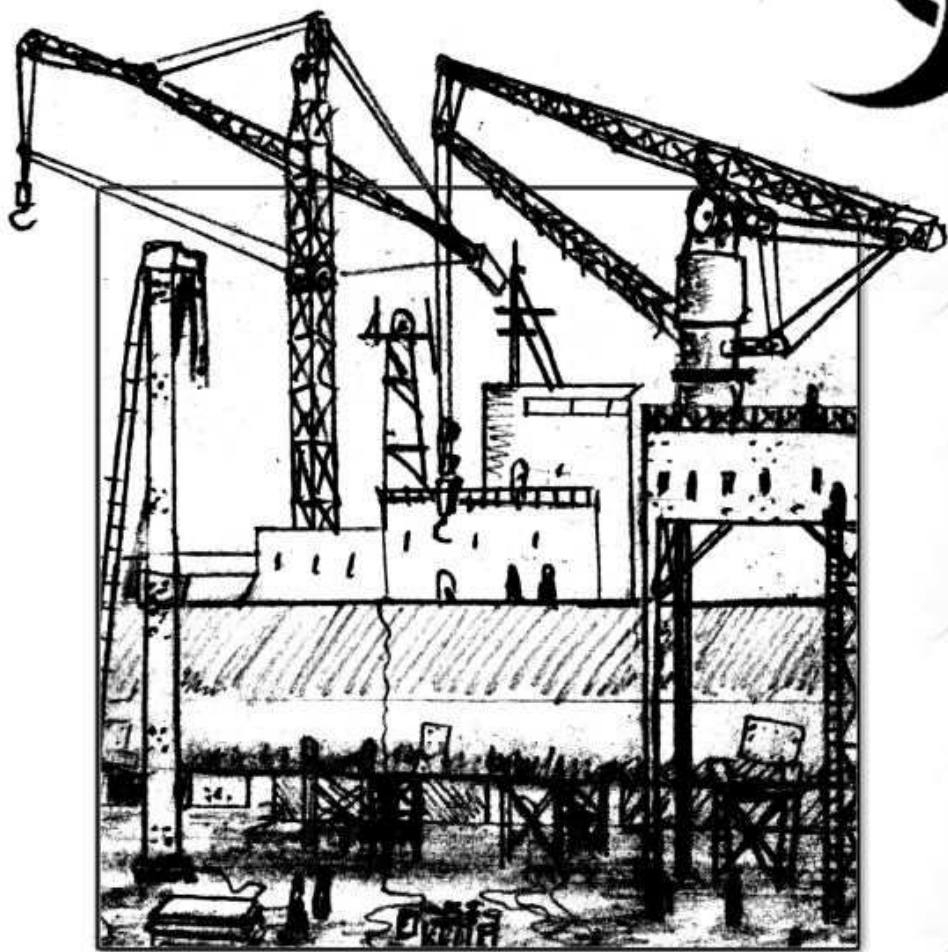
do Vegas albo Los Angeles. Jednak i to rzadko się zdarza - paliwo lotnicze jest mimo wszystko szalenie drogie i trudne do zdobycia. Tak więc lotnisko jest martwe, ciche i puste.. A przyszłość jawi się w czarnych barwach, bo przedwojenni piloci umierają - nawet w tym roku zmarł na raka jeden z nich. Mamy już tylko czterech ludzi zdolnych pilotować samoloty, a nie ma środków na finansowanie szkolenia nowych - nikt nie wyda tysięcy gambli na paliwo dla pilota uczącego się latać, który na dodatek może rozbić maszynę. A takiego marnotrawstwa nie tolerujemy nawet my.

Osiedle Airbus

Lotnisko wbrew pozorom nie jest takie znowu wymarłe. To, że nie startuje z niego zbyt wiele maszyn nie znaczy, że nic się tu nie dzieje. Stojący na zachodnim skraju portu lotniczego gigantyczny odrzutowiec pasażerski jest miejscem zamieszkania wielu ludzi - tak, dobrze słyszałeś, ludzie w nim normalnie mieszkają. Od dawna wiadomo, że samolot nigdy już nie wzbije się w powietrze, czemu więc go nie zagospodarować? Wielu ludzi urządziło sobie zwykłe mieszkania, odgradzając część kabiny pasażerskiej ściankami. Najstarszym mieszkańcem Osiedla jest pewien krzepki staruszek o imieniu Marwey. Gość zamieszkuje przedział załogi i kabinę pilotów, z której może kontrolować samolot. Jest swoistym „zarządcą” Osiedla, a ludzie go szanują i respektują. Poza zwykłymi mieszkaniami, urządzono w Airbusie kawiarnię „W chmurach” i salon gry ze stolami do bilardu oraz pokera prowadzony przez dwie siostry - Annie i Marie Fernandez. Wśród mieszkańców Osiedla Airbus jest wielu ludzi podających się za pasażerów przedwojennego lotniska - większość z nich to obokrajowcy, którzy w dniu wybuchu wojny wylądowali właśnie w San Francisco i już nigdy nie powrócili do rodzinnych krajów. Sam Marwey jest zaś emerytowanym pilotem.

Szpanerzy z Golden Gate

Jeśli przyjechałeś z Detroit, założę się, że chciałbyś zaszpanować przed miejscowymi swoją wypasioną brykę lub pościgać się z miejscowymi asami? Cóż, San Francisco to nie tor wyścigowy, ani jeden wielki warsztat samochodowy, w przeciwnieństwie do Detroit, ale mamy tu też domorosłych rajdowców i fanów złotych rur wydechowych. Ja nazywam ich Szpanerami. Szpanerzy zjeżdżają się co jakiś czas swymi wypuowanymi bryczkami na Most Golden Gate i tam urządzają sobie swoisty piknik połączony z puszczaniem muzyki z ukrytych w bagażnikach głośników i paleniem gumy. Raz jest zjazd właścicieli lowriderów, kiedy indziej spotykają się fani Jeepów, a w zeszłym tygodniu widziałem, jak jacyś psychole ścigali się podrasowanymi ciężarówkami. Słyszałem, że organizują na moście różne wyścigi. Zwykle ścigają się dwójkami, niekiedy dozwolone jest taranowanie przeciwnika, ale raczej rzadko. Tutejsze wyścigi to raczej okazja do pokazania szpanerskich felg albo nowego lakieru. Jeśli zainteresują cię Szpanerzy z Golden Gate, wybierz się do warsztatu Andrew Novaka - tam zawsze ktoś wie, kiedy odbędzie się kolejna impreza i jaki będzie jej profil.



WYBRZEŻE I PORT



Wzdłuż wschodniego krańca San Francisco, nad wodami zatoki, ciągną się nabrzeża portowe. Znajdziesz tam setki pomostów z przycumowanymi zdezelowanymi wrakami jachtów i motorówek. Rabusie rozkradli z nich co się dało, łącznie z tapicerką z kanap na jachtach. Niektóre posłużyły na części dla kutrów rybackich i barek transportowych.

Oprócz ziomowiska znajdziesz tu jednak kilkanaście sprawnych kutrów rybackich o tak poetyckich imionach jak Blue Marry, Sweet Pussy czy The Flower. Nie wiem, co odbiło tym rybakom, ale nieważne. W każdym razie na kutrach można znaleźć słabo płatną, ale zawsze, pracę. Kurde, nie wybrzydźaj - co trzeci obywatel San Francisco tu pracuje!

Poza statkami rybackimi cumują tu trzy duże promy kursujące aż do Los Angeles i całe mnóstwo mniejszych stateczków. Rejs do Miasta Aniołów jest bardzo drogi, więc normalnie zaproponowałbym ci raczej kupić sobie brykę i pojechać samemu. Jest jednak mały szkopuł - aby dojechać od północy do Los Angeles samochodem, trzeba przekroczyć silnie skażone radioaktywnie tereny na północ od miasta. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że jest to ryzykowne. Dlatego większość decyduje się jednak wydać tę setkę gambli za miejscówkę na jednym ze statków.

Budynek Bosmanatu, czyli szefostwa portu, leży przy 3 Ulicy, tuż przy porcie. Nabrzeżem rządzi niejaki Li Tsu, Chińczyk. Gość jest cwany jak cholera, pazerny i trudno się z nim dogadać, bo nawija w jakiejś dziwnej odmianie chińskiego. Zresztą, połowa ludzi, których tam spotkasz, to skośnoocy. Wiadomo, że chińska Triada trzyma łapy na porcie, zresztą patroli Milicji jest tam jakby mniej niż w centrum, a te, które są, też dziwnym zbiegiem okoliczności składają się z Żółtków, którzy, paradując ze swoimi Steyrami, jasno dają do zrozumienia, do kogo należy port.

Żółta Łajba

W rejs do Los Angeles wybrać się możesz jednym z trzech statków. Największym z nich jest wielki i długi jak jasna cholera prom przedwojenny o łuszczącym się w blado-żółtej farby kadłubie. Ponoć dawniej burty miały złoty kolor, ale musiało to być bardzo dawno temu, bo teraz barwa ta przypomina mętną, jajeczną. Cóż, prom nie jest zbyt piękny, ale ma zasadniczą zaletę - jest względnie sprawny i bardzo ładowny. Wszystkie kajuty dla pasażerów mają bardzo prosty, wręcz spartański wystrój, a stalowe ramy obskur-

nych prycz są szybko wnoszone w razie potrzeby, gdy ktoś kupi miejscówkę. Normalnie kajuty służą jako prz. działy ładowni i wozí się w nich towary. Załoga składa się wyłącznie z Chińczyków, z którymi ni. jak nie idzie się dogadać inaczej niż na migi, ale na szczęście mają tam tłumacza, który zna angielski i trochę mówi po hiszpańsku. Niestety, koleś często jest pijany. Japończycy nie mają wstępu na pokład promu, co wyraźnie widać - na burcie widnieje duża, przekreślona flaga Japonii i napis po chińsku - nie znam tych ich znaczków, ale słyszałem, że jest strasznie obraźliwy. Gdyby ktoś miał wątpliwości, czy ludzie z kraju kwitnącej wiśni są tu niemile widziani, jeden z pięciu ochroniarzy wytłumaczy mu to pięścią. Zakapiory to naprawdę wielkie bydlaki, a ich szefem jest jednooki chińczyk imieniem Wan Tsu, noszący na ramieniu pozłacanego Ingrama z tłumikiem. Jeśli masz zamiar popłynąć do Miasta Aniołów, zgłoś się właśnie do Wan Tsu - on sprzedaje bilety, że tak powiem. Rejs jest stosunkowo tani, w porównaniu do innych łajb w porcie, bo kosztuje jedynie 100 gambli. Jednak w cenie biletu nie ma żadnego żarcia ani wody, które musisz skombinować sobie sam, a warunki na statku pozostawiają wiele do życzenia. Zaletą Żółtej Łajby jest to, że kapitan Liu to doświadczony marynarz, a prom pływa najkrótszą trasą, prosto do celu.

USS Enterprise

Właściciel jedyne. podusz. kowca w San Francisco chyba naoglądał się za dużo serialu Star Trek albo też jest miłośnikiem przedwojennej marynarki wojennej. W każdym razie, facet, skądinąd noszący szpanerskie miano Johna Wayne'a, co podpowiada, że koleś jest fanem kina przedwojennego i wskazuje na wersję ze Star Trekiem na bardziej prawdopodobną, zamontował na swoim wehikule sporo broni i reklamuje się jako najsolidniejszy i najbezpieczniejszy przewoźnik zachodniego wybrzeża. Jeśli wziąć pod uwagę ilość łuf na pokładzie i ich kaliber, faktycznie, należy mu przyznać, że ma najlepiej uzbrojony statek w San Francisco. Jego chłopaki zresztą potrafią strzelać i lubią swoją robotę. Inna sprawa, że ich „zajęcia” stawiają załogę USS Enterprise w innym świetle. Mając tak solidne uzbrojenie i dobrych strzelców na pokładzie, Wayne doszedł do wniosku, że stać go na znacznie więcej niż tylko obronę przed piratami i szabrownikami. Sam często napada na łajby rabusiów. Robi to nawet podczas zwykłych

(...) Widziałem grzyb atomowy i przeżyłem? Jak mam tłumaczyć fakt, że jeszcze żyję? Głupi fart? Los na loterii? Dar od Boga? Przekleństwo? Znak od Demiurga? Jestem kimś wyjątkowym czy przeklętym? Otrzymałem nagrodę czy też karę za grzechy? (...)



rejsów handlowych i pasażerskich, nie przejmując się zbyt losem przewożonych klientów. Bardziej dba, aby piraci nie podziurawili mu beczek z ropą, które namiętnie przywozi z Los Angeles. Jeśli podczas rejsu nadarzy się okazja i załoga USS Enterprise rzuci się w pościg za jakimś pirackim statkiem, masz dwa wyjścia - schować się w kajucie i nie wychylać albo wziąć udział w zabawie. Każda lufa jest przydatna i Wayne wynagradza w łupach tych pasażerów, którzy pomogą mu w abordażu na łajbę piratów. Jeśli będziesz miał szczęście, lupy mogą nie tylko zrekompenzować ci cenę biletu, ale możesz nawet zarobić na takim rejsie. Wayne ostatnimi czasy rozzuchwalił się do tego stopnia, że w okresach, kiedy nie ma zbyt wielu klientów z towarami ani pasażerów, wypływa z portu specjalnie na polowanie. Zabiera na pokład każdego chętnego najemnika, których nie brakuje, bo z takich wyprawa można przywieźć sporo wartościowych łupów, które idą do podziału między załogę i innych uczestników wypadu. Niektóre wyprawy kończą się co prawda kilkutygodniowym postojem poduszkiwca w stoczni, gdzie naprawiane są uszkodzenia, ale nie zniechęca to Johna i jego korsarzy. Jeśli lubisz adrenalinę, nie zależy ci na czasie podróży i nie masz nikogo ani nic cennego do przewiezienia, zabierz się z Johnem Wayneem w rejs, a czeka cię na pewno wycieczka pełna emocji. Przygotuj sobie 120 gambli na bilet, karabin, dużo amunicji, kaftan ratunkowy albo ponton i baw się dobrze.

Admirał Grant

Za cholereę nie wiem, czy legenda o admirałce Grancie i jego hakerach jest prawdziwa, ale mit ten żyje w porcie i wciąż jest jedną z najchętniej opowiadanych historyjek wojennych we wszystkich tawernach. Admirał Grant był rzekomo dowódcą jednego z lotniskowców stacjonujących w porcie marynarki w Concord. Opowieść głosi, że gdy Moloch zaczął swą akcję dywersyjną w systemach obrony narodowej, dzielny admirał wraz z wojskowymi technikami komputerowymi zdławił bunt maszyn na lotniskowcu USS Carl Vinson i wydał rozkaz pełnej mobilizacji załogi. Gdy Moloch przejmował kontrolę nad Bazą Marynarki Wojennej w Concord, admirał Grant nakazał zniszczenie bazy. Jednak gdy USS Carl Vinson usiłował wypłynąć portu, a piloci szykowali swe samoloty do startu, w lotniskowiec uderzył taktyczny pocisk atomowy. Tutaj puenta opowieści różni się zależnie od tego, kto ci ją opowiada. Jedni mówią, że głowicę odpalił Moloch, inni, że Rosjanie, a niektórzy twierdzą, że była to rakietka posłana przez Arabów. W każdym razie admirał Grant i jego załoga

przeszli do historii jako bohaterowie, a jedyny statek rejsowy znajdujący się pod kontrolą Benedicta Logana nosi właśnie imię Granta. Nie jest to oczywiście lotniskowiec, a zwykły wycieczkowiec z szerokim pokładem z przodu i wysokim mostkiem kapitańskim. Jest to najelgantszy ze statków pływających do Los Angeles i oferuje najbardziej komfortowe warunki rejsu. W kajutach są wygodne łóżka z czystą pościelą, stoliki i szafeczki na rzeczy osobiste, a w przedziale restauracyjnym znajduje się stół bilardowy i radio. Niestety, w parze z wygodą idzie cena biletu, która wynosi 200 gambli, ale obejmuje dwa posiłki dziennie.

Złomowane okręty

Oprócz wraków rodzimych łajb, w porcie zacumowane są stare szkielety przerdzewiałych, rozebranych niemal do gołego kadłuba okrętów rejsowych, którymi Japończycy dobili do brzegów Stanów. Statki zostały szybko rozkradzione i do dziś wiele sztyldów w mieście, jakie spotkasz, przypomina białe kadłuby japońskich okrętów. W jednej z knajpek portowych, na środku sali stoi śruba okrętowa i zgadnij, skąd się tam wzięła? Większość cennych części wymontowali ze statków sami Japońcy zaraz po lądowaniu, a to, co zostało, szybko wykradli rabusie i ludzie Li Tsu.

Mimo że ze statków pozostały już tylko fragmenty kadłubów, nadal unoszą się na wodzie. Nikt nie zabroni ci wyciąć sobie kawała nierdzewnej burty albo przeryć pokład w poszukiwaniu resztek kabli, choć raczej nie dowiesz już we wrakach niczego cennego.

Straż Wybrzeża

Wody Zatoki patrolują liczne jednostki Straży Wybrzeża. Rozpoznasz je po białych kadłubach z czerwonym malowaniem i napisach „Coast Guard” na burtach. Straż Wybrzeża to część Milicji Benedicta Logana. Strażnicy patrolują głównie Zatokę San Francisco, szczególnie skupiając się na ochronie Bay Bridge i Treasure Island.

Oprócz diabelnie szybkich, ale małych łodzi motorowych, mają trzy kutry średniej wielkości i jedną naprawdę dużą łajbę pełniącą rolę centrum dowodzenia Straży. Ten 100 metrowy statek ma nawet małe lądowisko dla śmigłowca patrolowego, ale takowego Straży niestety brakuje. Pewnie gdy rozpoczęła się wojna, ktoś wsiadł do niego i spieprzył, byle dalej od miasta.

Jednostki Coast Guard czasem wyprawiają się dalej, poza wody Zatoki, i ruszają wzdłuż wybrzeża, patrolując okolice miasta, głównie



w stronę Los Angeles. Płynąc na południe zahaczają o leżące nad oceanem miejsciny w poszukiwaniu piratów.

Straż Wybrzeża jest dobrze uzbrojona, a na polowania zabierają dodatkowo Milicjantów z miasta. Zwykle ich wyprawy nie przynoszą efektów - piraci mieszkający na wybrzeżu nauczyli się maskować swoje łajby, a ponieważ pływają często na przerzabianych kutrach rybackich, nie jest to trudne.

Czasami jednak Coast Guard natknie się na poszukujących ofiar rabusiów i wówczas ściga ich aż do skutku. Znajomy kumpla jest Milicjantem i zabrał mnie kiedyś na taki pościg. Mówię ci - robi wrażenie. Szybkie motorówki okrążają wolne łajby piratów, a potem strażnicy robią abordaż. Jeśli piraci stawiają opór, zostają rozstrzelani z pokładowych kaemów i działek. Kutry albo są rekwirowane, albo zatopiane na miejscu. Wszystko dzieje się szybko, sprawnie i legalnie. W końcu na zachodnim wybrzeżu prawo stanowi Benedict Logan.

Poławiacze Pereł

Oprócz rybaków w porcie kręcą się faceci w kombinezonach ochronnych, maskach przeciwgazowych i pletwonurkowie. Faceci ci zwani są Poławiaczami Pereł i trudnią się bardzo dochodowym, ale niebezpiecznym zajęciem eksploracji głębin Zatoki San Francisco. Na wiosłowych łodziach piaskodennych wpływają na zagrożone, pełne wraków wody Zatoki i szukają cennych skarbów zatopionych pod wodą. Przeszukują port w Richmond, Oakland i Alamedzie oraz tamtejszą Bazę Wojskową.

Niektórzy zapuszczają się jeszcze dalej, do zatoki Suisan i wylawiają sprzęt wojskowy z Bazy Marynarki Wojennej w Concord. Znaleźć tam można wszystko - od śruby okrętowej, po wojskowy radar wysokiej mocy. Plotki mówią, że Poławiacze Pereł widzieli tam atomowe okręty podwodne, ale nie wiedzą jak się do nich dostać.

Jeśli szukasz szybkiego zarobku i nie dbasz o zdrowie, zaciągnij się do nich. Z pewnością zarobisz na noc w Banana House, tylko musisz najpierw kupić pełno środków do odkażania, bo napromieniowanych tam nie wpuszczają...

Statki-trupiarnie

Kilka statków japońskich nie zostało wpuszczonych do Zatoki ze względu na wysoki poziom skażenia samych okrętów i stan ich pasażerów. Choć pozostali Japończycy walczyli o litość dla swoich pobratymców, George Logan nie wypuścił na ląd kilkuset przybyszów, którzy

przez tydzień dogorywali na pokładach statków „Okinawa” i „Jashima”. Dwa radioaktywne wraki do dziś stoją na kotwicach kilka mil od wybrzeża. Jak dobrze popatrzyysz, zobaczysz je ze szczytu jednego ze wzgórz, na których rozciąga się San Francisco. Dla Japończyków statki to pomnik męczeństwa ich braci, upamiętniający ciężki okres migracji. Dla nas to kupa złomu, którego nie ma, jak się pozbyć, bo nikt nie zbliżył się do skażonych okrętów. Wśród rybaków i kapitanów statków krąży legenda o rzekomych światłach i postaciach widywanych na pokładach martwych okrętów. Ludzie opowiadają o duchach zmarłych, które nawiedzają wraki, ale to rzecz jasna bajki, jakich wiele wśród przesądnych azjatów.

Stocznia Marynarki Wojennej

W mieście mamy niemal wszystko: samochody, sklepy, kina, prąd, nawet lotnisko i stocznia marynarki wojennej. Jest to chyba jedyny obiekt wojskowy w okolicy San Francisco, który przetrwał uderzenie atomowe prawie nietknięty. Nie rób wielkich oczu - wiem, że to wydaje się niemożliwe, ale to prawda, mamy w mieście prawdziwą, przedwojenną stocznia i do tego jest niemal sprawna. Niemal, bo bez wielkich ilości energii nie uruchomisz tych bydlaków w stoczni - mówię o gigantycznych dźwigach, suwnicach i innym inżynierskim badziewiu. Kiedyś jakiś spec mówił mi, że do uruchomienia tego potrzeba jakichś tam „gigawatów”, ale za cholerę nie wiem co to jest i gdzie to znaleźć.

Słyszałem, że stocznia została wyposażona dopiero na krótko przed wybuchem wojny, bowiem wcześniej teren należał do Agencji Atomistyki. Podobno niektóre fragmenty stoczni są skażone w wyniku jakichś przedwojennych eksperymentów, ale czy to ma jakieś znaczenie, skoro obecnie cały kraj jest skażony?

W każdym razie stocznia funkcjonuje i dokonuje się tu remontów kutrów rybackich, nielicznych promów i innych łajb, jakie mamy w San Fran.

Najciekawsze jednak jest to, że mamy tutaj niemal kompletny statek wojenny, niszczyciel bodajże, który niestety nie został ukończony przed zagładą. Nazywa się DDG-100 George W. Bush i nie jest to zbyt wielki statek, ale jak na dzisiejsze czasy to i tak gigantyczne bydlę. Słyszałem, że może odpalać rakiety powietrze-powietrze, ma działa, wyrzutnie torped i ma możliwość transportu śmigłowca bojowego. Szkoda, że żadnego nie mamy. Od lat trwa żmudny proces remontu i wykończenia statku prowadzony przez ludz burmistrza. Nie wiem, po cholerę mu taki statek, ale jeśli go uruchomi, to będzie niepodzielnie panował na zachodnim wybrzeżu - rozpieprzy w drobny



mak piratów i może nawet rozwali BBC. Co to BBC? Kurczę, tyle ci jeszcze muszę wyjaśnić. Spokojnie, dowiesz się co to jest. Ale wracając do niszczyciela - nie sądzę, aby szybko wypłynął w swój dziewiczy rejs. Brakuje silników i wielu innych elementów, a nie podejrzewam, aby łatwo je było odnaleźć.

Stary, jeśli znajdziesz gdzieś silnik LM2500 GE Marine Gas Turbine, to Benedict Logan zapłaci ci za niego każdą cenę.

Z tego, co słyszałem, to Rada Miasta toczy spory między sobą o to, jak powinno się wykorzystać niszczyciela, kiedy już zostanie uruchomiony, ale jak znam życie, to Benedict Logan i tak ich nie posłucha i sam zadecyduje do czego ma on służyć.

Alcatraz

Przed wojną na wyspie było więzienie o zaostrozonym rygorze i wielkiej sławie. Do dziś lubię oglądać przedwojenny film Ucieczka z Alcatraz. Jak do mnie wpadniesz ze skrzynką piwa, to możemy obejrzeć. Potem więzienie zamknięto i urządzono w nim muzeum.

Trudno powiedzieć co działo się w Alcatraz podczas zagłady, ale ludzie George'a Logana dopłynawszy na wyspę odnaleźli tylko nieco trupów. Po wojnie Alcatraz przywrócono jego historyczną funkcję i za czasów pierwszego burmistrza zsyłano tam przestępców. Więźniowie pracowali na własne utrzymanie i czuwała nad nimi Straż Wybrzeża wraz z Milicją.

Parę lat temu, już po śmierci starego Logana, w Alcatraz wybuchł pożar i więzienie zamknięto. Jednak nie otwarto tym razem muzeum. Alcatraz jako miejsce odizolowane i dobrze obronne znakomicie nadało się

chińskiej Triadzie na bazę produkcyjną narkotyków. Rządzi nią jeden z bossów, Cheng, o którym już ci opowiadałem. Co noc między portem, a wyspą krążą ciche łodzie wiosłowe. Straż Wybrzeża znajdująca się w rękach Benedicta Logana stara się tropić przemytników, ale wydaje się, że to tylko pozorne działania. Zresztą, krążą plotki, że większość towaru przemycana jest pod wodą przez nurków. Wyspa jest co prawda ufortyfikowana i na pewno dobrze obsadzona uzbrojonymi ludźmi Triady, ale wątpię, aby Milicja Miejska nie dała rady zdobyć Alcatraz i zakończyć działalność tamtejszej fabryczki narkotyków. Jednak mimo głoszonej w propagandzie walki z przestępczością, Logan jakoś nie podejmuje zdecydowanych kroków. Czyżby bał się Chińczyków? Niektórzy twierdzą, że burmistrz pobiera jakiś haracz od produkcji narkotyków i dlatego nie jest mu na rękę jej zakończyć. Nie wiem, to całkiem możliwe.

BBC

Ze co? Nie, stary, nie mamy tutaj stacji radiowej. Ze niby przed wojną taka istniała? Możliwe, ale BBC to skrót od Big Black Cube, czyli nazwy gigantycznego obiektu wielkości, bo ja wiem... nie mam pojęcia, co może być takie duże. Może fabryka? W każdym razie na południu Zatoki San Francisco w wodzie tkwi olbrzymi betonowo-stalowy sześciąt wystający wysoko ponad powierzchnię i powiem ci, że na 100% nie było go tam przed Apokalipsą - nie ma go na przedwojennych zdjęciach miasta i zatoki. Gdyby coś takiego istniało wcześniej, wiedzielibyśmy co to do cholery jest, nie? Tymczasem nie mamy pojęcia.



Ten dziwny obiekt leży sobie w Zatoce chyba od samej Apokalipsy. Jego widok budzi grozę i, patrząc na niego, masz odczucie niesamowitej obcości. Wystarczy rzut oka, aby zrozumieć, że na pewno nie skonstruował go żaden człowiek - ludzie nie budują psychodelicznych konstrukcji o surrealistycznym wyglądzie i niewiadomej funkcji na środku zatok - to po prostu nie ma sensu. A w pozornym braku celu tkwi cała tajemnica Sześcianu. Jedni nazywają go BBC, inni Sześcian czy Kostka, niektórzy mówią o nim Machina, a jeszcze inni Konstruktor - nazw jest wiele, co jedna to dziwniejsza i żadna nie tłumaczy, czym Sześcian jest.

Wbrew nazwie, nie jest do końca sześcianiem - ma nieregularny kształt, wiele wypustek, dobudówek - jeśli można to tak nazwać - wystaje z niego mnóstwo rur, przewodów, kabli i innych, bliżej nieokreślonych rzeczy. A niektóre z nich wymierzone są złowieszczo w stronę miasta. Niektóre elementy otrzymały nawet swoją nazwę i tak - wielki, kulisty obiekt z czarnego metalu wystający ze szczytu konstrukcji zyskał miano „oka”, szczeliny w jednej ze ścian to „skrzela”, a liczne wypustki nazywane są „mackami” lub „ręskami”. Co do wielu rur wystających

z korpusu BBC nie mamy pewności, czy są to kominy czy też lufy, chyba że regularnie dymią. Wszystko to nadaje BBC jakiegoś biologicznego wymiaru, sprawia, że ludzie postrzegają go jako coś nie do końca mechanicznego - po części jako istotę żywą. Czaisz ten motyw? Mieszkańcy miasta wierzą, że w wodach zatoki przebywa mechaniczna istota o cechach biologicznych! Jeśli się nad tym zastanowisz, może wydać się to przerażającą perspektywą. Pojawiają się pytania w stylu „A co, jeśli to naprawdę ma komponenty biologiczne?”, „A jeżeli to żyje?”. Fundamentalne pytanie „Co to jest?” wydaje się równie banalne w tym świetle, co nieodgadnione. Ludzie obserwujący Sześcian mówią, że wydaje się on oddychać i zmieniać. Całe bechery BBC zamknięte są w pancernej obudowie pospawanej z setek, tysięcy różnych blach i elementów. Wygląda to trochę, jakby Sześcian powstał ze złomu. Dziwne, nie?

Wbrew nazwie, Sześcian nie jest cały czarny - barwa ta pojawia się na wielu jego częściach, ciemne są też liczne dymy i opary przez niego produkowane, ale chaotyczny, zdawałoby się, dobór materiałów pod budowę, wyklucza jednolity kolor i kształt budowli. Obserwujący go ludzie mówią, że BBC rośnie, że powiększa się i ulega zmianom. Jeśli to prawda, to ciekawe, skąd bierze budulec? Wytapia z dna Zatoki? Sam sobie wytapia stal? Z czego? Kolejne pytania bez odpowiedzi.

Ludzie nie są pewni, czy BBC pojawił się w San Francisco zaraz po uderzeniu czy też później. Pewne jest tylko, że pierwszy raz w Księdze Dni Apokalipsy pojawia się wzmianka o Sześcianie w 5 lat po zagładzie. Ale kroniki to tylko papier, posłuchaj ciekawszych rzeczy. Stary, ten pieprzony betonowy Sześcian jest tak wielki, że widać go z obydwu brzegów Zatoki. No, może samego BBC nie bardzo, ale smog i mgły go otaczające na pewno. Ludzie od zawsze podejrzewali, że to Sześcian wytwarza gęste dymy zasnuwające południową część Zatoki San Fran. Czasem jest ich tak wiele, że docierają aż do Mostu Umocnionego pomiędzy Sunnyvale i Fremont. Większość się go boi, wszyscy woleliby, aby go nie było i nikt nie wie jak go usunąć. Wiesz, prawdopodobnie to ten cholerny Sześcian zatruił wody Zatoki i teraz nie pływają w niej żadne ryby - rybacy muszą wypływać na Pacyfik, aby coś złowić. Pewne jest, że opary unoszące się wokół BBC też są trujące.

WYBIERASZ SIĘ W PODRÓŻ? NIE MASZ LODÓWKI? ODCIĘLI CI PRAĐ, A ZAMRAŻARKA NIE DZIAŁA? SZCZURY DOBIERAJĄ SIĘ DO TWOJEJ SPIŻARNI? NIE ŁAM SIĘ! KUP KONSERWY RYBNE PAKOWANE W SZCZELNE PUSZKI! HERMETYCZNE OPAKOWANIE UCHRONI TWOJE JEDZENIE PRZED ZEPSUCIEM I SZCZURAMI! SINJI OTOHAMA ZAPRASZA DO SKLEPU Z KONSERWAMI W FOSTER CITY. TYLKO TERAZ PROMOCJA - DO 5 PUSZEK DODAJĘ 1 GRATIS! NIE PRZEGAP OKAZJI!



Jedno jest zastanawiające - od czasu, kiedy w San Francisco leży ten tajemniczy Sześcian, dzieją się niedobre rzeczy. Niektórzy opowiadają, że choć w jego pobliżu nie ma ryb, to pływają w wodzie inne, dziwne stworzenia. Krążą pogłoski o zaginięciu rybaków czy łowców pereł, którzy się tam rzekomo zapuścili. Ale to nie wszystko. Od kilku lat zyskaliśmy niemal pewność, że Sześcian jest zagrożeniem. Co jakiś czas, gdy wiatr wieje od wschodu w stronę San Fran, BBC zaczyna produkować duże ilości jakichś gazów bojowych. Wówczas ludzie z Posterunku wartującego na Moście Umocnionym włączają syreny alarmowe i mieszkańcy całej Aglomeracji rzucają się do masek przeciwgazowych i kombinezonów. Oglądałem przedwojenne filmy propagandowe i powiem ci, że nasze alarmy wyglądają trochę jak przedwojenne ćwiczenia ewakuacji ludności. Tylko u nas nikt nigdzie się nie chowa - i tak wszyscy wiedzą, że nie ma na to czasu. BBC wypuszcza swoje gazy bojowe, potem wiatr zmienia kierunek

i wszystko się kończy. Wiesz, co jest najgorsze? Że Sześcian stał się tak agresywny dopiero po tym, jak w Milipitas Posterunkowcy założyli swój obóz. Nie wiem, co o tym sądzić, ale wygląda to tak, jakbyśmy sprowokowali BBC. Wszyscy teraz uważają, że Sześcian to twór Molocha, a Posterunek jest o tym święcie przekonany. To bardzo prawdopodobne.

Takich dziwnych szczegółów jest więcej. Jeszcze przed zjawieniem się Posterunkowców na ulicach miasta lądowały dziwne obiekty, które wyglądały jakby spadły z nieba. Dawniej nie wiedzieliśmy, że to BBC je nam wystrzeliwał. Ludzie znajdowali na ulicach zgrzewki wody mineralnej, paczki, pakunki konserw, worki ze zbożem, lekarstwa, ubrania. A wszystko w eleganckich, stalowych skrzyniach wyposażonych nawet w spadochrony. Stąd ludzie początkowo myśleli, że to jakaś pomoc humanitarna. Spekulowano nawet, czy to Rząd USA znów działa lub może to ratunek z Europy. Czerwony Krzyż ani siły ONZ się jednak nie zjawily. Tymczasem zgodnie

12.01.2021 - Skończyliśmy chowanie zmarłych. Nadal trwa praca przy odgruzowywaniu ulic i usuwaniu szkła zalegającego w całym mieście.

20.01.2021 - Nowy przywódca, ten Logan, szef przedwojennej policji, rozkazał przekształcać parki miejskie w ogrody warzywne. To dobra idea, choć wątpię, aby rozwiązała problem niedoboru żywności. Dopóki ludzie będą wzbraniałi się wypływać na połowy, będziemy głodni.

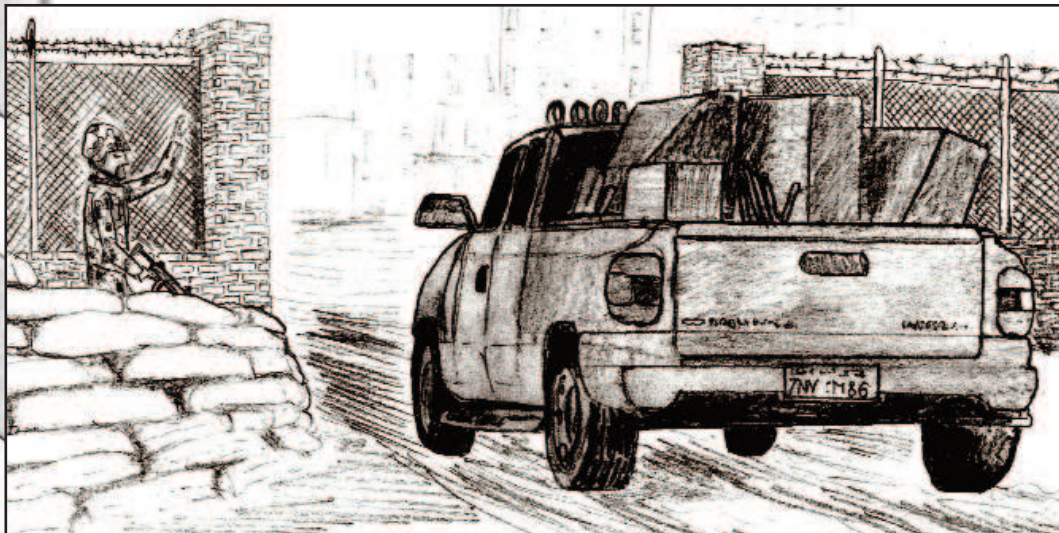
21.01.2021 - Pojawiają się liczni uciekinierzy i przybywają do miasta, nieraz całymi rodzinami. Poza San Francisco ponoć panuje jeszcze gorszy chaos, małe miasteczka terroryzowane są przez gangi przestępcze.

22.01.2021 - Chodzą pogłoski, że wojna się wcale nie skończyła. Podobno ktoś zaatakował nasz kraj. Tylko co za sens atakować nuklearnie pustynie i zgruzowane miasta?

23.01.2021 - Ktoś twierdzi, że agresorem jest armia rosyjska. To by miało sens, bo to Rosjanie zrzucili na nas najwięcej bomb.

24.01.2021 - Ktoś inny opowiedział mi, że wróg nadciąga od północy, z Kanady. Wydaje się to bez sensu. Dlaczego Rosjanie mieliby uderzyć przez Kanadę?

28.01.2021 - Dałem sobie spokój z polityką i postanowiłem sprzedać resztę konserw, które odziedziczyłem po moim poprzedniku. Bardziej potrzebuję teraz leków dla brata. Cena puszki z mięsem osiągnęła zawrotną wysokość 500 dolarów, a i tak niektórzy już nie placą zielonymi, tylko różnymi przedmiotami.

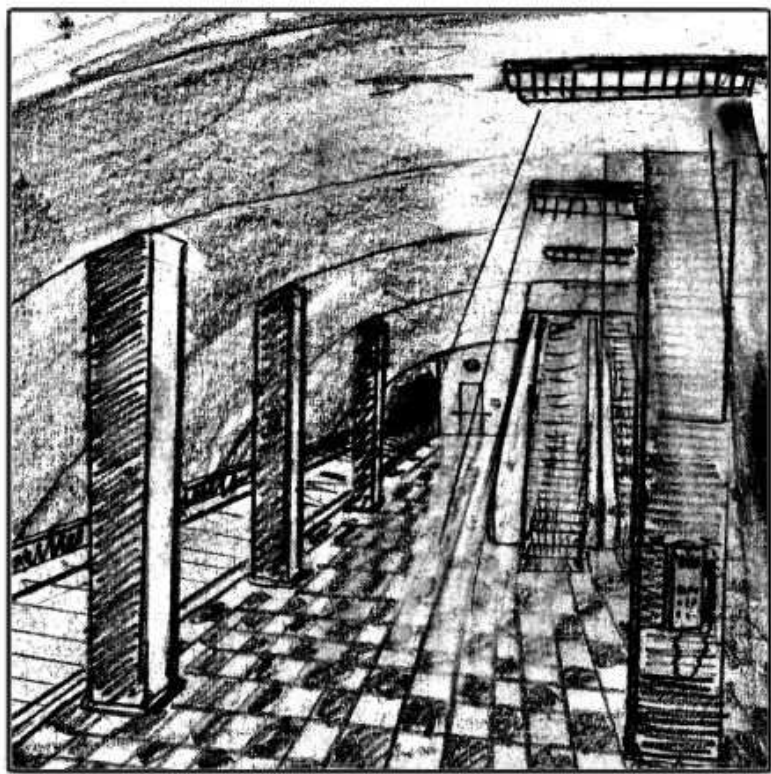


z maksymą „Znalezione nie kradzione” znalazcy, uważając się za szczęściarzy, natychmiast zabierali te „podarunki od losu”. Zwykle w ciągu kilku godzin umierali, zależy na czym polegała niespodzianka ukryta w tych „prezentach”. Czasem woda była zatruta, niekiedy w paczce była bomba. Po pewnym czasie ludzie zorientowali się, żeby nie tykać znajdujących w różnych miejscach dziwnych rzeczy.

Dopiero potem zjawił się Posterunek. Wyobraź sobie, że ci faceci bardzo zainteresowali się Sześcianem - zaczęli go obserwować, mierzyć, badać ultradźwiękami, cokolwiek to jest, a nawet zaczęli go filmować. Umocnili i ufortyfikowali most między Sunnyvale a Fremont - stamtąd dzień i noc monitorują działalność BBC. Wiesz, mają nawet takie sprytne kamery rejestrujące obraz w ciemności. I wiesz co? Oni pierwsi nagrali, jak BBC wystrzeliwuje w stronę miasta te pakunki, o których ci opowiadałem. Mają to wszystko na filmach. Teraz jest pewność, skąd się brały. Dziś już nikt nie zbiera prezentów od Wujka Sześciana - ludzie Posterunku, zwani przez mieszkańców zbieraczami, przeszukują ulice i zabierają skrzynie. Podobno wywożą je w jakieś bezpieczne miejsce i tam składują. Pytasz, czemu ich nie zniszczą? Widzisz, są bystrzejści od ciebie i wiedzą, że w tych skrzyniach może być wszystko - od ładunków wybuchowych, po broń biologiczną i dlatego lepiej ich nie ruszać. Nikt nie wie, gdzie je składują i lepiej, aby tak pozostało.

BBC chyba się uczy, musi nas też jakoś obserwować, bo zrzutów jest coraz mniej. Skubaniec jakby wie, że już nie dajemy się nabrać. W zamian zaczął wypuszczać swoje gazy bojowe także wtedy, gdy wiatr wieje

na wschód w stronę Milipitas, gdzie stacjonuje Posterunek. Sześcian jest cwany i nie wiadomo, czy poprzestanie na niewinnych zaczepkach. Ciekawe, jaką sztuczkę teraz wymyśli, nie? Niektórzy sądzą, że wewnątrz znajduje się wielka fabryka, w której powstają roboty bojowe Molocha. Inni sądzą, że w betonowej konstrukcji kryje się wylęgarnia mutantów, a jeszcze inni mówią, że obie te rzeczy na raz. Bez przesady, BBC nie jest chyba wystarczająco wielki, ale kto wie? Posterunek nie uspokaja mieszkańców, wręcz przeciwnie - ustawili na Moście Umocnionym stanowiska CKM-ów, miotacze ognia i małokalibrowe działa. Ponoć most jest też zaminowany - na wypadek, gdyby coś chciało popłynąć na północ zatoki, zostanie on wysadzony, aby zagrodzić drogę. Jak dla mnie, jeśli BBC jest faktycznie inteligentny - a ludzie tak sądzą - to Most Umocniony będzie jego pierwszym celem. Pod naciskiem Posterunku ostatnimi czasy ludzie Jakuzy przewieźli pięć swoich dział nad wybrzeże Zatoki San Francisco i wyceLOWALI w kierunku BBC. To zabawne, że Japończycy tak bardzo boją się inwazji z Pacyfiku, a tymczasem za sąsiada mają wielki, czarny, mechaniczny Sześcian będący prawdopodobnie tworem Molocha, nie? Ale żarty żartami, a tymczasem BBC może niespodziewanie zakończyć istnienie San Francisco. Ludzie trochę zbyt do niego przywykli i gdyby nie Posterunek, to zupełnie stracilibyśmy czujność. Nie wiem, co Sześcian planuje i czy w ogóle coś planuje, nie wiem też jak działa, ani skąd się wziął, prawdę mówiąc, to niemal nic nie wiem, ale jednego jestem pewien: gdy BBC zaatakuje nie chce być w San Francisco ani w jego pobliżu.



PODZIEMIA



Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo rozwinięta była przed wojną komunikacja miejska. Żeby jedno miasto potrzebowało naraz autobusów, tramwajów, trolejbusów i jeszcze do tego metra i taksówek! Musiały jeździć nimi miliony ludzi - dziś rdzewiejące wraki autobusów, zdemolowane przystanki i dziesiątki mil tuneli metra przypominają nam, jak zaludnione było niegdyś San Francisco.

Obecnie korzystamy tylko z tramwajów linowych jeżdżących w centrum. Pozostałe formy komunikacji miejskiej umarły wraz z końcem dostaw prądu z gigantycznej, amerykańskiej sieci energetycznej. Stacje, torowiska i tunele miejskiego metra jednak przetrwały. Nie wiem czemu nad wejściami do jednych stacji widnieją litery BART, a nad innymi MUNI, może dwie firmy transportowe konkurowały w San Francisco, ale mimo to ich sieci są połączone.

Pod całym centrum miasta, biegną tunele metra. Wiem o tym wiele, bo niegdyś przyjąłem zlecenie na przeszukanie ich i przy okazji sporządzenie dokumentacji na ten temat. Podobała mi się ta praca - robota była od Rady Miasta i dostałem ludzi do dyspozycji, różnych speców od górnictwa, inżynierów, nawet motorniczego tramwaju, a do tego dwóch Milicjantów do ochrony. W takim zespole ruszyliśmy na eksplorację tunelów metra, których mamy w całej Aglomeracji ponad 30 mil, a to tylko mały wycinek całej sieci metra, które w wielu miejscach wyjeżdża na powierzchnię, a nawet biegnie na stalowych estakadach ponad dachami domów. Zwidzialiśmy wszystkie stacje, a każda z ponad czterdziestu jest inna.

Większość służy okolicznym mieszkańcom za kawiarnie, schronienia, domy czy bazy, a w jednej jest nawet manufaktura produkująca drewniane skrzynie na potrzeby kurierów i transportu towarowego.

Jednak znacznie ciekawsze jest, że podczas moich wędrówek śladami podziemnych kolei spotkałem mnóstwo zakręconych ludzi i usłyszałem ciekawą historię metra w mieście. W 2020 roku, gdy na wschodni brzeg Zatoki

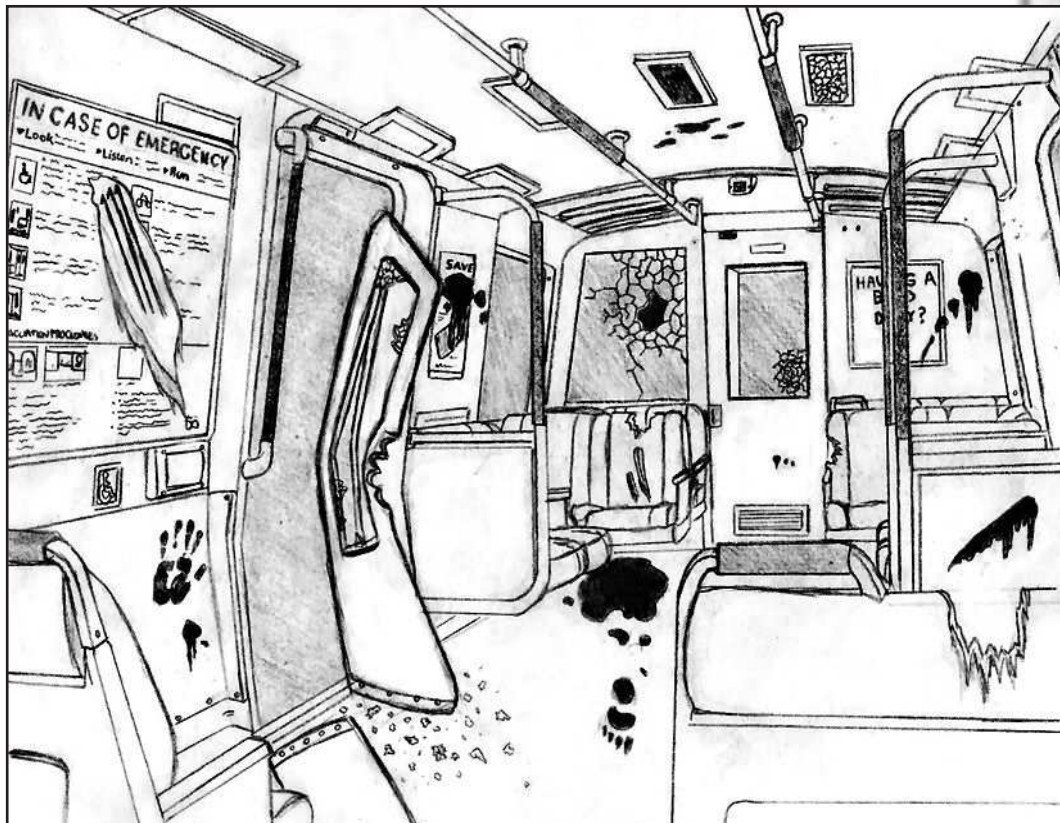
spadały bomby, całe masy spanikowanych ludzi schroniły się w podziemnych stacjach, a jeszcze inni znajdowali się wówczas w wagonach kolejki, gdzieś jadąc. Gdy w jednej chwili w całym mieście padł system energetyczny, wagoniki metra zatrzymały się, niekiedy stając w środku wielomilowych tuneli, głęboko pod ulicami miasta. Ponieważ NA-AD zadziałał, wielu w przeciągu godzin czy dni wyszło na zewnątrz, ale niektórzy, bojąc się radioaktywnego opadu, pozostali w tunelach. Część zamieszkała na stacjach, inni urządzili sobie legowiska w stojących wagonach metra. Niektóre schrony przeciwatomowe miały zresztą wejścia właśnie na stacjach BART. Były tam również liczne schrony przeciwlotnicze, a ich magazyny były dobrze wyposażone - pełne wody, żywności i baterii do latarek. Idealne miejsce, aby przeczekać najgorszy dla powierzchni okres. Wielu ludzi zamieszkało w tunelach metra całymi miesiącami, z nudów zwiędzali je, grupy z różnych stacji spotykały się i wymieniały informacjami czy plotkami. Jak to wśród ludzi bywa, pojawili się też cwaniacy i przestępcy, którzy skorzystali z sytuacji. Często uzbrojeni ludzie zajmowali magazyny schronów przeciwlotniczych i stawali się władcami tamtejszych zapasów, sprzedając jedzenie i wodę innym mieszkańcom tuneli. Kilku z nich żyje do dziś i nadal korzysta z wówczas zdobytych gambli. To w metrze ludzie pierwsi porzucili przedwojenne dolary, zrozumiałwszy, że stracili one swoją wartość. Właśnie mieszkańcy BART przyczynili się potem do rozpowszechnienia i utrwalenia barteru w mieście. Wielu ludzi, którzy nie zmieścili się do schronów i podczas uderzenia pozostali na powierzchni, kupowało sobie możliwość schronienia się w tunelach za jedzenie i wodę.

Usłyszałem też historię o tym, jak w Dzielnicy Richmond wściekli ludzie z powierzchni z pomocą uzbrojonej policji wdarli się siłą na stację Forest Hill, nie godząc się na płacenie za schronienie. Ludzie z Forest Hill wspominali ze zgrozą, jak napastnicy z powierzchni z nienawiścią w oczach pacyfikowali peron stacji i wdzielali się do podziemnego magazynu.

W zasadzie, każda stacja metra ma swoją, podobnie ciekawą historię z czasów wojny. W wielu z nich narodziły się podziemne gangi, niektóre komunikowały się stale z powierzchnią, inne żyły w absolutnej izolacji. Większość mieszkańców zaczęła opuszczać podziemne schronienia, gdy wyczerpywały się zapasy żywności i wody, niektórzy zaufawszy doniesieniom z powierzchni, że na zewnątrz jest już bezpiecznie, także wychodzili. Czasami ludzie uciekali z metra, bojąc się rozwijającej się coraz bardziej przestępczości. Bandyci grasujący po tunelach po kilku miesiącach niemal całkowicie zawiądnęli siecią komunikacyjną.

"(...) Widzieliśmy piekło, które przesłoniło na kilka minut niebo. Piekło zagościło na krótki czas po drugiej stronie Zatoki. Niewyobrażalna jasność poraziła nasze oczy, a huk eksplozji odebrał nam słuch. Widok, który ukazał się w chwili potem, gdy jasność zmalęła - wzrastanie wielkiej chmury ognistego gniewu nad Zatoką - oglądaliśmy w absolutnej ciszy i skupieniu. Cała ulica, wszyscy, jak jeden mąż, zwróceni byli na wschód, a ich oczy z przerażeniem rejestrowały śmierć Richmond i Oakland, które na naszych oczach przestały istnieć. Niepojęta groza dotknęła nas, mimo że byliśmy w bezpiecznej odległości.

Do rana po drugiej stronie Zatoki szalały straszliwe pożary (...)"



Obecnie w metrze nikt nie mieszka, poza różnymi szumowinami, uciekinierami czy innym marginesem. Wielu ciemnych typów krąży po tunelach nocując w małych pomieszczeniach kontrolnych, magazynach czy po prostu w stojących tam od 30 lat wagonach metra.

Jeśli chodzi o stacje, to, jak już wspomniałem, są różnie wykorzystywane. Najczystsze i najbezpieczniejsze są tunele i stacje w centrum, podziemne perony pod Market Street. W Dzielnicy Misyjnej jedna ze stacji służy za schron i magazyn Misji Dolores.

Idąc dalej, na południowy zachód, dotrzesz metrem do Taravel i do wspomnianej przeze mnie już stacji Forest Hill. Obecnie znajdują się tam katakumby, gdzie pochowano wiele ofiar chorób popromiennych oraz ludzi zabitych w krwawej walce o stację z 2021 roku. Do dziś chowa się tam czasem ludzi, a mieszkający w naziemnym budynku stacji grabarz Vito zajmuje się też spawaniem metalowych trumien, w których chowa się ciała.

Podążając dalej na południe, opuścisz centrum San Francisco. W przedmieściach takich jak San Bruno, aż do Milbrae, tory

wiodą już nie pod ziemią, a na jej powierzchni lub estakadami. Tutaj stanowią głównie rdzewiejącą konstrukcję, a stacje są zdewastowane i niezagospodarowane.

Jeśli zaś z centrum miasta pójdiesz tunelem na północ, dotrzesz aż pod Zatokę. Tunel metra łączył kiedyś San Francisco z miastami na wschodnim brzegu, ale dziś jest częściowo zalany i wyprawa pod powierzchnią zatoki na drugą stronę jest chyba niemożliwa. Ja dotarłem gdzieś półtorej mili w głąb zatoki i potem zawróciliśmy, nie mając sprzętu do nurkowania. Zresztą po drugiej stronie Zatoki rozciąga się skażone radioaktywnie tereny i nie ma tam czego szukać.

Słyszałem jednak, że są grupy szabrowników eksplorujące poprzez tunele BART miasta Richmond i Oakland. Podobno używają kombinezonów ochronnych zachowanych z czasów wojny i przynoszą ze skażonych terenów dużo drogiej i rzadkich gambli. Wedle przedwojennych planów, BART sięga daleko na północny wschód, aż do miejscowości Pittsburg.

Jednak w samym mieście tunele pilnowane są przez Milicję. Funkcjonariusze wyposażeni



w noktowizory, a w najgorszym wypadku w latarki, przeszukują metro, łapiąc czasami poszukiwanych przestępców. Niekiedy rezydujące w podziemiach bandziory zabijają Milicjanta.

Poza tym, dużym niebezpieczeństwem w tunelach są szczury. Nie, nie żadne myślące, ani szczególnie gigantyczne - to San Francisco, a nie Sharrash. W metrze żyją całe chmary zwykłych, żartocznych szczurów. Czasami w pobliżu zejść w nocy słychać ich pisk odbijający się echem w tunelach. Niektórzy mieszkańcy metra padają ich ofiarami - przed hordą tysięcy szczurów nie uchroni cię żaden karabin ani kamizelka kuloodporna. Aż ciarki przechodzą. Nie chciałbym zostać pożarty żywcem przez szczury...

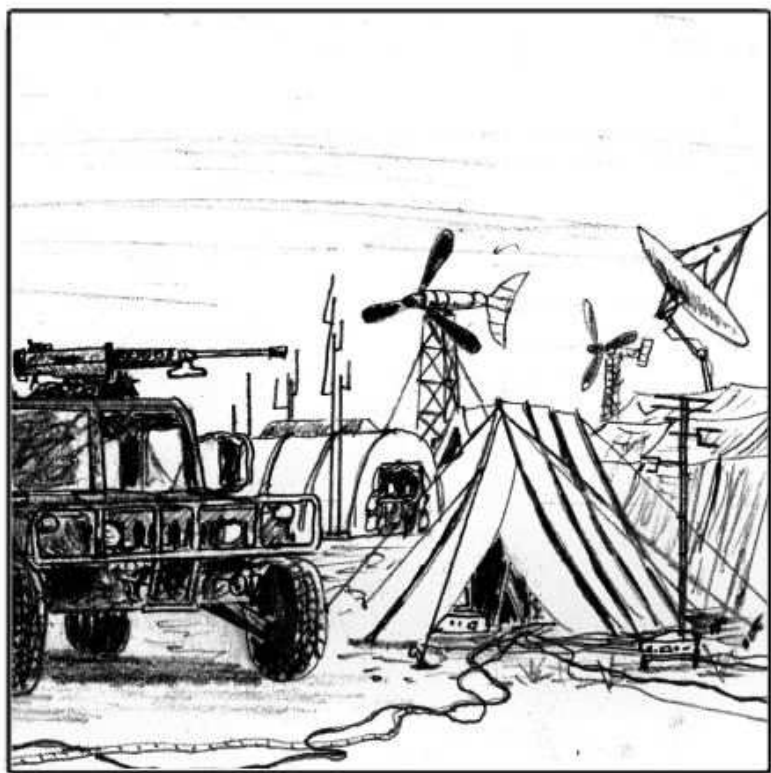
Montgomery Train

Skład nr 48 metra miejskiego stał w chwili wybuchu wojny przy podziemnym peronie stacji pod Montgomery Street i nigdy już stamtąd nie odjechał. Przez wiele miesięcy był schronieniem dla mieszkańców miasta, którzy ukryli się pod ziemią przed promieniowaniem. Do dziś na szybach wagonów przyklejone są zdjęcia ludzi koczujących w składzie przez te siedem upiornych miesięcy. Obecnie pełnią pamiątkowy charakter, a w wagonach metra urządzono restaurację serwującą ciepłe posiłki i lekki alkohol, głównie wino i piwo. Knajpę prowadzi William McGilan - charyzmatyczny, starszy facet, który w czasie wojny był przywódcą ludzi mieszkających na stacji Montgomery. Pamięta doskonale tamte ciężkie dni, niekiedy zbiera mu się na opowieść. Warto go posłuchać, mówię ci. Gość miał jaja, aby objąć przywództwo nad tłumem obcych, przerażonych ludzi i utrzymać ich przy życiu. Dziś, jak sam mówi, dożywa swoich dni na zasłużonej emeryturze, a swemu synowi, Andy'emu, przekazuje coraz więcej obowiązków związanych z prowadzeniem tego miejsca. Montgomery Train to bardzo miła knajpa, gdzie spotkasz wielu weteranów z tamtych czasów. Jeśli lubisz nostalgiczny nastrój i pieczone ziemniaki, odwiedź to miejsce koniecznie.

Schron nr 202

Nigdy nie został wykorzystany w celu, do którego służył. Schron mieści się blisko stacji Embarcadero i połączony jest z nią pięćdziesięciometrowym tunelem. Podczas uderzenia nie został otwarty, ponieważ niemal wszyscy członkowie Obrony Cywilnej odpowiedzialni za jego obsługę zginęli w chwili ataku - dwoje z nich mieszkało w Oakland. Tymczasem trzecią osobą był żołnierz Gwardii Narodowej, odpowiedzialny za ochronę tego obiektu i pilnowanie porządku wśród ewentualnie zgromadzonej tam ludności. Mathew Larkin jednak w dniu upadku bomb zasnął i nie pojawił się w metrze. Schronu nie otwarto przez wiele kolejnych lat, a Mathew, który jako jeden z nielicznych ocalałych spośród ludzi pozostałych na powierzchni, dopiero przed rokiem dostał się do jego wnętrza. Wcześniej przez miesiąc przeszukiwał zgłiszczą domów pozostałych członków obsługi schronu w Oakland. Jego trud opłacił się, bo po otwarciu schronu stał się posiadaczem jego kompletnego wyposażenia. Dziś w schronie nr 202 Mathew prowadzi sklep ze sprzętem ochronny radiologicznej, żywnością liofilizowaną i innymi typowo „survivalowymi” przedmiotami, takimi, jak liczniki Geigera, tabletki do odkażania wody i inne. Co tu dużo mówić - gość wyprzedaje zawartość schronu. Ktoś kupił od niego nawet taką cholernie niewygodną, wąską i krótką, piętrową prycę. Ciekawostką w jego asortymencie jest cały zestaw różnych broszurek wydanych przed wojną przez Obronę Cywilną, dotyczących tematyki przetrwania po ataku atomowym. Choć tamtejsze informacje dotyczą głównie pierwszych tygodni po wojnie, wbrew pozorom przydają się także i dziś. Każda książeczka dotyczy innego tematu: jeśli przeczytasz „Zdobycie wody i pożywienia”, to dostajesz za darmo pierwszy poziom umiejętności Zdobycie wody i Łowiectwa. Broszura pod tytułem „Pierwsza pomoc” pozwala nauczyć się pierwszego poziomu stosownej umiejętności. Nic nie da przeczytanie tych ulotek osobom, które posiadały wcześniej wymienione umiejętności na poziomie pierwszym lub wyższym.

Najgorsze po wyjściu ze schronu jest zbieranie ciał. Zwłoki zalegają na ulicach, w sklepach, w centrach handlowych, w domach, hotelach, na dworcach, wszędzie. Natrafiamy na prowizoryczne szpitale, w których ciała wycięzionych lekarzy spoczywają koło sinych trupów ich pacjentów. Blade palce medyków ściskają puste opakowania po lekarstwach. Mierniki promieniowania trzeszczą jak szalone. Wnosimy zwłoki tygodniami, w workach, razem z łózkami, na których umarli. Wszędzie płoną stosy, a swąd palonych ciał snuje się po ulicach. Ludzie ciężko pracują, mimo głodu i zmęczenia, w obawie przed epidemią, chcąc jak najszybciej pozbyć się zwłok. Przeszkadzają nam w tym dzikie psy, sępy, szczury i robaki. Poziom promieniowania nadal jest wysoki, ale można już chodzić bez kombinezonów. Nikt się nie przejmuje, że za dwadzieścia lat dostanie raka. Nie wiemy, co będzie jutro, więc co nas obchodzą lata?



OBÓZ POSTERUNKU



Jeśli spojrzysz na wschodnie wybrzeże Zatoki San Fran, wszędzie widać tam tylko zgłiszczą zbombardowanych miast. Wszystko od Richmond po Fremont to radioaktywne ruiny. Dopiero na samym południowym krańcu wschodniego wybrzeża można dostrzec znaki życia. Tam właśnie, wśród ruin dawnego Milipitas, znajduje się obóz Posterunku. My nazywamy ich po prostu Milipitas od miejsca, gdzie założyli bazę. Posterunkowcy odgruzowali dwie dzielnice miasta, z cegieł wymurowali niskie podmurówki pod swoje stalowe kontenery mieszkalne, wzniesli kilkadziesiąt namiotów, okablowali to wszystko, postawili dziesiątki anten i usypali dookoła szaniec z gruzu. Nie wiem, ilu ich tam jest dokładnie, ale słyszałem, że mają jedną pełną kompanię żołnierzy do ochrony. Ilu specjalistów siedzi w tych namiotach i kontenerach, nie sposób stwierdzić. Zresztą, czy to ważne? Jak chcesz, to sobie policz. Nie może ich zresztą być zbyt wielu, bo przyjechali na ledwie kilkunastu ciężarówkach w eskorcie może dwudziestu kilku HMMWV. Przynieśli za to całe tony różnorakiego sprzętu. Nie wiem, stary, skąd oni biorą prąd do zasilania tego wszystkiego. Znajomy był w ich obozie i opowiadał, że każdy z tych namiotów wygląda jak sklep komputerowy. Pogłoski mówią, że Posterunkowcy biorą energię z baterii słonecznych, ale, do cholery, ile musieliby ich mieć, aby zasilic to wszystko?

Od kiedy Posterunek tu jest, w mieście kręcą się żołnierze do złudzenia przypominający wyglądem żołnierzy przedwojennej US Army. Cóż, nic w tym dziwnego, skoro umundurowanie i wyposażenie, którego używają, pochodzi właśnie od przedwojennej armii. Właściwie ich obecność jest na rękę mieszkańcom. Nie chodzi o BBC, bo osobiście wątpię, aby dali radę odeprzeć ewentualnych atak Sześcianu, gdyby ten uderzył na serio całą swoją siłą. Korzyści są raczej bardziej przyziemne. W końcu kilka setek żołnierzy i naukowców musi coś jeść i pić, no nie? Potrzebują paliwa do swoich Hammerów, amunicji i odwiedzają nasze puby i burdele. Wielu ludzi zrobiło wielki interes na Posterunku.

Można się też u nich zaciągnąć. Jeśli czujesz się patriotą, lubisz zabijać i niszczyć albo jesteś psychopata, zgłoś się do Biura Rekrutacyjnego, które mieści się zaraz przy głównym wjeździe do miasta, to jest w Foster Gate. Zresztą, na ulicach z pewnością napotkasz plakaty propagandowe, może nawet dostaniesz ulotkę z wizerunkiem Wuja Sama wskazującego cię palcem i mówiącego: „Nie pytaj, co Ojczyzna zrobiła dla ciebie, ale powiedz, co ty zrobisz dla Ojczyzny!”. Jeśli się zaciągniesz, dostaniesz mundur, buty i zakwaterowanie w obozie szkoleniowym poza miastem, gdzieś na południu. Co miesiąc wyjeżdża stamtąd jedna albo dwie ciężarówki

świeżego mięsa armatniego. Cóż, na świecie nie brakuje samobójców i psycholi. Bez urazy, jeśli miałeś chęć się zaciągnąć. Patriotów też w końcu nie brakuje. Ja po prostu uważam, że do wojny z Molochem trzeba się dobrze przygotować, a nie posyłać słabo uzbrojonych ludzi na pewną śmierć. Gdybyśmy mieli czołgi, samoloty i helikoptery, wtedy można by podjąć prawdziwą walkę. Dlatego my tutaj, w San Francisco, chcemy postawić miasto na nogi. Bez zaplecza nie da się prowadzić wojny. Tak samo chyba sądzą w Nowym Jorku i, miejmy nadzieję, kiedyś Nowojorczycy nawiążą z nami współpracę. Ale wracając do Milipitas...

Pewnie ciekawy jesteś, czego Posterunek szuka w San Francisco? Wiesz już, że spece z Posterunku żywo zainteresowali się Sześcianem i badają go, a ich wojsko przygotowane jest do ewentualnej konfrontacji z BBC - przynajmniej teoretycznie, bo nie wiemy, czego się po Kostce spodziewać. Jednak Posterunek to nie jest instytucja charytatywna, która przyjechała, aby dobroczynnie bronić San Fran przed Sześcianem. Mają tutaj swój interes. Aby walczyć skutecznie z Molochem, Front potrzebuje zaopatrzenia i bazy technologicznej. Słyszałem, że główna baza Posterunku, będąc w ciągłym zagrożeniu, potrzebuje wsparcia bardziej oddalonych od pola walki obozów, aby w razie czego móc liczyć na zaplecze techniczno-naukowe. Brzmi to trochę, jakby się bali, że Moloch dorwie to ich jeżdżące miasto i zniszczy je, czy mi się wydaje? Bo gdyby byli całkiem pewni swego bezpieczeństwa, wszystko trzymaliby tam - blisko oddziałów frontowych. Jednak ludzie stacjonujących w Milipitas jest coraz więcej, a od czasu do czasu przyjeżdżają ciężarówkami pod silną eskortą i założę się, że nie mają w ładowniach baterijek do ich komputerów, tylko coś ważniejszego...

Posterunek nie tylko przywozi coś do San Francisco, ale też sporo wywozi. Zaopatrują się u nas w amunicję, pojazdy, żywność i zdrową, nieskażoną wodę. Słyszałem o tym, że na północ od Milwaukee nie ma ani kropli wody zdanej do picia? Ponadto jest jeszcze jeden, cenny surowiec - rekruci - choć powiem ci szczerze, że, póki co, mieszkańcy San Francisco nie garną się do szeregów oddziałów frontowych. Myślę, że dopóki Moloch nie zmiażdży Reno i nie spopieleni Sacramento, Posterunkowcy nie będą mieli zbyt wielu poborowych z Aglomeracji. Dopiero, gdy ludzie poczują się bezpośrednio zagrożeni, pomyślą o wzięciu karabinu do ręki i przyłączeniu się do innych walczących. Póki co, maszyny Molocha to dla nas inny świat, odległy co najmniej tak, jak Arabia Saudyjska. Na razie zaś to bardziej Posterunek przydaje się miastu niż my jemu. Oprócz obserwacji i monitorowania BBC,



żołnierze Posterunku pełnią straż na północnym krańcu Golden Gate. Ciekawy jesteś, czemu? Od kilku lat szabrownicy rozkradający resztki pozostałości miasta San Rafael zaczęli ginąć. Początkowo nikt się nimi nie przejmował, potem, gdy zaginięcia w San Rafael stały się zbyt częste, poszedł tam oddział Milicji Miejskiej. Milicjanci ledwo uszli z życiem. Wpadli w zasadzkę jakichś dziwnych, humanoidalnych istot. Tak przynajmniej się mówi. Od tamtego czasu burmistrz zamknął Golden Gate, odcinając miasto od San Rafael. Gdy zjawił się Posterunek, Benedict Logan bardzo chętnie oddał straż na moście żołnierzom. Jednak Posterunkowcy nie tylko blokują most, ale konsekwentnie wyprawiają się do San Rafael, przeszukując je. Cokolwiek tam jest, w końcu się na to natkną. Wiesz, tutaj Logan potrafił dobrze zagrać, bo wykorzystał fanatyzm Posterunkowców w walce z mutantami i wszelkiego rodzaju „wrogiem” człowieka. Oni myślą, że San Rafael to przyczółek dla jakichś nowych tworów Molocha i zrobią wszystko, aby zgładzić go w zarodku. Nie wiem, czy zdołają oczyścić San Rafael z rękoma zamieszkujących tam dziwnych istot, ale życzę im powodzenia. Jak na razie panuje tam spokój i patroli Posterunku nie napotkały niczego niepokojącego. Inni sądzą, że w ruinach miasta żyją tylko watahy zdziczałych psów, a bajki o krwiożerczych bestiach to wymysł Milicji Logana, która chce w ten sposób uratować swój honor po ucieczce z San Rafael. Ja sam nigdy nie byłem po drugiej stronie Golden Gate i nie zamierzam się tam wybierać. Niech Posterunkowcy sobie oczyszczają tamte tereny i chwała im za to.

NUMMI

To skrót od takiej jednej, bardzo długiej nazwy. Nie chce mi się, ale ci ją podam, bo potem i tak będziesz pytał oraz narzekał, że cię w konia robię. Chodzi o New United Motor Manufacturing, Inc. Zadowolony? Przed wojną między Milipitas i Newark mieściły się zakłady jednego z największych koncernów samochodowych w Stanach. Produkowano tu głównie samochody marki Toyota, zresztą łatwo to zauważyć, patrząc na auta jeżdżące po ulicach San Francisco. W każdym razie, pomimo, że niespełna 3 mile dalej, w centrum Newark, uderzyła głowica atomowa, zespół fabryk przetrwał wojnę w zasadzie nienajgorzej. Ucierpiał znacznie bardziej po zagiądzie, od trzęsień ziemi i pożarów, które szalały w mieście. O dziwo, fabryka nie była zbyt mocno pładowana, bo strach przed skażeniem radioaktywnym zniechęcał większość rabusiów, nawet tych najodważniejszych i najbardziej chciwych. Zresztą, na cholere komu

ciężkie, trudne w wywożeniu roboty do produkcji samochodów, skoro mamy ich tysiące w mieście i wystarczy ich jeszcze na handel przez wiele długich lat? Po co ci o tym opowiadam? Otóż ostatnio fabryką żywo zainteresował się Posterunek. Nie dość, że mają do zakładów żabi skok, bo to ledwie półtorej mili na północ od ich obozu, to jeszcze zakład ma dla nich dużą wartość. Raz, że potrzebują samochodów, a możliwość ujednoliconej produkcji ułatwi im zaopatrywanie wojska w sprzęt. Dwa, łatwo mogą dostosować fabrykę do konstruowania czegoś bardziej przydatnego niż luksusowe auta Toyoty. Mają szczęście, że Moloch czy Rosjanie - zależnie od tego, kto według ciebie zrzucał na nas bomby - nie uznali tej fabryki za cel militarny. Inaczej byłoby tam tylko radioaktywne gruzowisko. Nie wiem, jak Posterunkowcy zagospodarują NUMMI. Na razie kręcą się tam żołnierze, trochę speców rysujących plany, ściągają tam też robotników najemnych z miasta do odgruzowywania. Jeśli szukasz zarobku i nie boisz się pracować fizycznie, zatrudnij się tam - za dzień roboty dostaniesz kilkanaście gambli pod postacią sucharów i ryb albo amunicji 5.56 mm. Sam jestem ciekaw, co tam będzie. Fabryka wozów opancerzonych na bazie pickupa Toyoty? Zakład remontowy dla Bradley'ów? Fabryka amunicji?

Morgan Hill

Wspominałem, że posyłanie ludzi na Front bez przeszkolenia jest nonsensem, prawda? Widocznie dowódcy z Milipitas też tak uważają, bowiem zorganizowali kompleksowy obóz szkoleniowy na południe od San Francisco, w miejscowości Morgan Hill. Rekruci przejeżdżają na ciężarówce kilkanaście mil, omijając po drodze skażony teren wokół Evergreen i lądują w ufortyfikowanym miasteczku, w którego ruinach urządzono obóz treningowy. Byłem tam raz z ciekawości zobaczyć, jak Posterunkowcy szkolą ludzi do walki z maszynami. Powiem ci, że robi to wrażliwie. Każdy rekrut otrzymuje od razu pełne wyposażenie i musi o nie dbać. Pełnią warty i uczą się ich musztry oraz działania w terenie. Byłem zaskoczony, gdy dowiedziałem się, że wszelkie treningi przeprowadzane są z użyciem ostrej amunicji! Wyobraź sobie, że program szkoleniowy obejmuje walkę w terenie otwartym: pustynnym i górskim oraz starcia w obszarze zurbanizowanym, a jakby tego było mało, do rekrutów strzelają prawdziwe roboty. Dowiedziałem się, że nie są to maszyny Molocha, tylko ich kopie, konstruowane z pomocą Uniwersytetu i Elektroników. Teraz już rozumiem, skąd takie zapotrzebowanie Posterunku na części elektroniczne. Podczas



szkolenia zdarzają się wypadki ciężkich zranień i śmierci wśród rekrutów. Cóż, nie powiem - goście z Milipitas poważnie podchodzą do kwestii treningu, może nawet zbyt poważnie. Wiesz, nawet podczas podpisywania kontraktu informują cię o niebezpieczeństwie związanym ze służbą i o tym, jak wygląda szkolenie. Nie dziwię się, że tak niewielu jest chętnych, skoro na Froncie jest podobno jeszcze niebezpieczniej niż na treningu. Słyszałem, że ostatnimi czasy rekruci ściągani są tutaj z całej Kalifornii, bo z San Francisco jest ich zbyt mało. Cóż, mieszkańcy miasta mają zbyt spokojne i dostatnie życie, aby pchać się pod lufy opancerzonych kalkulatorów gdzieś na pograniczu z Kanadą.

Pułkownik Mathias Verosse

Dowódcą wojskowym obozu Posterunku w Milipitas jest wysoki rangą, ponoć bardzo doświadczony na Froncie oficer. Osobiście nie widziałem go nigdy, ale kumpel, który sprzedaje zaopatrzenie Posterunkowcom, opowiadał, że pułkownik Verosse wygląda niemal jak podstarzały dziad. Słyszałem jednak, że jego wygląd jest bardzo mylący. Facet posiwiiał ponoć ze stresu na Froncie, ale ma charyzmę i posłuch u żołnierzy, a jego doświadczenie w polu budzi powszechny szacunek. U nas, w San Francisco, przezywają go Dziadkiem i trochę się z niego śmieją. Jest taki kawał: W okopie na Froncie siedzi szeregowiec z Posterunku i Dziadek. Gdy z warkotem zbliżają się do okopu maszyny Molocha, Dziadek wydaje rozkaz „Żołnierze! Macie tu granat i zniszczcie maszynę!”. „Tak jest!” odpowiada szeregowiec i wybiega z okopu. Gdy wraca, melduje „Panie pułkowniku! Maszyny zniszczone!”. A Dziadek na to: „Doskonale, żołnierzu. Teraz oddajcie granat!”. Cóż, może to nieco złośliwe, ale unaczni nasz stosunek w San Francisco do wojny. Po prostu większość z nas uważa, że nie jesteśmy gotowi do walki. Posterunkowi

brak sprzętu, zaplecza produkcyjnego i zaopatrzenia. Ale to długi temat i na inną okazję. Ponoć pułkownik i burmistrz nie bardzo się lubią i rzadko się spotykają. Stąd wynikają czasem spory i nieporozumienia między Milicją Miejską, a żołnierzami z Milipitas. Chodzą słuchy, że pułkownik chciałby zaprowadzić w San Francisco wojskowy porządek, ale póki w mieście rządzi Benedict Logan, nic z tego nie wyjdzie.

Nicola Warner

Spośród naukowców w Milipitas najbardziej znaną i najważniejszą osobą jest pani doktor Nicola Warner. Jest ponoć niestychanie inteligentna i charyzmatyczna. Faktycznie, to ona częściej występuje jako przedstawiciel Posterunku w kontaktach z Radą Miejską czy burmistrzem. Chyba tylko dzięki niej nie doszło jeszcze do scysji między Loganem a Posterunkiem. Ludzie opowiadają niekiedy, że pani Warner ma romans z burmistrzem, ale to chyba tylko plotki, o które nie trudno, skoro Logan otacza się wieloma ładnymi dziewczynami, a Nicola została obdarzona urodą. Widziałem ją tylko raz i to w telewizji, a powiem ci, że robi dziewczyna wrażenie. Jeśli przed wojną każda wykształcona kobieta mówiła tak interesująco, mogło być tam fajnie... Nicola Warner pojawia się na licznych bankietach i imprezach, a nawet grywa w golfa z miejscowymi mistrzami. Oczywiście, pozwalają jej wygrywać, he he. Można powiedzieć, że pani doktor stała się lokalną gwiazdą. Niezależnie od swojej sławy, Nicola Warner ma mnóstwo obowiązków i ciągle jest zabiegana. Wciąż woźą ją Hammerem z jednego końca miasta na drugi lub siedzi w tych ich laboratoriach w Milipitas. Odpowiada za kontakty Posterunku z naukowcami z Uniwersytetu Stanford, a także bierze udział w programach badawczych na temat cyborgizacji, prowadzonych w Klinice w Campbell.

Perpetum mobile

Ha! Perpetum mobile to jeden z najciekawszych mitów, jakie pojawiają się w opowieściach barowych w San Francisco. Ludzie od zawsze byli ciekawi, skąd Posterunek bierze energię do zasilania tej całej masy komputerów, nadajników i innych dziwnych urządzeń, jakie trzymają w Milipitas. Do tego wszyscy dziwią się, że nocami obóz Posterunkowców jarzy się blaskiem, jakby w każdym namiocie mieli kulę dyskotekową. Dyskotek nie mają, ale ich obóz jest stale oświetlony, nawet wtedy, kiedy dostawa Cysterniarzy opóźni się i z braku oleju do generatorów my, w mieście, nie mamy prądu. Ludzie opowiadają różne rzeczy, bo jakos nikt nie daje wiary, aby baterie słoneczne produkowały tyle prądu, żeby zasilic to całe elektroniczne ustrojstwo w Milipitas. Gdy odwiedzisz Posterunkowców, to zrozumiesz, o co mi chodzi - kiedy się tam jest, wśród ich namiotów, powietrze aż buczy od szumu komputerów i zewsząd dochodzi cichy szum urządzeń elektrycznych. A baterii słonecznych faktycznie nie ma tam wcale tak dużo. Ot, kilka kolektorów i paneli ustawionych pomiędzy namiotami. Są też niby wiatraki, ale nie w mówisz mi, że to im wystarczy... Pytanie brzmi: skąd oni do cholery biorą energię? Z powietrza? Opowiada się różne historie - słyszałem nawet o miniaturowym, przenośnym reaktorze atomowym, a także silnikach napędzanych ludzkim moczem. To wszystko bajki, ale pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Cholera, może ty wiesz, jak oni zasilają to swoje obozowisko?



DOLINA KRZEMOWA



Tak, czas przeskoczyć znacznie dalej na południe, daleko poza granice samego San Francisco. Muszę najpierw wspomnieć o Cmentarzysku i otaczających je przedmieściach San Fran.

Widzisz, znajdujemy się w dolinie Santa Clara. Ponoć dawno temu był to biedny, rolniczy region, gdzie uprawiano cytrusy. Potem, gdzieś w latach trzydziestych ubiegłego wieku, nastąpił boom na nowe technologie - komputery i elektronikę. Niskie ceny ziemi i korzystne prawo sprawiło, że w Dolinie zaczęły masowo powstawać firmy elektroniczne i komputerowe, produkujące głównie na potrzeby wojska. Gdzieś przeczytałem, że w Krzemowej Dolinie tuż przed wojną znajdowało się ponad 800 firm komputerowych. Nazwy takie jak Apple, NVIDIA, Rambus czy Hewlett-Packard niewiele ci pewnie powiedzą, ale wystarczy rzec, że w Dolinie Krzemowej znajdowało się tyle komputerów, co w całych zasranych Stanach razem wziętych i dwa razy więcej speców. Robi wrażenie, nie?

Oprócz biurów i przedstawicielstw, mieściło się tu przed wojną mnóstwo zakładów produkcyjnych, laboratoriów i fabryk wysokich technologii. Faceci w białych, sterylnych kitlach tworzyli tu nowe mikroprocesory i polerowali czasze superteleskopów. Nic dziwnego, że Rząd chciał ocalić Dolinę Krzemową, przed zniszczeniem i pośpiesznie zainstalował tu wyrzutnie NA-AD.

W zasadzie próba ocalenia Doliny Krzemowej się udała - bomby uderzyły głównie we wschodnie wybrzeże Zatoki San Francisco, niszcząc tamtejsze miasta, zrównały też z ziemią lotnisko rządowe, ale poza tym większość doliny Santa Clara pozostała nienaruszona. Jednak na skutek promieniowania znaczna część personelu i naukowców umarła, a przez następne lata po uderzeniu w Krzemową Dolinę działy się dziwne rzeczy.

Ludzie przez pierwsze lata po wojnie nie interesowali się siedzibami korporacji na południu, próbując przetrwać w San Franci-

sco. Mówi się, że w Krzemowej Dolinie, która obejmuje miasta Sunnyvale, Mountain View, Santa Clara, Palo Alto i kilka innych miejscowości, pojawiały się dziwne, nieznane istoty, oszalałe automaty i ogólnie tamte rejony uważano za nawiedzone. Myślisz, że to śmieszne? Dziś się z tego nie śmiejemy. Mimo, że połowa mieszkańców Aglomeracji utrzymuje się z eksploracji Krzemowej Doliny, zwanej dziś Cmentarzyskiem, to nikt nie kpi sobie z niebezpieczeństw tam drzemających.

Hi-Tech

Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego o Krzemowej Dolinie. Na krótko przed wojną to miejsce zaczęło się rozwijać jeszcze intensywniej niż przedtem. Różne źródła sprzed wojny wspominają o ogromnych inwestycjach rządowych w ten obszar, ulgach podatkowych oraz wielkich konstrukcjach wznoszonych przez Rząd i prywatne korporacje. Dziś wiemy, że trwały tu zaawansowane prace nad robotyką, projektowano tutaj nanoboty oraz... najprawdopodobniej to tutaj stworzono AI - Sztuczną Inteligencję.

Pomyślałeś o tym, o czym powinienem? Tak, masz rację, bardzo wielu ludzi uważa, że to w Krzemowej Dolinie powstało coś, co potem nazwaliśmy Moloch. Nie mam pojęcia, ile w tym prawdy, do czego służyła AI w Krzemowej Dolinie, ani na ile była faktycznie „inteligentna” - czytałem niedawno w znalezionej gazetce popularyzatorskiej sprzed wojny, że stworzenie Sztucznej Inteligencji wydawało się ludziom niemal niemożliwe. Nie wiem więc, czy można stawiać równanie AI-Moloch, ale wielu nie waha się tak sądzić, a są wśród nich też spece z Posterunku i najtęższe umysły San Francisco.

Ale wracając do Krzemowej Doliny... miejsce to wyglądało przed wojną fantastycznie, jak mniemam. Wiemy tylko, że zainstalowano tu skomplikowane systemy obrony

Krzem i miedź - nowa lokalna waluta

Płytki krzemowe, tranzystory, miedź, kable, oporniki i inne elektroniczne śmiecie pełnią u nas, w San Francisco, rolę pieniądza. George Logan próbował swego czasu wprowadzić papierową walutę, były i czasy, kiedy ludzie używali nawet przedwojennych dolarów, ale obecnie to wszystko jest już w zaniku. Powszechnie wiadomo, że za garść krzemowego śmiecia dostaniesz piwo, albo placek mączny, a za nieco miedzi można nabyć w porcie rybę. Jak to działa? Po prostu masz pewność, że jak nazbierasz większy zapas tego szajsu, to zanieśiesz to do Sunnyvale jednemu z Elektroników i wymienisz to na cokolwiek. Jak nie, to sprzedasz mikroprocesory kupcom przyjeżdżającym zza Gór Skalistych. Hmm... pytasz jak to wygląda z wartościami? Że niby masz jakąś płytkę od komputera i chcesz wiedzieć ile ona byłaby tutaj warta? Pokaż ją. Hmm... pisze tutaj GeForce, ale to akurat nie ma znaczenia. Hmm... powiedzmy, że starczy ci wiedzieć, że dajmy na to 10 gram płytek krzemowych to jeden gambel, podczas gdy... Co? Że trudne? Cholera, nieważne. Nauczysz się w praniu. Coś kupisz, coś sprzedasz i załapiesz jak to u nas działa. Zresztą, nie panikuj! Obowiązuje u nas poza tym zupełnie normalny gambling. Wymienisz się tu wszystkim co masz, tak, jak wszędzie, więc nie denerwuj się.



i alarmy antyterrorystyczne - armia naprawdę zadbała aby Krzemowa Dolina ocalała. Szkoda, że im nie wyszło - zbudowalibyśmy swojego Molocha i rozpieprzyli tego tam na północy. Niestety, te cuda techniki nie uratowały Krzemowej Doliny przed trzęsieniami ziemi i innymi powojennymi plagami.

Cmentarzysko Technologii

Po wojnie jakakolwiek technologia stała się nagle towarem deficytowym - znikły niemal komputery, internet, łączność, telefonia komórkowa, na niektórych obszarach nawet nie ma prądu. W San Francisco i Krzemowej Dolinie jest inaczej. Można by powiedzieć, że jesteśmy dziś najlepiej żyjącymi ludźmi w Stanach. Mamy piękne, nieco tylko uszkodzone przez trzęsienia ziemi, miasto i częściowo zgruzowaną Dolinę Krzemową, pełną sprzętu elektronicznego, oprogramowania i ton cennych surowców, które tylko czekają na wydobycie.

Cóż, spytasz, co w tym trudnego? Widzisz, Dolina Krzemowa dość mocno oberwała promieniowaniem, a potem dzieła zniszczenia dopełniły trzęsienia ziemi. Teraz mamy tam jedno wielkie gruzowisko pełne krzemu, miedzi, komputerów, stali i innego złomu, którego wydobycie z ruin wcale nie jest takie łatwe. Wspominałem, że Dolina Krzemowa jest nawiedzona? Cóż, do dziś działają systemy bezpieczeństwa niektórych placówek korporacji i można łatwo wejść w ogień automatycznego karabinka strażniczego zamontowanego na jakiejś ścianie czy pod sufitem hangaru. Ponadto Krzemowa Dolina była przed wojną wysoce zautomatyzowana i było tam sporo robotów transportowych, montażowych i innego cybernetycznego badziewia, które oszalało. Większość już nie działa, ale ten znikomy procent, który funkcjonuje nadal jest śmiertelnym zagrożeniem dla ludzi, którzy dziś badają i eksploatują to miejsce.

A jest co eksploatować - magazyny wielkich korporacji kryją w sobie tony miedzi, wольframu, metali szlachetnych, krzemu oraz gotowych produktów: mikroprocesorów, ekranów holograficznych, całych komputerów. To pokłady przedwojennej technologii zaległy pod metrami gruzów i radioaktywnego pyłu, który opadł tutaj po uderzeniu, gdy całe wschodnie wybrzeże zatoki przestało istnieć.

Elektronicy

To, że jedna trzecia mieszkańców San Francisco trudni się rybactwem, już wiesz. Teraz dowiesz się, z czego żyje znakomita większość z pozostałych obywateli miasta. Ludzie są pazerni i cwani, toteż w San Francisco szybko zoriento-

wali się, że można zarobić na wybebeszaniu technologicznego Cmentarzyska zalegającego w Krzemowej Dolinie. Dziś elektronika i metale są w cenie, gdyż wielkie huty i import zagraniczny przeszły do historii.

Mieszkańcy południowej części Aglomeracji to w większości ludzie prości i biedni, w odróżnieniu od krezusów z północy muszą ciężko pracować na chleb. Tak, mamy tu miasto kontrastów. Jedni zagarnęli bogactwa opuszczonego miasta, inni szperają wśród ruin fabryk elektronicznych, a nad wszystkim, jak nietrudno zgadnąć, czuwają mafie, zaś Krzemowa Dolina jest niemal całkowicie opanowana przez Jakuzę.

Między San Francisco a Krzemową Dolinę ciągną się rozległe przedmieścia zlewające się z miastami takimi jak San Mateo, Sunnyvale czy Palo Alto. To one tworzą Aglomerację. Ludzie w nich mieszkający żyją właśnie z eksploracji bogactw zgruzowanych wśród ruin Cmentarzyska. Jeśli spojrzysz w kierunku Sunnyvale, choćby z przeciwnego krańca Zatoki San Fran, zobaczysz rozległe dzielnice zasnuwane dymami i obłokami siarki, zaś w nocy całe miasto iskrzy się od rozbłysków spawarek i lutownic. Niektórzy nazywają Sunnyvale „wielką przetwórną krzemu”.

Jej mieszkańcy dzielą się na kilka kast, jakby grup zawodowych. Najniżej stoją Hutnicy, którzy topią surowce i w oparach trujących metali ciężkich oddzielają cenny krzem, ołów, miedź i inne surowce od bezużytecznego złomu. Sunnyvale cuchnie strasznie i jeśli nie pochodzisz z nad Missisipi, zaopatrz się w maskę przeciwgazową, jeśli chcesz tam iść. Hutnicy przetwarzają śmieci elektroniczne i uzyskują cenne surowce dla Elektroników, którzy składają nowe podzespoły i urządzenia. Spora część z nich pracuje dla Uniwersytetu w Stanford. O tej placówce opowiem ci osobno. Część surowców idzie na sprzedaż - handlujemy z miastami na wschodzie, a nawet z Posterunkiem, który ma wielkie zapotrzebowanie na elektronikę.

Wszystko to nie mogłoby istnieć, gdyby nie Zbieracze. Ktoś musi wypruwać cenne kable, płyty krzemowe, kineskopy, zwoje miedzi i inne skarby z trzewi przedwojennych laboratoriów i składów. Uzbrojeni Zbieracze w skafandrach ochronnych lub przynajmniej w maskach, z licznikami Geigera i narzędziami, przed świtem wychodzą na swoje polowanie i małymi grupami przeczesują olbrzymi teren Cmentarzyska.

Poszczególne grupy czasem rywalizują, ale od kiedy Jakuzę przejęła kontrolę nad Krzemową Doliną, coraz mniej jest niezależnych band Zbieraczy. Niedługo wszyscy będą pracować dla Jakuzy. No, może poza ludźmi Benedicta Logana oraz pracownikami na usługach Uniwersytetu Stanford.



Życie Zbieraczy nie jest bezpieczne - co tydzień ktoś ginie. Wśród zgłiszczy czają się różne dziwne stworzenia, prawdopodobnie zmutowane, watahy dzikich, głodnych psów, oszalałe systemy ochrony. Czasem cała grupa Zbieraczy wejdzie nie tam, gdzie trzeba, i znikają w czeluści podziemnego magazynu, gdy osunie się pod nimi podłoże. Mimo że życie Zbieraczy, Hutników i Elektroników nie jest łatwe, a niekiedy niebezpieczne, jest na tyle opłacalne, że ryzykują zdrowie i życie. Ktoś kiedyś powiedział, że człowiek dla pieniędzy zrobi wszystko. Miał rację.

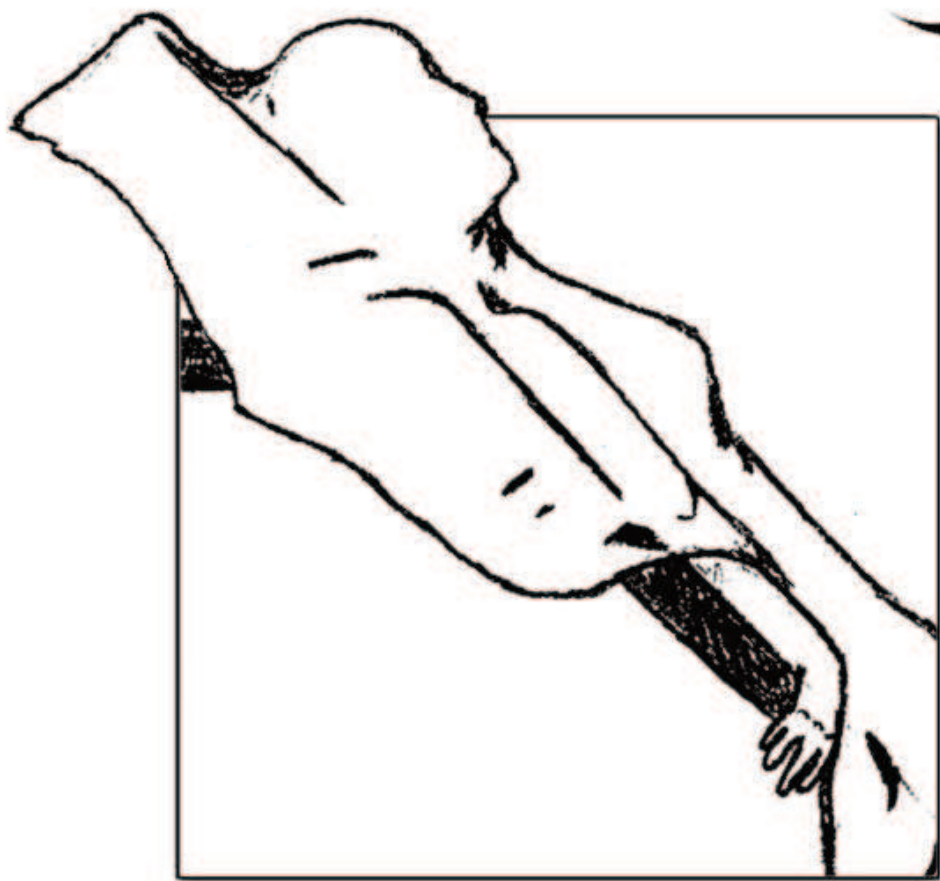
Choroby zawodowe

Można powiedzieć, że wszystkie przedmieścia na południu to jedna, wielka fabryka. Choć wydawałoby się, że to lekki przemysł i czysta produkcja, nic bardziej mylnego! Może wielkie koncerny elektroniczne przed wojną były bezpiecznym miejscem pracy, ale pozostał z nich tylko pył i gruz. Elektronicy stosują w swojej pracy najprostsze metody i narzędzia.

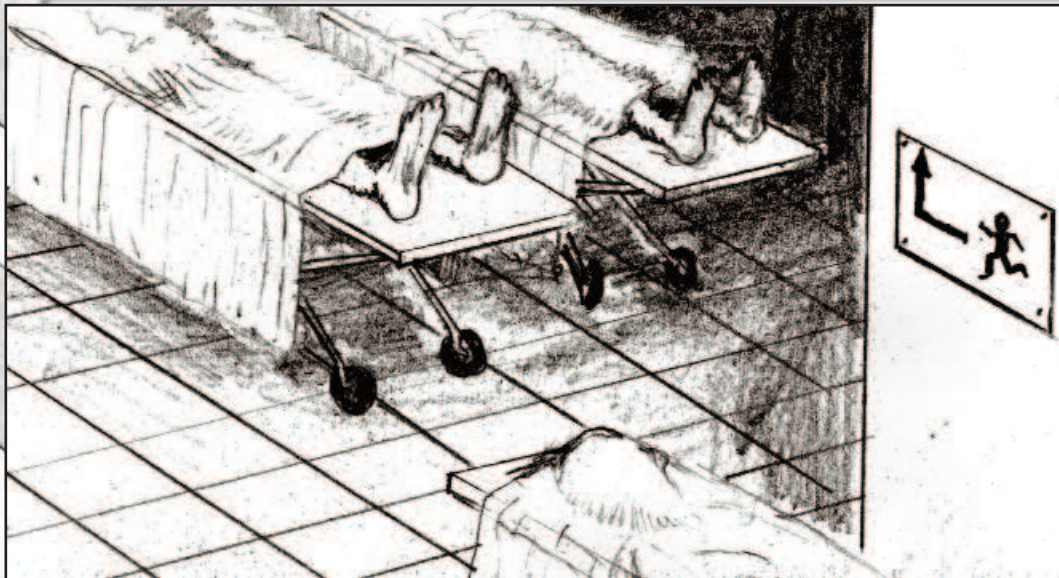
Sunnyvale tonie w oparach dymów, a powietrze kłuje w nos wyliewami siarki. Hutnicy babrają się w kwasach i innym świństwie. Mamy tam całą tablicę Mendelejewa w wodzie, ziemi i powietrzu. Ludzie tym oddychają, babrają się w tym i nie może to pozostać bez wpływu na ich zdrowie. Ktoś wyliczył, że przeciętny Hutnik rzuca swoją pracę po ośmiu miesiącach z powodów zdrowotnych. Jednak na miejsce tych, którzy odchodzą, przychodzą następni. Popyt z zewnątrz na naszą elektronikę jest duży, a od kiedy utrzymujemy kontakty z Posterunkiem, Elektroników dręcą przede wszystkim zatrucia metalami ciężkimi, cierpią na raka i często ulegają poparzeniom chemicznym. Wielu z nich ma jednak potem krótką, ale luksusową emeryturę. Jeśli jesteś Specem i szukasz pracy, możesz spróbować roboty w Sunnyvale - możesz liczyć nawet na kilka tysięcy gambli zysku rocznie, ale pamiętaj o zagrożeniu...

Pod tym murem, dnia 23 września roku 2020, pochowaliśmy naszych współbraci w cierpieniu: Thomasa Brady'ego, Margaret Morgan, Andy'ego Willbura, Kate Ashcroft i Jonatana Bridge'a. Zabrała ich choroba popromienna, z którą my sami walczymy. Niech spoczywają w pokoju, pamięć o męczennikach tej wojny zostanie wśród przyszłych pokoleń i okryje niesławą wielkich polityków i generałów, przez których cierpimy.

Mieszkańcy miasta San Francisco, dnia 23.09.20.



**KLINIKA
W CAMPBELL**



W centrum Krzemowej Doliny, pośród ruin i wielkich kompleksów produkcyjnych, znajduje się zespół otynkowanych na biało budynków, otoczonych rozległym parkingiem. Przed wojną były tam biura jakiejś firmy elektronicznej, zresztą do dziś pod ogrodzeniem i na parkingu leżą tablice z napisem Microsoft. Po wojnie budowla zmieniła przeznaczenie. Gdy kilka lat po uderzeniu ludzie zaczęli szperać w ruinach Krzemowej Doliny, odnaleziono ten zespół budynków zachowanych w zaskakująco dobrym stanie. Podobno do dziś w wielu oknach są przedwojenne szyby. Wewnątrz dawnych budynków biurowych nie znaleziono jednak zbyt wielu biur, komputerów i szaf z dokumentacją, natrafiono natomiast na coś bardzo zaskakującego. Ludzie znaleźli tam zwłoki żołnierzy i lekarzy wojskowych wśród całej masy sprzętu medycznego. Były tam przenośne stoły operacyjne, skomplikowane urządzenia do transplantacji, komory kriogeniczne na organy do przeszczepów, pojemniki z krwią, skrzynie pełne leków, szczepionek, środków opatrunkowych i narzędzi medycz-

nych. Wszystko to z oznaczeniami US Army. Ciekawe, co? Całe szczęście, że wśród znalazców byli naukowcy z Uniwersytetu Stanford, bo inaczej cały ten sprzęt i medykamenty błyskawicznie by zostały rozkradzione. Stało się jednak inaczej i w kilka lat zespół lekarzy i specjalistów od biotechnologii odrestaurował ten prowizoryczny wojskowy szpital i uczynił z niego prawdziwą klinikę medyczną. Do dziś ludzie zastanawiają się, skąd wojskowi oraz ten cały medyczny szajs wzięły się w siedzibie przedwojennej firmy komputerowej. Sądzę, że nigdy się tego nie dowiemy. Ważniejsze jest jednak, że dzięki temu uzyskaliśmy dostęp do wysokiej klasy wojskowego sprzętu medycznego. Przez długi czas wiele urządzeń leżało zamkniętych w magazynach, bo nawet uczeni z Uniwersytetu nie umieli tego obsłużyć. Przez pierwsze lata swej działalności Klinika prowadziła tylko zwykłe, typowe zabiegi. Sporo pomogli nam Japończycy, którzy wniknęli do personelu medycznego Kliniki. Dzięki nim szpital, oprócz ratowania życia, zaczął zajmować się wszczepami i cyborgizacjami.

Czujnik napięcia

Ten maluteńki wszczep montuje się pod paznokciem. Jest to cylindryczny czujnik z wysuwaną końcówką. Czujnik służy do sprawdzania, czy w urządzeniu/kontakcie/przewodzie jest napięcie. To wszczep specjalistyczny - wymyślony konkretnie na potrzeby Elektroników, także takim twardym najemnikom będącym specami od rozwałki może się nie przydać. Ale już twój kumpel od bojlerów mógłby być zainteresowany. Czujnik jest absolutnie bezpieczny dla użytkownika i nie grozi porażeniem prądem, chyba że złapiesz za przewód przemysłowej linii energetycznej. Czujnik odbiera czucie w palcu, w którym jest wszczepiony, ale nie wymaga serwisowania, ani żadnych dodatkowych zabiegów. Wszczepienie czujnika, podobnie jak kości pamięci, to prosty zabieg ambulatoryjny trwający około pół godziny.

Cena: 30 gambli

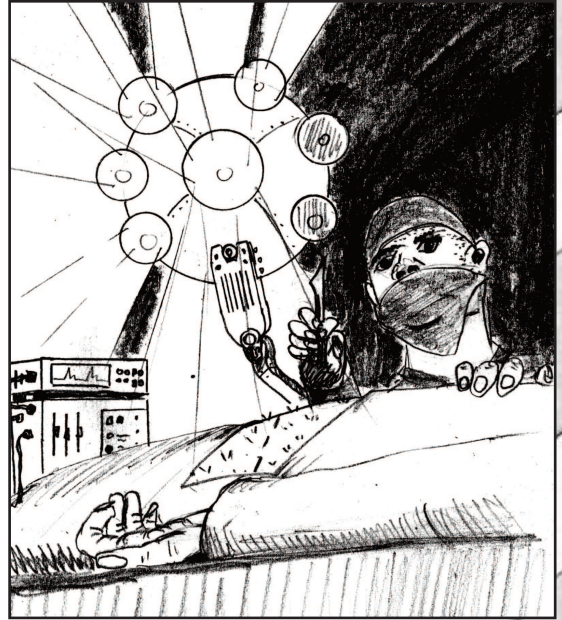




Dotychczas były to jednak raczej eksperymenty. Gdy zaś w Milipitas zagościli geniusze z Posterunku, nauczyli naszych, jak używać całej reszty tego skomplikowanego sprzętu i interes cyborgizacji ruszył z kopyta. Dziś chirurdzy w Campbell potrafią wyhodować i wszczepić ci nową wątrobę, nerkę, przeszczepić sztuczną skórę, ale to nic. Największe wrażenie robią implanty elektroniczne i cyborgizacje. Jeśli masz mnóstwo gambli i nie boisz się, że będą cię wytykać palcami, możesz ufundować sobie mechaniczne ramię, pające nogi, podwozie czy nawet cyberoko. Jasne, nie jest to w 100% bezpieczne, ale nasi spece się uczą i rozwijają ciągle technologie. Naukowcy w Posterunku i Uniwersytecie w Stanford ciągle pracują nad lepszymi, wygodniejszymi, mniej energochłonnymi i bardziej „naturalnymi” wszczepami.

Wszczepy

To z nich znana jest Klinika w Campbell, a wielu ludzi w Stanach słyszało o San Francisco właśnie z ich powodu. Nasze cyborgizacje są w większości oparte na przedwojennej technologii i korzystają z ówczesnej biomedycyny. Co to oznacza? Są mniej toporne i zawodne niż te, które robią w Posterunku. Dzisiejsza technika jest mocno prowizoryczna, technicy spawają mechaniczne ramiona ręcznie, a i inne wszczepy są dość, że tak powiem, mało finezyjne. Zaś cyborgizacje przedwojenne to lekkie, miniaturowe i nawet dość schludnie się prezentujące implanty, które wyglądają znacznie lepiej od wielkich, nieporęcznych ustrojstw stworzonych w Posterunku. Jest jeszcze jedna różnica - o ile posterunkowe wszczepy to głównie implanty bojowe, to w Campbell mamy raczej cywilne wszczepy, według wzorów



przed zagłady. Klinika specjalizuje się w takich właśnie i rzadko spotyka się u nas ludzi ze smartowanymi karabinami czy podwoziami gąsienicowymi. Możesz je tu też zamówić, ale licz się z wyższą ceną. My tu mamy Klinikę, a nie fabrykę cyborgów bojowych.

Hodowla organów

Oprócz cybernetycznych wszczepów, Klinika oferuje też zwyczajne, biologiczne wszczepy. Nie polecam ci czekania na potencjalnego dawcę, choć na terenie Jakuzy panuje prawo nakazujące, aby zabici i zmarli służyli za baze

Ceny organów

200 gambli za wyhodowanie narządu, 20 gambli za każdy miesiąc jego przechowywania, 200 gambli za operację jego wszczepienia, 200 gambli za tygodniową hospitalizację po operacji.

Kość pamięci

To bardzo pospolity wszczep i jeden z najłatwiejszych do zamontowania. Kość pamięci to malutki chip elektroniczny wielkości paznokcia z wejściem mUSB. Nie wiesz, co to jest? Przed wojną używano popularnie tzw. portu USB. Jednak na potrzeby cyborgizacji okazał się on zbyt duży, dlatego opracowano jego zminiaturyzowaną wersję - mini-USB. W skrócie mUSB. Dzięki temu łączu możesz podczepić swój chip np. do komputera i zgrać sobie z niego informacje. Kość pamięci to po prostu miniaturowy twardy dysk, wszywany pod skórę. Możesz zamontować go sobie np. w końcówce palca, co ułatwia podpięcie się do różnych urządzeń. Jednak zwiększa to szansę uszkodzenia kości pamięci, gdyż palcami robisz wiele innych rzeczy, poza tym wszczep powoduje utratę czucia w koniuszku wybranego palca. Dlatego można wszczepić sobie kość pamięci w dowolne miejsce pod skórą i używać dodatkowego kabełka mUSB, którym łączysz swoją kość pamięci z komputerem. Kabelek zawsze możesz schować do kieszeni.

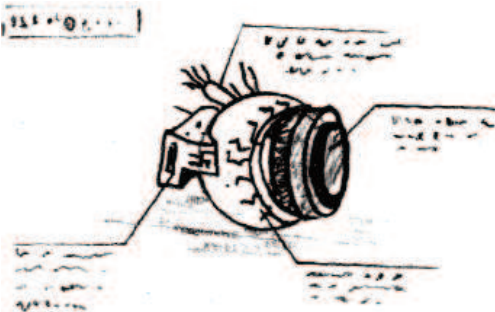
Cena: 50 gambli + 3 gamble za każdy 1 GB pojemności ponad 1 GB





Cyberoko

Dobra, teraz przejdziemy do bardziej zaawansowanych zabawek. Cyberoko to kompleksowy wszczep, składający się z czterech modułowych elementów. Widoczne są tylko dwa. W miejsce organicznego oka pacjenta wszczepia się mini-kamerę schowaną w sztucznej, przezroczystej, kulistej osłonce z nie alergicznych substancji. W skroni umieszczony jest slot na baterię zasilającą oraz gniazdo mUSB. Niewidocznymi elementami zestawu są minikomputer z przetwornikiem obrazu na impulsy nerwowe i sztuczny węzeł nerwowy łączący Cyberoko z nerwem wzrokowym pacjenta. Obecnie rozwijana jest technologia Cyberoka i w opracowaniu są takie bajery, jak możliwość nagrywania obrazu Cyberokiem i zgrywania go np. do komputera. Dlatego z myślą o rozwoju techniki już dziś wszczepia się port mUSB. Można też wybrać wiele wersji kamer. Standardowo montuje się zwyczajną kamerę i przybliżeniem optycznym 1,5-4x. Istnieje możliwość montażu dalmierza optycznego, lepszej kamery z wbudowanym aparatem fotograficznym i silniejszym przybliżeniem. Dostępne są też kamery z opcją podczerwieni albo noktowizorem. Trwają prace nad zamówionym przez Posterunek systemem celowniczym, skorelowanym z ręką strzelca, jednak ta technologia nadal jest jeszcze poza zasięgiem. Zasadniczo, po kilkumiesięcznym treningu, pacjent powinien opanować zdolność podświadomego sterowania Cyberokiem łącznie z robieniem zdjęć, przybliżeń czy przełączaniem trybów wizji. Cyberoko wymaga częstych przeglądów i wymiany baterii. Standardowe baterie wytrzymują obecnie około tygodnia. Tak długi czas działania osiągnięto dzięki coraz popularniejszej opcji wyłączenia kamery na czas snu. Pierwsze modele nie miały tej możliwości, przez co wielu pacjentów miało problemy z zasypianiem. Dziś mamy w Campbell aż czterech chirurgów-specjalistów umiejących wszczepić Cyberoko. Dla mniej wymagających proponujemy pojedyncze Cyberoko, jednak najlepszym rozwiązaniem jest skorelowana para dwóch minikamer, ze sprzężonym komputerem i podwójnym gniazdem baterii. Pozwala to zachować pełnię widzenia trójwymiarowego, choć nieznacznie wydłuża czas osvajania się z systemem. Operacja montażu Cyberoka trwa około 8 godzin i wymaga tygodniowej rehabilitacji w szpitalu. Pacjent do końca życia musi przyjmować antybiotyki i serwisować Cyberoko. Stąd też wielu klientów postanawia zamieszkać w San Francisco lub chociaż w pobliżu.



Koszt

- koszt hospitalizacji po zabiegu: 350 gambli
- zestaw ze zwykłą kamerą (jedno oko): 350 gambli
- kamera z aparatem fotograficznym i kością pamięci 1 GB: 420 gambli
- przybliżenie o 1x większe: dodatkowo 15 gambli
- dalmierz optyczny do 1000m: 40 gambli
- opcja podczerwieni: dodatkowo 100 gambli
- opcja noktowizora: dodatkowo 80 gambli
- bateria: 35 gambli/szt.

Efekty

Po wszczepieniu pojedynczego Cyberoka Percepcja spada do 6 i powoli wzrasta aż do poziomu 14 w tempie 1 punktu na tydzień. Wszczepienie zestawu dwóch Cyberoczów redukuje Percepcję do 0, a potem co tydzień wzrasta ona o 1 punkt aż do wartości 16.

Dodatkowo moduł noktowizyjny pozwala pominąć kary za słabe światło (noc).

Opcja podczerwieni pozwala zauważać wszelkie obiekty promieniujące ciepłnie o temperaturze większej, niż otoczenie.

Bohater otrzymuje -10% ułatwień do testów Zastraszania.

Bohater otrzymuje utrudnienie +30% do kontaktów z ludźmi (poza testami Zastraszania).

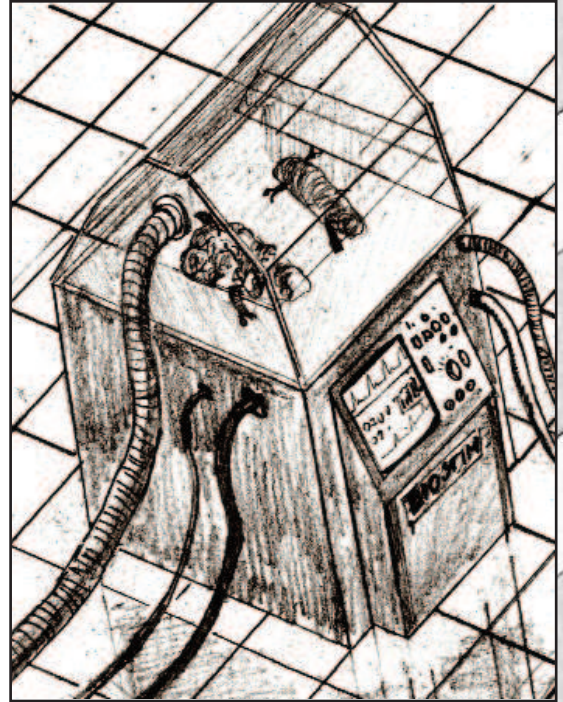


organów do przeszczepów. Mimo to, szansa przyjęcia się przeszczepionego narządu nie jest zbyt duża i nie warto ryzykować odrzucenia. Znacznie lepszą alternatywą jest zamówienie sobie wyhodowania zdrowego organu z własnych komórek. Nie będę ci tego dokładnie tłumaczył, bo i tak nie zrozumiesz specjalistycznej terminologii, skoro ja sam jej nie rozumiem, ale wystarczy, abys wiedział, że najpierw lekarze pobierają z twojego ciała coś, co nazywają chyba „komórkami macierzystymi”, czy jakoś tak, a potem przez wiele miesięcy hodują z nich gotowe narządy - płuca, nerki, wątroby, żołądki czy śledziona. Na razie nie udało się odtworzyć serca, no i oczywiście mózgu. Komórki ulegają długotrwałym, złożonym podziałom, które kontrolowane są w specjalnych laboratoriach, a potem wyhodowany narząd zostaje złożony do komory kriogenicznej i tak jest przechowywany aż do chwili, kiedy klient zażyczy sobie jego wszczepienia.

Ciemna strona Kliniki

Widzę, że Klinika zrobiła na tobie wielkie wrażenie? Niewątpliwie technika, jaką tam mają, budzi podziw, ale stary, jakkolwiek wspaniale to nie wygląda z zewnątrz, klinika nie jest aż tak pięknym miejscem. Zbyt dobrze by było. Słyszałem bardzo wiele niepokojących i mrocznych opowieści. Ludzie przykładowo zastanawiają się, co mieści się w niedostępnych częściach Kliniki. Całe północne skrzydło szpitala ma zakratowane i pozasłaniane wewnętrznymi żaluzjami okna. Niektóre są nawet zamurowane. I to z pewnością już po wojnie. Niektórzy opowiadają o tajemniczych ciężarówkach wjeżdżających do magazynu w północnym skrzydle. Poza tym, strażnicy, ludzie Jakuzy, są w północnej części Kliniki wyjątkowo liczni i bardzo nerwowi. Nikt tak naprawdę nie wie, co dzieje się w utajnionej części szpitala, ale oczywiście ludzie spekulują. Krążą plotki o dziwnych istotach przewożonych na tych ciężarówkach, mówi się, że pracuje się tam nad stworzeniem super-człowieka albo super-żołnierza. Wiele osób myśli, że to Posterunek coś tam ukrywa. Wiesz, jestem racjonalistą i raczej niechętnie wierzę w takie niestworzone historie, ale tajemnica Campbell nawet mnie niepokoi. Lecz zagadka przeznaczenia północnego skrzydła to w zasadzie tylko taka ciekawostka, być może wysnuta z fantazji znudzonych monotonią życia ludzi.

Tymczasem są znacznie bardziej namacalne problemy, które stawiają szpital w gorszym świetle. W związku z działalnością Kliniki rozwija się w mieście czarny rynek handlu narządami. Wystarczy znaleźć odpowiednią



osobę na ulicy i za kilkadziesiąt gambli możesz sprzedać nerkę, oko czy kończynę. Za kilkadziesiąt gambli podpiszesz „kontrakt” na swoje zwłoki. Gdy umrzesz, właściciel kontraktu zgarnie twoje ciało na organy. Wielu biedaków tak dorabia, zwłaszcza poza dzielnicą Jakuzy, gdzie strażnicy ścigają ten proceder, bo przecież obowiązuje prawo, o którym już ci wspominałem. Tymczasem żebracy i bezdomni nie troszczą się o los swojego ciała po śmierci i chętnie podpisują kontrakty.

To jednak i tak nie jest najgorsze. Słyszałem wiele razy o owianej złą sławą mafii zwanej Grabarzami, którzy po prostu porwają ludzi specjalnie po to, aby sprzedać ich organy chirurgom z Campbell. To dlatego tak wielu biedaków chętnie podpisuje z własnej inicjatywy kontrakty - handlarze im je proponujący starają się chronić swych klientów przed Grabarzami. Jedno ci powiem - lepiej nie krążyć samotnie po ciemnych zaułkach, zwłaszcza jeśli jesteś zdrowym, młodym mężczyzną. Jasne, że Milicja Miejska stara się zwalczać Grabarzy, ale często jest bezradna, a tymczasem lekarze z Kliniki Campbell milczą i udają, że zjawisko handlu organami w ogóle nie istnieje. Cóż, oni też na tym zarabiają. To, że maczają tym palce, sprawia, że nigdy nie skorzystam z usług Kliniki. Nie oddam się w ręce chirurga, który być może wszczepi mi nerkę mojego porwanego tydzień wcześniej kumpła.





POCHODZENIE



San Francisco

+1 do Sprytu

Urodziłeś się w San Francisco? Ty pieprzony szczęściarzu... Tak, już po twoim wyglądzie da się poznać, że stamtąd przyjechałeś. Eleganckie, czyste ubranie, aktówka, okulary, papierosy w oryginalnej paczce, zegarek. Brakuje jeszcze tylko, żebyś rozglądał się za działającą budką telefoniczną i szukał aktualnego programu telewizyjnego w kiosku. Pewnie masz na sprzedaż całą przyczepę wyposażonego sprzętu? Same komputery i piekarniki? Też bym chciał mieszkać na skarbnicy przedwojennego sprzętu domowego...

Wiesz, lubię was, ludzi z San Fran. Przynajmniej wiem, że nic mi z waszej strony nie grozi - nie nosicie pod kurtką Kaiacha, niemal nie épacie. Najgorsze w was jest to, że wciąż narzekacie. Że wszędzie jest brudno, że ruiny, że brak tu u nas cywilizacji, nie tak jak tam, w tym waszym raj, w San Francisco.

Ale kiedy spotykam kogoś z was, lubię zagadać, bo rozmawiając mam dziwne wrażenie, jakbym gadał z facetem wyjętym z przedwojennych czasów. Elegancja, ufność, dobre maniere, no i wykształcenie. A ty na czym się znasz? Na komputerach czy na medycynie? Na prawie administracyjnym? To ci dopiero ciekawostka. No i pewnie znasz ze dwadzieścia języków, co? Ech, aż zazdrość bierze. Tylko mi się tu nie wywyższaj, bo my tu też mamy atuty... dziewięćciomilimetrowe atuty!

Cechy (wybierz jedną z nich):

● Langusta

Cały urok San Francisco polega na jego wielonarodowości. Twój ojciec był Czechem, matka Brazylijką, a wujek cioteczny od strony dziadka Francuzem. Na podwórku goniłeś się z Meksykańcami, twoja dziewczyna była Chinką, a kochanka Japonką. Pracowałeś u Polaka, a wyjechałeś z San Francisco ze swoim kumplem niemieckiego pochodzenia. Kurczę, stary! To ile ty, do cholery, znasz języków?! Jasna cholera, z ciebie jest pieprzony, jak mu tam... ten, no... Langusta! O!

Możesz wybrać poza amerykańskim 4 dodatkowe obce języki, którymi umiesz się biegle porozumiewać, również w slangu. Acha, jednym z tych języków MUSI być chiński albo japoński.

● Prawy obywatel

Urodziłeś się i wychowałeś w cywilizowanym, spokojnym i bezpiecznym mieście, gdzie działa szkolnictwo, służba zdrowotna oraz komunikacja miejska i nie wolno nosić broni na ulicy bez pozwolenia. Jesteś jednym z normalniejszych mieszkańców powojennych Stanów. Brak ci morder-

czych zapędów i nie masz objawów paranoi typowych dla obcych.

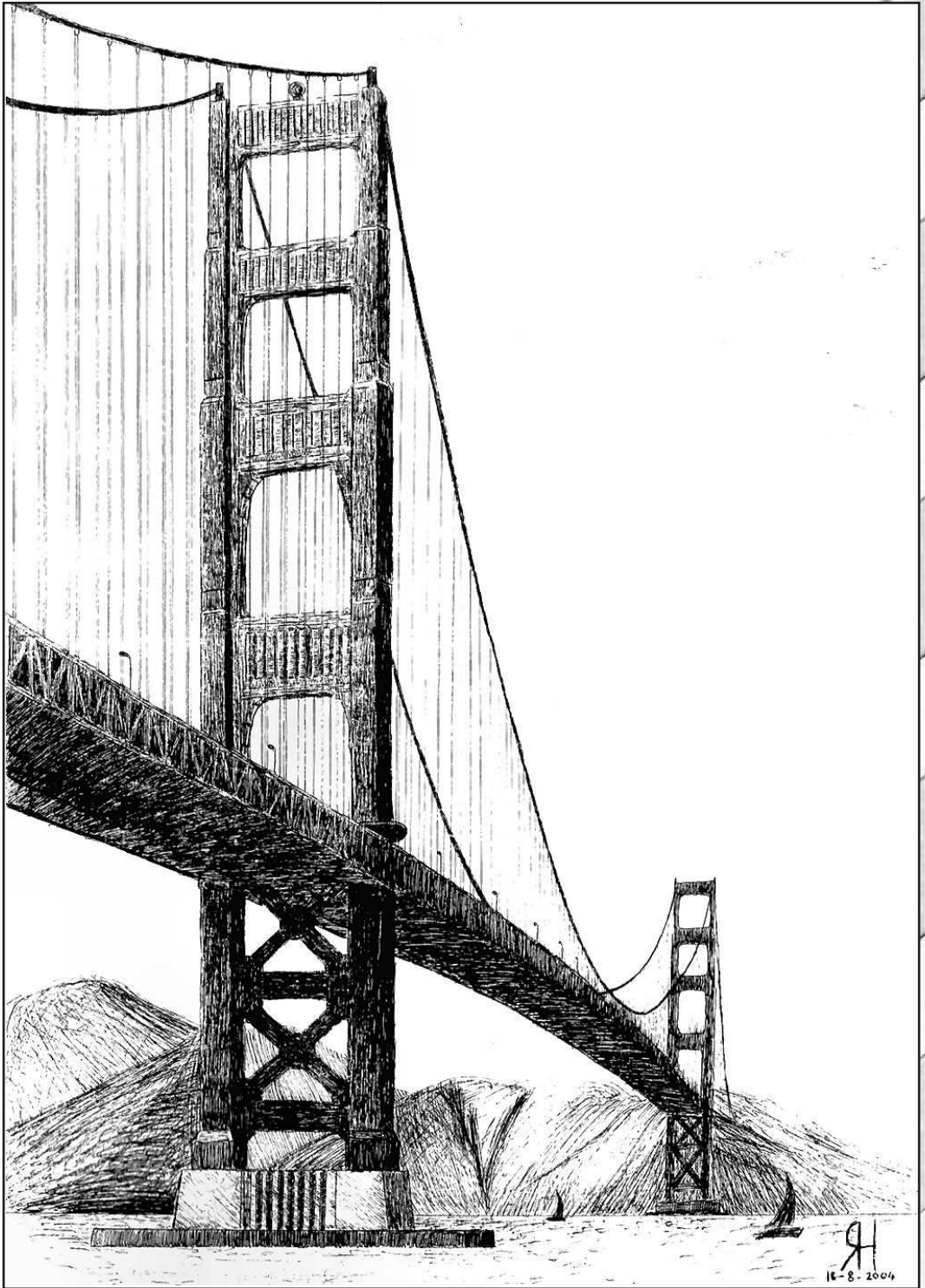
Dostajesz za darmo pakiety Wiedza Ogólna i Empatia na poziomie 1, a także dodatkowy Suwak, gdy używasz tych umiejętności. Do tego masz -30% w testach kontaktów z innymi ludźmi - ty po prostu budzisz zaufanie swoją naiwnością i dobrocią. Ale nie ma nic za darmo. Na starcie NIE MOŻESZ wykupić Karabinów, Broni maszynowej, Materiałów wybuchowych, Wyrzutni, Przygotowania pułapek, Łowiectwa, Zastraszania ani Odporności na ból.

● Elektronik

Żyjąc w mieście, gdzie walutą są mikroprocesory i dyskietki, nie można nie znać się na komputerach. Dla ciebie przedwojenne oprogramowanie nie ma tajemnic, podobnie jak obsługa wszelkiego elektronicznego badziewia - od laptopa, po CB Radio.

Wiesz, co to tranzystor i znasz symbol chemiczny krzemu, a najlepsze jest to, że masz dodatkowy Suwak przy wszelkich testach Elektroniki, zaś wykup umiejętności z pakietu Technika kosztuje cię o 50% mniej. Jako mały bonusik dostaniesz od miasta też laptopa i ładowarkę do niego. Bezprzewodowego internetu nie dostaniesz, zgadnij, dlaczego?







Dołącz już dziś do największego grona miłośników Neuroshimy!

Dziesiątki artykułów, sztuczek, scenariuszy, gadżetów i innych.

Czytaj, komentuj i twórz dodatki razem z nami. Tutaj uzyskasz wszelkie potrzebne wsparcie, począwszy od korekty po sam skład i promocję.

Nie czekaj! Wejdź na <http://neuroshima.elx.pl>



skład
łamanie
obróbka grafik
częściowa korekta
nadawanie ISBN
i wiele więcej...

W Twoim projekcie brakuje któregoś z powyższych rzeczy?

Po co się męczyć z czymś, co ktoś inny może zrobić dla Ciebie!

Nie czekaj, zgłoś się do mark6!
Już dziś wejdź na:

<http://mark6.pl>





San Francisco ma tylko jedną wadę — ciężko je opuścić.
Rudyard Kipling



SAN FRANCISCO

Przed Tobą, dodatek poświęcony znanemu i niegdyś malowniczymu miastu Zachodniego Wybrzeża. Wzorowany na nationbookach wydawanych w ramach oficjalnej linii wydawniczej NS, zawiera wszystkie informacje, do jakich przyzwyczyły nas publikacje Wydawnictwa Portal.

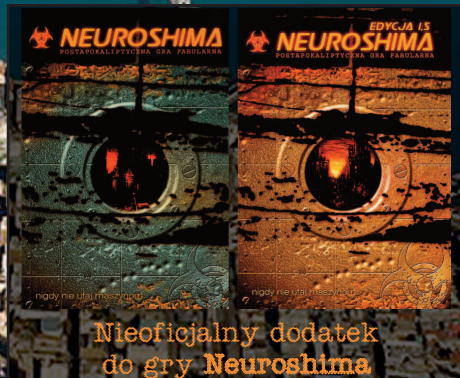
San Francisco wraz z jego mieszkańcami to jedno z najbardziej intrygujących, tłocznych i żywych miejsc Zaskanych Stanów Ameryki. Poznasz poszczególne grupy etniczne, rywalizujące ze sobą, *Rodziny* i organizacje takie jak *SFPD*, *Triada* czy *Jakuza*. Znajdziesz tu wysokie technologie i cenne przedwojenne artefakty, ukryte przed przyjezdnymi, a spoczywające w rękach władz miasta w *Dolinie Krzemowej*. O pełni sekretów można się także przekonać, próbując odnaleźć się w płątanie uliczek postnuklearnego *Chinatown* lub zagłębiając się pod powierzchnię ziemi w głąb nieskończonych kanałów i tuneli *Metra*. Jeżeli zaś nie lubisz zaduchu podziemi i zgiełku miasta, rusz nad wodę - możesz wybrać się do *Portu* i zobaczyć, co słychać na pokładzie *USS Enterprise* oraz zobaczyć na własne oczy, co zostało ze słynnego *Mostu Golden Gate*. Czasem, kiedy nic nie będzie przesłaniało widoku na Zatokę, dostrzeżesz niedaleką wyspę i mury ponurego *Alcatraz*. To tylko przedsmak atrakcji czekających przyjezdnych w San Fran. Działająca telewizja *SF TV*, *baza wojskowa Posterunku*, słynne sklepy i targowiska oraz niepowtarzalna atmosfera ludnego, pełnego zgiełku i różnych języków miasta. Wszystko to wsysa "turystów" jak bagna Everglades. Wpadaj z wizytą - uważaj tylko, żeby nie spotkać na swojej drodze *Diabłów z Sacramento*...



Serwis Orbital
<http://neuroshima.elx.pl>
serwisorbital@gmail.com

wirtualne wydawnictwo mark6
 Marek Szumny
 os. Konstytucji 3-go Maja 18/9
 48-100 Głubczyce
 tel. 0 608 467 526
<http://mark6.pl>
lukmarcus@gmail.com

Niektóre prawa zastrzeżone.
 Dodatek darmowy.



Nieoficjalny dodatek
 do gry **Neuroshima**